



IGA WIŚNIEWSKA

*Żyli niedługo
i nieszczęśliwie*

Iga Wiśniewska

ŻYLI NIEDŁUGO I NIESZCZĘŚLIWIE

Spod flagi magii



© Copyright by Iga Wiśniewska 2014

Tytuł: Żyli niedługo i nieszczęśliwie

Autor: Iga Wiśniewska

Wydane przez Miasto Książek

www.miastoksiazek.com

Ilustracja na okładce: igorigorevich (fotolia.com)

Projekt okładki: miastoksiazek.com

Ilustracje: Barbara Galińska

Wydanie I

ISBN: 978-83-7954-037-2

Patroni medialni:

Literary Art Institute
INSTYTUT SZTUKI LITERACKIEJ



Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości niniejszej publikacji bez zgody wydawcy zabronione.

SPIS TREŚCI

OD AUTORKI

ROZDZIAŁ 1: ŚMIERDZĄCA ROBOTA

ROZDZIAŁ 2: FATALNE ZAURCZENIE

ROZDZIAŁ 3: WSPÓŁLOKATOR DOSKONAŁY

ROZDZIAŁ 4: NIE CHODŹ DO LASU

ROZDZIAŁ 5: PRZEDSTAWIENIE MUSI TRWAĆ

ROZDZIAŁ 6: KONIEC STARYCH CZASÓW

ROZDZIAŁ 7: KOSZMARNY KOT

ROZDZIAŁ 8: MOKRA ROBOTA

ROZDZIAŁ 9: DEMONICZNE ZAPĘDY

Czytelnik, który z uśmiechem na ustach zamyka książkę, myśląc: „Jaki uroczy happy end”, nigdy tak naprawdę nie zastanawia się, co było potem. A co jeśli książkę się roztył, a księżniczka stała kapryśna? Co jeśli „szczęśliwe zakończenie” to tylko słowa zapisane na papierze?

OD AUTORKI

Pierwsze opowiadanie o Malice napisałam, mając szesnaście lat, ale dopiero dwa lata później, kiedy pokazałam je pewnej osobie, która powiedziała mi, że Malice zdecydowanie zasługuje na to, by opisać większą ilość jej przygód (podziękowania dla tej osoby), stworzyłam resztę. Rzeczywiście, Malice to postać z potencjałem i kiedy sobie to uświadomiłam, natychmiast przyszło mi do głowy mnóstwo pomysłów. Skończyło się tak, że opisywałam jej przygody, zamiast uczyć się do egzaminów maturalnych.

Pierwsze opowiadanie ze zbioru jest jednocześnie pierwszym, które napisałam. Dopiero później pomyślałam, że Malice musiała się przecież gdzieś uczyć i cofnęłam się do czasów, gdy studiowała w Akademii Magii.

Jeszcze tworząc opowiadania, pomyślałam: „Dlaczego by nie napisać całej książki o Malice?” I napisałam – dwie. Ale zanim je przeczytacie, zapoznajcie się z jej wcześniejszymi przygodami.

Mam nadzieję, że polubicie ją równie mocno, jak ja.

Iga Wiśniewska
styczeń 2014

ROZDZIAŁ 1



ŚMIERDZĄCA ROBOTA

Słońce powoli chowało się za horyzontem, gdy siedząc na drewnianych schodach przed domem, popijałam piątego z kolei mandarynkowego drinka. W głowie mi przyjemnie szumiało, ale pęcherz domagał się natychmiastowego wypróżnienia. Nie chciało mi się ruszać. Zapatrzyłam się na swój zarośnięty ogródek, który w promieniach zachodzącego słońca nabrał krwistoczerwonych barw. Gdyby zobaczył go poprzedni właściciel, pewnie dostałby zawału. Kiedy się tu wprowadziłam, wyglądał idealnie. Przystrzyżona trawa, drzewka rosnące w równych odstępach, pomiędzy nimi klomby kwiatów. Teraz sprawiał wrażenie nieco dzikiego. Pomyślałam o kosiarce stojącej w szopie, ale szybko odsunęłam od siebie tę myśl.

Wstałam, po czym chwiejnym krokiem udałam się do łazienki. Gdy wróciłam, słońce już prawie zaszło, a cienie znacznie się wydłużyły. Usiadłam na schodach i obserwowałam. Wkrótce ktoś wyłonił się zza drzew. Zmrużyłam oczy. Zwalista sylwetka sugerowała, że to Tom. Podszedł bliżej i zamachał. Jak zwykle gdy go widziałam, pomyślałam, że wygląda jak chodząca góra stalowych mięśni. Do tego zawsze miał nieskazitelną opaleniznę, co doprowadzało mnie do pasji, bo choćbym nie wiem jak się starała, nigdy nie udało mi się osiągnąć takiego efektu. Niebieskie oczy i półdługie blond włosy sprawiały, że wyglądał jak surfer, który nie mógł wybrać między deską, a siłownią. Całości dopełniał bezczelny, pewny siebie uśmiech.

– Cześć Tom! – zawołałam. – Czemu zawdzięczam twoją wizytę? – zapytałam, żeby uprzejmości stało się zadość, bo wiedziałam, że nie mogło go sprowadzić do mnie nic innego jak praca.

– Nie mogę odwiedzić cię bez przyczyny? – padła odpowiedź, która tak naprawdę wcale nie była odpowiedzią. Tom miał irytujący zwyczaj odpowiadania pytaniem na

pytanie. – Malice, może po prostu chciałem zapytać, jak ci minął dzień?

– Jasne – powiedziałam przeciągle. – Dobra, dajmy spokój słownym przepychankom. Jakieś zlecenie? – zapytałam rzeczowym tonem.

Tom westchnął i zrezygnował ze swojej gry. Znał mnie nie od dziś, więc wiedział, że jeśli nie miałam ochoty na bezsensowne dyskusje, najlepiej było przejść do rzeczy. Zajął miejsce tuż obok i wyciągnął przed siebie długie nogi.

– Pojawił się mały problem...

– Jakiej natury problem? – spytałam, unosząc brew.

– Wszystko wskazuje na to, że tunele pod starą fabryką nawiedził bazyliszek. Zgłoszono zaginięcia kilku bezdomnych. Ludzie powoli zaczynają panikować. Mogłabyś się tym zająć?

– Tunele. Jasne. Śmierdząca robota zawsze dla mnie. Stawka? – zadałam najważniejsze pytanie.

– Dwa patyki.

– I to za takie pieniądze – mruczałam pod nosem. – Trzeba było bardziej przykładać się do nauki, zdobyć jakiś zawód, a nie zostać cholerną najemniczką.

Tom uśmiechnął się drwiąco.

– Znasz adres?

– Jak mogłabym nie znać? Trafię sama.

– Dobrze. Zamelduj się jak skończysz.

– Tak jest! – wykrzyknęłam, wykonując ironiczny salut. Gdybym akurat nie siedziała, dodałabym do tego trzaśnięcie obcasami.

Tom tylko wyszczerzył zęby i zniknął w cieniu drzew.

Maszerowałam ciemną uliczką uzbrojona w kilka noży, miecz i lustrzane okulary. Ludzie to idioci – myślałam, wystarczy założyć takie okulary i bazyliszek staje się przerośniętą jaszczurką. Pozostaje tylko odciąć jej łeb i po zabawie.

Moją ulubioną bronią były własne ręce. Przez pół życia trenowałam boks. Jako nastolatka często uczestniczyłam w ulicznych walkach na gołe pięści. Nie byłam specjalnie postawna – 168 cm wzrostu i 55 kg wagi to niezbyt imponujący wynik, ale zawsze nadrabiałam zaciętością i brawurą. Rzadko przegrywałam. Niestety w walce z bazyliszkiem nie będę mogła wykorzystać mojego wieloletniego doświadczenia. Zabrałam więc sztylety – zaraz po pięściach moje ulubione narzędzie walki. Kiedy

adwokat przekazał mi dwa w spadku po babci, odkryłam, że rzucanie nimi sprawia mi niemałą przyjemność. Długo ćwiczyłam celność, bo żadne ze mnie sokole oko, ale mozolny trening się opłacił – dzięki niemu prawie nigdy nie chybiałam. No i miecz – kolejny prezent od babci. Przewiesiłam go sobie przez plecy, ale szczerze mówiąc, nie byłam pewna, po co go w ogóle zabrałam. Tu nie pomagały żadne treningi. Żelastwo wypadało mi z rąk za każdym razem, kiedy usiłowałam go użyć i nic nie mogłam na to poradzić. Zapewne gdyby przyszło mi się z kimś pojedynkować, tylko zrobiłabym sobie krzywdę... ale w końcu bazyliszek nie dobędzie miecza, więc może obędzie się bez dramatu. Ostatecznie mogłabym walnąć go rękojęścią w głowę – rozmyślałam.

Tymczasem doszłam do fabryki, a raczej tego, co z niej zostało. Przystanęłam i zlustrowałam wzrokiem otoczenie. Budynek ledwo stał. Był wielki, ale wyraźnie najlepsze czasy miał dawno za sobą. Odrapany tynk sypał się ze ścian razem z cegłami, wysoki komin ział dziurami w kilkunastu miejscach. Z głównej bramy pozostał jedynie szkielet, przez który przekroczyłam. Podczas wojny produkowali w tym miejscu dynamit. Odkąd sięgam pamięcią budynek stał pusty i z roku na rok popadał w coraz większą ruinę. Myślę, że został porzucony jeszcze za czasów mojej babki. Będąc dzieckiem, nasłuchiwałam się wielu niestworzonych historyjek o tym miejscu. Opowiadali mi je głównie rodzice, żebym broń Boże nie zapuściła się w te strony, gdyż już wtedy budynek groził zawaleniem. Obecnie był w tak fatalnym stanie, że bałam się do niego zbliżyć na odległość kilku metrów. O wejściu do środka nawet nie myślałam. Znając moje szczęście, przy pierwszej próbie sufit zważyłby mi się na głowę. Mój wzrok padł na właz do kanałów.

– No tak, czyni swoją powinność, Malice – mruknęłam z cierpkim uśmiechem i zesłam pod ziemię.

O dziwo, o ile fabryka była w opłakanym stanie, tak kanały pod nią zachowały się całkiem nieźle. Niestety, cuchnęło niemiłosiernie, smród wprost zwał z nóg. Starając się oddychać przez usta, obrzuciłam spojrzeniem płynące środkiem ścieki, a potem z żalem spojrzałam na swoje buty. Skrzywiłam się i weszłam po kolana w syf. Klnąc, brnęłam przed siebie, rozglądając się w poszukiwaniu bazyliszka.

Że też kanalia nie mogła zagnieździć się gdzie indziej – myślałam. Długo szłam, coraz bardziej zagłębiając się w sieć tuneli. Nie przypuszczałam, że są aż tak rozbudowane. Gdybym wiedziała o nich dziesięć lat wcześniej, kijem by mnie stąd nie wygonili. To miejsce idealnie nadawało się do szaleńczych, dziecięcych zabaw... no, pomijając ten smród. On mógłby nieco przeszkadzać. Zdążyłam już minąć kilkanaście szurzych szkieletów, a bazyliszka ani widu, ani słyhu. Zaczęłam się niecierpliwić, sytuacja była naprawdę niekomfortowa. Czyżby Tom sobie zakpił? Takiego żartu bym mu nie wybaczyła, przecież wszystko ma swoje granice, nawet on nie mógłby zrobić czegoś takiego, tym bardziej, że jest moim zleceniodawcą. Natychmiast zmitygowałam się w myślach. Ja nie miałabym oporu przed takim żartem, ba, uznałabym go za bardzo zabawny, a według przysłowia – z jakim przestajesz, takim się stajesz, więc może mu się udzieliło? Lepiej

żeby nie.

Doszłam do rozwidlenia i z ulgą wydostałam się z kanału. Szłam bardzo blisko ściany, a moje buty wydawały nieprzyjemne, młasczące dźwięki. Na szczęście z każdym kolejnym krokiem korytarz wyraźnie się poszerzał, aż byłam w stanie wyprostować się na całą moją niewielką wysokość.

Nagle usłyszałam cichy syk. Skręciłam w prawo, skąd dochodził, i ujrzałam niewielkie pomieszczenie.

– A więc tu się ukrywasz, gadzie – szepnęłam i ostrożnie weszłam do środka.

Moim oczom ukazał się niezwykle paskudny widok, gadzina była wyjątkowo wielka i obślizgła, w dodatku miała obrzydliwy, zielonkawy kolor. Liczyła sobie chyba ze dwa metry długości, co do grubości, mogłam się założyć o skrzynkę mandarynkowych drinków, że obie moje nogi razem wzięte były chudsze. Szacowałam, że mogła ważyć jakieś pięćdziesiąt do stu kilogramów. Mimo takiej masy rzuciła się na mnie z prędkością światła, ale hola! to nie pierwszozna dla mnie.

Nie jednego twojego pobratymca załatwiłam – pomyślałam złośliwie i wykonałam błyskawiczny półobrót. Zamachnąwszy się z całej siły, pchnęłam bazyliuszka na ścianę, uchylając się przed długim, rozwidlonym językiem i jeszcze dłuższymi kłami. Nie zdążył nawet mrugnąć, o ile w ogóle potrafił coś takiego, kiedy z wielką siłą rzuciłam w niego nożem, przygważdżając do ściany. Dla pewności rzuciłam jeszcze kilka razy, aż wisiał sztywno, nie mogąc się nawet wic. Stałam zadowolona i podziwiałam swoją robotę. W takim położeniu wydawał mi się nawet całkiem przyjazny.

Zrobiłam krok w stronę ściany, żeby wyciągnąć swoje noże z podziurawionego stworzenia, gdy nagle jakiś obszarpaniec wpadł do pomieszczenia i zaczął wrzeszczeć.

– Zabiłaś Przecinaka! Zabiłaś Przecinaka! Mój Boże, zabiłaś go! – wykrzyczał i zdawało się, że opadł z sił. Opadł na brudną podłogę i zaczął rozdzierająco płakać.

Stałam i patrzyłam oniemiała. Wiele w swoim dwudziestotrzyletnim życiu widziałam, ale czegoś takiego nigdy! Kompletnie zbił mnie z pantałyku, nie wiedziałam, jak się zachować. Podeszłam do niego i niepewnie położyłam rękę na wstrząsanym szloch ramieniu.

– Eee, w porządku? – zapytałam zakłopotana.

Spojrzał na mnie załzawionymi oczami, po czym rzucił się na podłogę i zaczął bić ją pięściami.

– Przecinaaak! Przecinaaak! Miłości ma! – darł się jak potępieniec.

No, teraz to już zupełnie nie miałam pojęcia, co robić. Najwyraźniej facetowi brakowało paru klepek. Jaka „miłości”?! Przyjrzałam mu się dokładniej. Długie, tłuste włosy opadały na plecy w strąkach. Były tak brudne, że mimo szczerych chęci nie potrafiłam określić, jaki miały kolor. Ubrania wisiały na nim w strzępach, jednak poprzez dziurę w koszuli mogłam zauważyć, że mięśnie miał niczego sobie. Oczy błyszczały dziko,

ale to pewnie przez łzy. W gruncie rzeczy, gdyby się umył i porządnie ubrał, wyglądałby raczej niepozornie. Wiedziona latami doświadczenia postanowiłam jednak zachować ostrożność.

Zdawał się zupełnie nie zwracać na mnie uwagi, ciągle wył, jakby w brudnych ściekach widział gdzieś księżyc, więc doszłam do wniosku, że nic tu po mnie. Ruszyłam w stronę wyjścia, ale poczułam, że coś złapało mnie za nogę.

– A ty gdzie się wybierasz? – wycharczał. – Myślisz, że możesz ot tak zabić miłość mego życia i wyjść?! Zapłacisz mi za to!

Jego groźba nie zrobiła na mnie najmniejszego wrażenia, zbyt wiele podobnych słyszałam już w swoim życiu. Szczerze mówiąc, ludzie mówili do mnie: „Zapłacisz mi za to!” częściej niż: „Hej, co słyhać?”.

– Wyluzuj – rzuciłam i próbowałam strząsnąć jego rękę.

Trzymał mocno. Kiedy pochyliłam się, żeby wyciągnąć z buta sztylet, w moją stronę poszybowała pięść. Zdażyłam rzucić mu pogardliwe spojrzenie i płynnie go zablokowałam. Złapałam jego pięść i chciałam wykręcić mu rękę, ale miał chyba mięśnie ze stali, bo ani drgnęła. Trwaliśmy w bezruchu przez długą chwilę.

– Może jednak się dogadamy – rzuciłam, bo ręka zaczynała mi cierpnąć.

Jego oczy zabłyśły. Teraz byłam już pewna, że to nie łzy. Gwałtownie pociągnął mnie za nogi, ale byłam przygotowana i opadłam na niego, zanim uderzyłam o ziemię. Unieruchomił mnie na moment, przyciskając moje plecy do swojej klatki piersiowej. Uderzyłam głową w jego twarz z taką siłą, że poczułam jego krew, zalewająca mi włosy. Mimo to nie poluzował uchwytu. Próbowałam go z siebie zrzucić, jednak trzymał mocno. Wyswobodził jedną rękę i odchylił się lekko. Oderwałam się z podłogi, ale on natarł z całym impetem i tym razem to moja głowa ucierpiała. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałam, były jego szalone oczy. Potem nastąpiła ciemność.

Obudził mnie ból. Centrum zapalne stanowiła głowa, miałam wrażenie, że lada chwila rozsadzi ją ciśnienie. Krew szumiała mi w uszach. Czułam, jakbym poprzedniego dnia spiła się na amen, a potem jeszcze zaliczyła potężną glebę. Co to było... a tak, podłoga. Wspomnienia powracały powoli. Tom, zlecenie, bazylipek, szalone oczy nade mną. Chciałam pomacać się po głowie, ale odkryłam, że mam związane ręce. Co dziwne, wszystko widziałam z jakiejś dziwnej perspektywy. Cholera, chyba naprawdę mocno się uderzyłam. Wtem usłyszałam jakiś zgrzyt i po chwili w zasięgu mojego wzroku ukazały się rozbebeszone adidas.

– Widzę, że zabójczyni się obudziła. Miło się spało? – Usłyszałam ochryply głos.

Wtedy to na mnie spadło. Ten idiota powiesił mnie za nogi!

– Nie wiem, ile już tak wiszę, ale niedługo krew rozsadzi mi głowę, wiesz? A wtedy nici z twojej zemsty – rzuciłam pozornie obojętnym tonem.

– Może tak wygląda moja zemsta?

O tym nie pomyślałam. A niech to, mogłam zginąć w taki sposób! To byłaby najbardziej bezsensowna i poniżająca śmierć. Z bogatego doświadczenia wiedziałam, że przy szaleńcach najlepiej milczeć, dlatego zachowałam swoje myśli dla siebie. Po chwili moja cierpliwość została wynagrodzona.

– Ale masz racje – usłyszałam – nie taki koniec dla ciebie zaplanowałam.

Przeciął liny, którymi moje nogi były przywiązane do sufitu. Runęłam w dół. Skręciłam ciałem, żeby nie uderzyć głową w podłogę, ciężar uderzenia przyjęło prawe ramię.

– Ty dupku, to bolało!

Wzruszył ramionami, dając mi do zrozumienia, że ma to w głębokim poważaniu. Rozejrzałam się. Znajdowałam się w jakiejś obskurnej celi o wymiarach najwyżej dwa na trzy metry. Gołe ściany, żadnych okien, na podłodze leżał jedynie rozwalony materac, a samotna żarówka wisiała u sufitu. Zauważył, że się rozglądam.

– Witam w moich skromnych progach. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Mam nadzieję, że się podoba.

– Jak cholera – odwarknęłam.

– Cóż, nie jest to hotel pięciogwiazdkowy. – Wzruszył ramionami. – Ale na nic więcej nie zasłużyłaś – rzekł, po czym, w co wprost nie mogłam uwierzyć, po prostu odwrócił i wyszedł.

Usłyszałam szczęk zamka i tyle go widziałam.

Zaniepokoiłam się nie na żarty. Zero wyjaśnień, co chce ze mną zrobić? Zazwyczaj szaleńcom opisywanie swoich chorych zamiarów sprawia perwersyjną przyjemność. Ten widać nie był wzorcowym przykładem wariata. Chociaż zupełnie nie łąpałam, o co mu chodziło z tą „miłością jego życia”. Może coś źle usłyszałam? Popatrzyłam na swoje ręce i westchnęłam. Wiedziałam, że zabrał mi broń, ale miałam asa w rękawie. Tyle, że mając związane ręce, nijak mogłam z niego skorzystać. Spróbowałam poluzować więzy, ale sznur był bardzo gruby, niemal tak gruby jak moje nadgarstki, więc trudziłam się na próżno.

Musiałam go namówić, żeby mnie rozwiązał. Asem były moje zdolności, o których tamten nie miał pojęcia, których w życiu by się nie spodziewał – byłam wiedźmą! Co prawda rzuciłam Akademię Magii... no dobra, wylali mnie, ale to naprawdę nie była moja wina. Miałam duży potencjał, jednak jak usiłowano mi wmówić – wykorzystywałam go w zły sposób. Tworzyłam nowe zaklęcia i wypróbowywałam je na kolegach (nauczyciele też nie byli bezpieczni, gdy dopadła mnie wena). Nie, żeby były szkodliwe. Po prostu nieco

złośliwe. Potrafiłam sprawić (w zależności od humoru), że delikwent zaczynał się jękać, dostawał padaczki, próbował chodzić po suficie albo wyskakiwał z okna na trzecim piętrze. Były też bardziej złożone czary – próbowałam klątw i miłosnych uroków. Mogły spowodować, że nieszczęśnik zapalał gorącym uczuciem do swojego psa (w przypadku dobrego humoru) lub martwej żaby przeznaczonej na sekcje – w przypadku gorszego. Zwykle kończyło się to w skrzydle szpitalnym albo gabinecie szkolnego psychologa, ale hej, nauka wymaga ofiar. Niestety dyrektor Akademii nie umiał docenić mojego innowacyjnego podejścia do sprawy. Musiałam pożegnać się ze szkołą i tak oto skończyłam jako najemniczka. Przez głowę przewijały mi się dziesiątki pomysłów na zaklęcia, którymi mogłabym potraktować mojego oprawcę, ale w takim stanie niestety nic nie mogłam zrobić. Bez większej nadziei postanowiłam zbadać drzwi. Duże i metalowe, tak jak się spodziewałam; były zamknięte na głucho i najlepszy kop z półobrotu nie mógł mi pomóc. Chyba tylko Chuck Norris mógłby się z nimi zmierzyć. Sfrustrowana oparłam się o ścianę i pograżałam w ponurych rozmyślaniach o kresie mojego żywota.

Wieki później usłyszałam kroki, po czym zamek szczęknął i drzwi stanęły otworem. Ukazał się mój stręczyciel trzymający w ręce miskę z podejrzanie wyglądającą zawartością.

– Kolacja! – zawołał niczym anonsujący kogoś kamerdyner.

Milczałam. Postawił miskę na podłodze i nogą przesunął w moją stronę. Obrzuciłam ją pogardliwym spojrzeniem, po czym zaczęłam kontemplować ścianę naprzeciwko. Wariat odchrząknął.

– Nie zjesz?

– Ze związanymi rękami? – nie wytrzymałam i przerwałam milczenie. – Będzie trudno.

– Twój problem. – Wzruszył ramionami i odwrócił się do wyjścia.

Patrzyłam z nienawiścią, jak zamyka drzwi. On naprawdę wymykał się z kanonów szaleństwa. Druga wizyta, a nadal nie powiedział, co zamierza ze mną zrobić.

Może jednak jest normalny – zdradziecka myśl wkradła się do głowy. Ale jaki normalny człowiek traktuje bazyliszka jak domowe zwierzątko i chce pomścić jego śmierć? Spojrzałam jeszcze raz na miskę. Co on sobie wyobrażał? Że będę jadła jak pies? Niedoczekanie!

Nagle, jak na zawołanie, poczułam, że żołądek skręca mi się w bolesnych skurczach.

I ty Brutusie przeciwko mnie?

Raz jeszcze przyjrzałam się zawartości miski. Zidentyfikowałam rozgotowaną kaszę gryczaną, której swoją drogą nienawidzę, oraz coś, co wyglądało jak ziemniaki.

Cóż za połączenie – pomyślałam zniesmaczona. Nawet ja potrafiłabym przyrządzić coś lepszego. Pochodzenia zielonych, glutopodobnych obiektów nie udało mi się rozszyfrować. Być może była to fasolka, ale najprawdopodobniej to tylko pobożne życzenie. Nachyliłam się i nieufnie wciągnęłam powietrze. Nie było tak źle, pachniało jak przypalona kasza. Żołądek ponownie zasygnalizował swoją obecność. Westchnęłam naprawdę głęboko, a potem z ciężkim sercem (i związanymi rękami) zabrałam się do jedzenia. Całe szczęście, nikt nie oglądał mnie w tej żenującej sytuacji.

Musiałam się zdrzemnąć, bo gdy drzwi otworzyły się po raz kolejny, zerwałam się gwałtownie. Wariat wszedł do środka, radośnie zacierając ręce.

– Masz szczęście – powiedział. – Dziś w nocy pełnia i będę mógł przywrócić Przecinaka do życia.

A ja się zastanawiałam, czy mimo wszystko jest normalny! Musiałam mieć dość głupi wyraz twarzy.

– Nie wierzysz, że to możliwe? Pozwól, że zdradzę ci sekret. – Nachylił się nade mną i wyszeptał: – Magia, moja droga, magia. Ona go uzdrowi.

Aż mi szczęka opadła z wrażenia. Magia? Magia? Cholera! Przecież to był mój plan awaryjny! Jakim cudem on wiedział o magii? Czyżby kolejny renegat Akademii? Przyjrzałam mu się uważniej. Był chyba odrobinę młodszy ode mnie. Najprawdopodobniej zdążyłam już dawno opuścić mury ukochanej szkoły zanim on, być może, w nie zawitał, ale nigdy nie wiadomo. Na mojej twarzy niewątpliwie malowało się osłupienie, bo zachichotał.

– Ach, nie wierzysz, że istnieje? Pozwól, że zademonstruje – powiedział z perfidnym uśmiechem, po czym zmarszczył czoło.

Hola, kanalio! Ze mną ci się nie uda. Moja tarcza magiczna jest ciągle aktywna – pomyślałam, starając nie okazywać zbyt wielkiego zadowolenia. Pomarszczył się jeszcze przez chwilę.

– Dziwne, na tobie nie działa. – Podrapał się po brodzie w zamyśleniu. – Być może masz jakieś uspięne zdolności magiczne. Milczysz? – powiedział po dłuższej chwili. – Nadal nie wierzysz? Cóż, przekonasz się dzisiejszej nocy. Przywrócę Przecinaka do życia – zapewniał płomiennie.

– Niby jak? Żadna magia nie ożywi umarłego.

– I tu się mylisz, moja droga, z odpowiednią ofiarą wszystko jest możliwe.

W mojej głowie zaświtała paskudna myśl.

– Ofiarą?

Znowu zachichotał. To był cholernie irytujący chichot.

– Widzę, że szybko łączysz fakty. Owszem, i ty nią będziesz. Pozwól, że zadam ci teraz osobiste pytanie. – Nachylił się nade mną tak, że poczułam jego nieświeży oddech. – Jesteś dziewczicą?

Prychnęłam z niedowierzaniem. Co ten obdartus sobie myślał? Uniosłam brwi i uśmiechnęłam się sardonicznie.

– Żartujesz?

– Pytam jak najbardziej poważnie – odrzekł. Żaden mięsień nie zadrgał na jego twarzy. – Do rytuału oprócz ofiary niezbędna jest krew dziewczicy. Idealnie by było, gdyby ofiara była jednocześnie dziewczicą. Więc jak, jesteś? – spytał z nadzieją w głosie.

W tym momencie zaczęłam się śmiać. Niefortunna sytuacja, w której się znalazłam, sprawiła, że początkowo mój śmiech był nieco histeryczny. Szybko jednak przeszedł w demoniczny rechot, aż z twarzy wariata spełził pewny siebie uśmieszek.

– Nici z twojego rytuału! Ze świecą nie znajdziesz krwi dziewczicy w tym mieście. – Zaśmiałam mu się prosto w twarz.

– Jeszcze zobaczymy – burknął niezadowolony.

– Lepiej zacznij poszukiwania od zaraz, a może znajdziesz coś do następnej pełni – kpiłam bezlitośnie.

– Do wieczora – powiedział. – Możesz zacząć żegnać się z życiem.

– Drzę z przerażenia – rzuciłam za nim i śmiałam się dalej.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Może jednak nie wszystko stracone.

Kilka godzin później (tak mi się przynajmniej wydawało, nie miałam zegarka, a zupełnie straciłam poczucie czasu) drzwi mojej celi otworzyły się po raz kolejny. Wkroczył wariat wyglądający podejrzanie radośnie. Serce na chwilę zwolniło swój bieg.

– Znalazłeś? – spytałam z niedowierzaniem.

– Mówiłem, że znajdę.

Przyjrzałam mu się podejrzliwie.

– Napadłeś dziecko – strzeliłam na ślepo.

Zarumienił się lekko, ale nic nie powiedział.

– Cholera. Naprawdę napadłeś dziecko? – spytałam z niedowierzaniem. – Taka krew się nie liczy!

– Jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma.

– Proszę, filozof się znalazł. – Nawet w obliczu złych wieści nie mogłam darować sobie ironii.

– Śmieję się śmieję, już niedługo Przecinak ożyje, a twoje zwłoki będą jego pierwszym pokarmem – zagroził.

– To bydle jest padlinożerne? – przestraszyłam się. Jedno to umrzeć, ale żeby jakaś przerośnięta jaszczurka pożarła moje zwłoki – do tego nie mogłam dopuścić.

Wariat nie raczył odpowiedzieć, tylko podźwignął mnie z podłogi i pchnął w kierunku drzwi. Zatoczyłam się – od długiego siedzenia w niewygodnej pozycji zeszywniały mi mięśnie.

Szliśmy jakimś ciemnym korytarzem. Prawdopodobnie znajdował się bezpośrednio pod kanałem, którym przyszłam, bo z sufitu kapłała podejrzanie wyglądająca ciecz. O smrodzie już nawet nie mówię, w celi cuchnęło tak bardzo, że mój biady nos dawno przestał zwracać na to uwagę. Doszliśmy do końca i wariat pchnął mnie w lewo. Ujrzałam otwarte drzwi, a za nimi ciemność, w którą niepewnie wkroczyłam. Po chwili wariat wyczarował kulę światła.

Jarmarczne sztuczki – pomyślałam, ale celowo zrobiłam głupią minę.

– To jest właśnie magia – rzekł z zarozumiałym uśmiechem. – Teraz wierzysz?

Nic nie powiedziałam, ale dzięki światłu mogłam przyjrzeć się uważniej sali, do której weszliśmy – miejsca, gdzie przyjdzie mi dokonać żywota. Zdziwiłam się. Jak na podziemiu, była zdumiewająco przestronna. Wysoka chyba na dwadzieścia metrów i długa na około piętnaście. Zadarłam głowę i zobaczyłam, że w suficie są okna. Zakurzone jak jasna cholera, ale... okna! Wariat zauważył moje spojrzenie.

– Nawet o tym nie myśl, chyba, że umiesz latać. A nawet gdybyś umiała, szybko sprowadziłbym cię z powrotem na ziemię – zagroził.

Spojrzałam na niego wilkiem i dalej lustrowałam salę. Na środku znajdował się wymalowany kredą pentagram.

– Domyślam się, że mam się na nim położyć? – zapytałam.

– A i owszem, a i owszem – odrzekł, zacierając ręce z zadowolenia. Wyglądał jak wujek na imieninach, na chwilę przed otwarciem półlitrowej butelki wódki.

W sali był jeszcze prymitywny ołtarz, najwyraźniej wykonany własnoręcznie. Pod nim wariat złożył podziurawione ciało bazyliuszka.

– Na co to? – zapytałam.

– Zanim zacznę rytuał, muszę pomodlić się do mojego boga.

– Nie chcę nawet wiedzieć, co to za bóg! Cholera, mówił ci już ktoś kiedyś, że

potrzebujesz pilnej wizyty u psychiatry? Nie, wróć, psychiatra tu nie pomoże! Biały kaftan i do pokoju bez klamek – to jedyna rada dla takiego jak ty.

Najwyraźniej dotknęłam czulej struny, bo gwałtownie poczerwieniał. Zrobiłam chytrą minę.

– Więc już ktoś ci to mówił? – drażniłam się.

Żył na jego czole zaczęła gwałtownie pulsować, zacisnął pięści.

– A niech mnie! – krzyknęłam. – Mama? Tata? A może dziewczyna? – Nachyliłam się nad nim konfidencjonalnie. – Powiedz mi, rzuciła cię, bo wolałeś bazyliżka?

Nagle jego twarz zrobiła się pusta.

– Nie żałuję, że to zrobiła. Sam bym ją rzucił, gdyby nie uczyniła tego wcześniej. Przecinak...

– Co?! – weszłam mu w słowo. – Nie mieści mi się to w głowie. – Aż sapnęłam z niedowierzania. – Naprawdę cię rzuciła, bo wolałeś jaszczurkę?

Pokiwał głową, a mnie odjęło mowę.

– Przecież to... nienormalne – wydusiłam z siebie w końcu. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie może pokochać bazyliżka. No tak, ale zapomniałam, że ty nie jesteś normalny.

Nagle w głowie pojawiła mi się pewna myśl.

Nie, to nie możliwe. Chociaż... patrząc obiektywnie, przecież nawet największy zapaleniec nie obdarzy jakiegoś jaszczura miłością romantyczną.

Co ja najlepszego zrobiłam? Nie wierzę! Moje własne zaklęcie obraca się przeciwko mnie? Po raz pierwszy pożałowałam, że odchodząc z Akademii postanowiłam pozostawić po sobie kilka dyskretnych niespodzianek. Wtedy wydawało mi się, że to genialny pomysł – Malice już nie ma, ale ludzie nadal padają ofiarą wrednych żartów, jakby mój duch pozostał w szkole i mścił się za to, że mnie z niej wyrzucono. W życiu nie podejrzewałam, że przyjdzie mi się spotkać z jednym z nieszczęśników, na których padło. I to w tak niefortunnych okolicznościach. Wydawało mi się, że nie byłabym godna swego imienia¹, gdybym odeszła potulnie, z podkulonym ogonem.

Niech to wszystko szlag! Ale zaraz, skoro to moje zaklęcie, nie może obrócić się przeciwko mnie. Takie jest (nie bardzo pamiętam które, ale chyba szóste) prawo magii! Musiałam coś wymyślić, tylko szybko, bo pełnia tuż, tuż. Kłopot w tym, że stworzyć nowe zaklęcie jest o wiele łatwiej, niż korygować poprzednie. Łatwo można się pomylić, a konsekwencje mogą być tragiczne. Zazwyczaj po prostu zapomniałam o starym i wymyślałam nowe, ulepszone wedle potrzeb i używam go dopóty, dopóki nie przyszły mi do głowy jakieś innowacje, a wtedy tworzyłam je od początku. W tym przypadku niestety musiałam wysilić pamięć i przypomnieć sobie strukturę owego zaklęcia. Musiałam działać tym ostrożniej, że nie byłam pewna, na który urok dokładnie trafił, bo zostawiłam ich

naprawdę sporo. Miałam pewne podejrzenia, ale ręki bym sobie uciąć nie dała. Choć to może nie najszcześniejsze porównanie, biorąc pod uwagę fakt, iż alternatywą dla mojej pomyłki było to, że moje zwłoki zostaną pożarte przez bazyliżka.

Tymczasem wariat skrapiał podłogę czerwoną ciecżą. Metaliczny zapach podpowiadał, że jest to wspomniana wcześniej krew dziewicy. Pomógł mi ułożyć się w środku wyrysowanego przez siebie pentagramu.

– Nie powinnam czasem rozłożyć rąk? – zasugerowałam.

– To na końcu. Na razie rozłóż nogi.

Na tak bezczelną uwagę, aż mnie zatkało. Nie spodziewałam się usłyszeć czegoś takiego z jego ust.

– Ty zbrojeńcu! – zawołałam oburzona. – Nawet ja, osoba, która o magii i szurniętych rytuałach nie ma zielonego pojęcia wie, że...

Przerwał mi jego wredny śmiech.

– Spokojnie. Nie interesujesz mnie.

W tym momencie wkurzyłam się nie na żarty. Pewnie, nie byłam miss świata. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, że w odniesieniu do mojej osoby nie pasował przymiotnik „piękna”. Odkąd zostałam najemniczką stałam się zbyt umięśniona, ale ciemne oczy, długie, ciemne włosy i wyraziste rysy twarzy sprawiały, że odpowiednim przymiotnikiem było „pociągająca”, od biedy „interesująca”. Tak czy owak, jeszcze nie zdarzyło mi się usłyszeć czegoś podobnego z męskich ust. Poczulałam się urażona.

– Ach tak, zapomniałam. Jesteś zoofilem!

Nie zrobiło to na nim spodziewanego wrażenia, więc wkurzyłam się jeszcze bardziej.

– Nie dość, że psychiczny to upośledzony! Myślisz, że sam z siebie pokochałeś tego bazyliżka? – wykrzyknęłam, ale on nie słuchał.

– Poświęciłem wszystko dla tej miłości, wszystko – wyznał. – Mogłem zostać wielkim magiem, świat leżał u mych stóp. Wybrałem jednak Przecinaka. To uczucie spłynęło na mnie nagle pewnego dnia i zawładnęło moim życiem. Przecinak stał się centrum mojego Wszechświata. Uczucie, którym go darzę, to jedyna stała i ciągle niezmienna rzecz w moim życiu – zakończył.

Po takim wyznaniu nie miałam już zbyt wiele do powiedzenia. Zdałam sobie sprawę ze skutków mojego, jak mi się wydawało, niewinnego żartu.

Proszę – w myślach zaczęłam się modlić, nie ważne do jakiego boga, nada się pierwszy lepszy, który mnie wysłucha – jeśli ujdę z życiem z tej parszywej sytuacji, obiecuję, że nie rzucę już żadnego złośliwego zaklęcia. Zrezygnuję nawet z tego, które sprawia, że listonosz ciągle potykał się o własne nogi przy mojej skrzynce. Odwołam wszystko! Zmienię się, zostanę dobrym człowiekiem. Będę miła dla sąsiadów. Tylko pozwól mi żyć – błagałam w myślach.

Tymczasem wariat wydobyl skądś opasłą księgę. Aż sapnęłam na jej widok. Trzymał w rękach zakazaną *Księgę Nekromancji* z biblioteki Akademii, niedostępną dla przeciętnych śmiertelników, tudzież czarowników. Tę samą, w której zostawiłam swoją niespodziankę. Teraz nie miałam już żadnych wątpliwości. Ponownie przystąpiłam do skomplikowanej czynności odtworzenia swojego zaklęcia, tym razem ze zdwojonym zapalem. Wiedziałam już, co to był za urok. Pamiętam doskonale jak brzmiał: „*Pokochasz pierwszą obślizglą istotę, którą zobaczysz w ciągu najbliższej godziny*”. Ukrywając go na kartach księgi, myślałam raczej o jakiejś gliście, ewentualnie dżdżownicy. Skąd miałam wiedzieć, że trafi się psychol, który prosto z biblioteki uda się na spotkanie z bazyliszkiem? Kilkanaście minut później, gdy księżyc prawie całkowicie wyłonił się zza chmur, wykrzyknęłam w myślach – Bingo!

Zobaczymy, kto zaśmieje się ostatni. Będę pożywieniem dla twojej gadziny? Sam ją zeżresz, spróbuj tylko podnieść na mnie rękę! Z anielskim uśmiechem na twarzy patrzyłam, jak wariat się zbliża.

– Rozwiążę ci teraz ręce, ale leż spokojnie.

– Oczywiście – powiedziałam, udając pogodzoną z nieuniknionym.

Gdy sznur opadł, zaczęłam masować obolałe nadgarstki. Ręce miałam białe jak kilkudniowe zwłoki. Związał mnie tak mocno, że zupełnie zatamował przepływ krwi. Czekałam, aż czucie wróci mi do rąk.

– Połóż się – rozkazał.

Posłusznie i bez szemrania spełniłam polecenie. Gdy tylko odwrócił się plecami, szybko rzuciłam swoje zaklęcie. Wyszło trochę niezgrabnie, bo ręce nadal miałam sztywne, ale szóste prawo magii oficjalnie zaczęło działać. Cokolwiek planował wariat, nie mógł zrobić mi krzywdy. Więcej – każde niepożądane działanie obróci się przeciwko niemu.

Położyłam się za podłódze z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i szerokim uśmiechem na twarzy. Światło księżycy wpadało teraz przez zakurzone okna, oświetlając komnatę tak, że to magiczne nie było już potrzebne. Wariat stanął nade mną i zaczął mruzczyć zaklęcia. Z zainteresowaniem obserwowałam rozwój wypadków. Brakowało mi do kompletu tylko popcornu i dużej coli.

Niestety, właściwie nie było co obserwować. Ciągle tylko mamrotał: *Carmine vobis dixerit vitam*. Ale starał się tak bardzo, że mogło mu się udać.

– Hej, a może spróbuj tego:

Oko żaby, łuska ryby, trzy pokrzywy,

Jeszcze chwila, bazyliszek będzie żywy!

Nie docenił mojej propozycji, zamiast tego kazał mi się zamknąć i marszcząc czoło, skupił całą uwagę na księdze. Mijały minuty. Produkował spore ilości błyskawic i huków,

ale poza tym nic specjalnego się nie działo.

Mogłam stworzyć takie rzeczy pstrykając palcami, nie potrzebowałam do tego żadnej starej księgi. Będąc nastoletnią wiedźmą rzucałam lepsze zaklęcia.

Postanowiłam mu trochę pomóc i wyczarowałam kilka widowiskowych błyskawic, które z ogłuszającym łoskotem zderzyły się w powietrzu, krzesząc iskry. Ziemia zadrżała, kaskada iskier posypała się na podłogę, wypalając dziury w naszych ubraniach. Pisnęłam i zaprzestałam swojej pomocy. Niech sobie radzi sam.

Ułożyłam się wygodniej na zimnej posadce. Leżałam tak i leżałam... Robiłam się senna. Podłoga była wprawdzie szalenie niewygodna, ale pozycja horyzontalna sprawiała, że oczy same mi się zamykały. Wtem, gdy już zapadałam w drzemkę, usłyszałam syk. Zerwałam się z podłogi i obróciłam w stronę ołtarza. Bazyliszek rzeczywiście ożył! Sycząc, leniwie wił się po podłodze.

– Ale nie rozumiem – mamrotał wariat – ty powinnaś być już martwa. – Wycelował we mnie palcem z oskarżycielską miną. – No nic, żywa dostarczysz Przecinakowi więcej rozrywki. Ma silnie rozwinięty instynkt łowiecki...

Niedoczekanie twoje – pomyślałam. – Teraz najlepsza część przedstawienia.

Jednak zanim cokolwiek zdążyło się wydarzyć, okna w górze pękły z hukiem i lawina szkła posypała się na podłogę. Zasłoniłam głowę rękami i szybko wyczarowałam tarczę. Na środku sali, w tumanach kurzu i szkła wylądował nie kto inny jak Tom.

– Co ty tutaj robisz?

– Ratuje ci tyłek? – Jak zwykle jego odpowiedzią było pytanie.

Zamachnął się mieczem, odcinając głowę bazyliszkowi. Jego właściciel nie zdążył nawet zacząć rozpaczać, że miłość jego życia zginęła po raz kolejny, bo zaraz sam podzielił jej los. Cięcia Toma były błyskawiczne i doskonale wymierzone, nim się zorientowałam u mych stóp leżały dwa trupy.

– Nie, nie, nie! – Z bezsilnej złości aż tupnęłam nogą. – Coś ty najlepszego narobił?!

– Uratowałem cię? – powtórzył, obrzucając mnie przy tym dziwnym spojrzeniem. – Słynna wdzięczność, a raczej niewdzięczność Malice. Nie ma za co.

– Żebyś wiedział, że nie ma! Właśnie zniszczyłeś najlepsze zaklęcie mojego życia!

– Coś przegapiłem, czy miało polegać na tym, że zjada cię wielka, obślizgła jaszczurka? Na Boga, Malice, co się z tobą dzieje? Nie potrafisz już nawet wykonać tak prostego zadania?

Na tę jawną bezczelność odebrało mi mowę. Patrzyłam na niego z nienawiścią i milczałam, chcąc zamanifestować swoją pogardę dla jego słów.

– No rusz się – rzucił. – Chyba, że planujesz zamieszkać tu na stałe?

Nie raczyłam odpowiedzieć. Lewitując, uniosłam się w stronę rozbitych okien i wydostałam na zewnątrz. Ach! Świeże powietrze! Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak

bardzo mi go brakowało.

Zmierzchało. Szliśmy ulicą, Tom wyjaśniał, że kiedy nie zameldowałam się tego samego dnia, pomyślał, że po prostu zapomniałam, ale następnego wieczora zaniepokoił się na tyle, że poszedł do fabryki. Zszedł do kanałów, nie znalazł jednak ani śladu bazyliuszka, ani mnie. Nie wiedząc, co robić, postanowił rozejrzeć się trochę po okolicy. Już miał wracać, kiedy zauważył, że ziemia lekko drży, a w pewnym miejscu delikatnie świeci. Jakież było jego zdziwienie, gdy natknął się na zakurzone okna, po których przetarciu ujrzał mnie, rozłożoną na podłodze. Nade mną stał jakiś obdartus z księgą, przy krzywym ołtarzu wił się bazyliuszek, a w powietrzu rozbijały się błyskawice.

– Nie wierzę, Malice, że zawałaś tak proste zadanie. Przecież nie jesteś nowicjuską.

– Powtarzasz się – rzuciłam ze złością. – Poza tym, załatwiłam gada!

– Jasne – prychnął. – Jak więc wytłumaczysz fakt, że był całkiem żywy?

– Wariat go ożywił.

Wybuchnął śmiechem.

– To, jest najmarniejsza wymówka, jaką kiedykolwiek słyszałem! – stwierdził.

Zdrowo wkurzona jego lekceważącym tonem, zaczęłam wyjaśniać, co zdarzyło się NAPRAWDĘ. Kiedy skończyłam, patrzył na mnie z mieszaniną niechętnego podziwu i źle skrywanego rozbawienia na twarzy.

– A niech mnie, Malice, jesteś zdrowo popieprzona – zawyrokował. – Wychodzi na to, że zjawiłem się w odpowiednim momencie i oszczędziłem biedakowi traumatycznych przeżyć przed śmiercią.

Na końcu języka miałam już złośliwą odpowiedź, ale przypomniała mi się obietnica, którą złożyłam bogom, więc się powstrzymałam. Chociaż, jakby się zastanowić, obyło się bez boskiej interwencji, więc chyba nie muszę się z niej wywiązywać. Prawda?

– Idę do domu, Tom – powiedziałam tylko. – Nie chcę cię widzieć przez najbliższe dziesięć lat, jasne?

– Oczywiście, Malice, żyję, by spełniać twoje życzenia.

Wyszczerył swoje olśniewająco białe zęby i skręcił w boczną uliczkę, uwalniając mnie od swojego towarzystwa.

Maszerowałam więc znów ciemną ulicą, a psy i koty uciekały w popłochu. Trafił się nawet bezdomny, który na mój widok wytrzeszczył oczy, złapał się za nos i zwiął za najbliższy róg.

Rany, musiałam naprawdę niezłe cuchnąć.

Aż przystanąłam, kiedy wyłapałam swoje odbicie w witrynie sklepowej. Wyglądałam gorzej niż źle. Twarz miałam brudną, włosy sterczały mi do góry, podtrzymywane przez zakrzepłą krew. Ubrania były w strzępach. Nic dziwnego, iż wariat utrzymywał, że go nie interesuję. Zrozumiałam też, dlaczego Tom tak dziwnie na mnie patrzył.

Oczywiście nawet się nie zająknął. Pewnie miał niezły ubaw.

Rzuciłam się biegiem do domu. Dziesięć minut później zdyszana padłam na werandę. Z krzaków wyskoczył mój piękny, czarny kocur – Shady. Stanowiliśmy dobraną parę. Obrzucił mnie spojrzeniem, które zdawało się mówić „Chyba potrzebne ci porządne mycie”, po czym odszedł, kołysząc ogonem. Z ciężkim westchnieniem podniosłam się i ruszyłam do drzwi. Skopałam buty z nóg, ściągnęłam przez głowę cuchnący podkoszulek i z obrzydzeniem cisnęłam go w kąt. Udałam się prosto pod prysznic.

Niespełna pięć minut później wycierałam się ręcznikiem, szczękając zębami jak szalona. Podejrzewam, że to jakieś pokręcone dziedzictwo związane z moim imieniem – Malice jest złośliwa w stosunku do ludzi, więc przedmioty martwe są złośliwe w stosunku do niej. Nic w przyrodzie nie ginie. Przeklinając zimny prysznic, udałam się do sypialni po czyste ubranie. Zauważyłam, że dioda przy faksie miga na czerwono. Wzięłam do ręki zadrukowaną stronę.

Droga Malice,

Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, iż niedoszłą ofiarą twoich krwiożerczych czarów był relegowany z Akademii, poszukiwany listem gończym, niejaki Mad Marger. Jego pupilek rozsmakował się w ludzkim mięsie, którego właściciel wspaniałomyślnie mu nie bronił. Za jego głowę wyznaczona była niezła sumka – 15 tysięcy. Biorąc jednak pod uwagę fakt, że nie przyczyniłaś się do jego śmierci, nie możesz jej otrzymać. Nie wykonałaś również powierzonego zadania, więc obiecanych dwóch tysięcy również nie mogę Ci wypłacić. Z uwagi na to niepowodzenie przez jakiś czas zapewne nie będzie dla Ciebie zleceń. Może nawet spełni się Twoje życzenie i nie zobaczymy się przez najbliższe dziesięć lat?

Miłego dnia,

Tom

Zmięłam kartkę ze złością i cisnęłam przed siebie. Dwa dni przesiedziałam związana w lochach i nie dostanę marnego grosza? I ponoć to ja byłam złośliwa. Walnęłam pięścią w ścianę, dając upust zdenerwowaniu. Ból spowodował, że złość opadła. Odechciało mi się wszystkiego.

Niech szlag trafi Toma i jego zadania – pomyślałam jeszcze i poszłam spać.

¹ Malice to po ang. „złośliwość”.

ROZDZIAŁ 2



FATALNE ZAUROCZENIE

Wstał kolejny dzień. Z niechęcią spojrzałam na słońce, które piekło niemiłosiernie, akurat prosto w moją twarz. Zdecydowanie musiałam przestawić łóżko. Albo, skoro moja współlokatorka nie śpi tu już trzeci tydzień, zwyczajnie zajmę jej. Tak, to niegłupi pomysł. Przeciągnęłam się, prostując kości. Co to dzisiaj mamy? Zerknęłam na kalendarz. Czyżby wtorek? Nienawidzę wtorków. Ani poniedziałków. Ani czwartków, środy w zasadzie też są do niczego. W piątki i weekendy nie mam zajęć, więc mogą być. Czekają mnie dzisiaj trzy nudne wykłady. Wróc, dwa, bo jeden – z historii magii, odbywał się właśnie w tej chwili. Właściwie zbliżał się już ku końcowi. Jeżeli miałam zamiar zdążyć na następny, musiałam się trochę pospieszyć.

Niesamowitym minusem mieszkania w internacie Akademii Magii był fakt, że nie działały tu żadne urządzenia elektroniczne. Wariowały od nadmiaru magii nagromadzonej w powietrzu. Przyzwyczajona do swojego odtwarzacza muzyki, nie mogłam sobie z tym poradzić, ale magia nie potrafiła istnieć koło techniki, działały przy niej tylko najprostsze urządzenia, takie jak budzik – na moje nieszczęście.

Pogwizdując pod nosem, zajęłam się poranną toaletą. Pokój w internacie Akademii na pierwszy rzut oka wyglądał jak pokój w każdym innym, normalnym akademiku, w którym mieszkali ludzie. Pojedyncze łóżko pamiętające lepsze czasy, niewielkie biurko, przy którym nie dało się siedzieć zbyt długo, jeśli nie chciało się dorobić wady postawy i wisząca na ścianie półka – wszystko w dwóch egzemplarzach. Do tego jeszcze spora szafa. Ale jeśli ktoś przyjrzałby się uważnie, dostrzegłby porozwieszane w dziwnych miejscach zioła i rośliny o niecodziennych kształtach. Wysuszone żabie oczy leżały porzucone na parapecie obok książek, które bynajmniej nie wyglądały jak podręczniki

w zwykłych szkołach wyższych, a podejrzane mikstury stały zakorkowane w zakurzonych buteleczkach.

Łazienka była klitką, w której mieściły się jedynie prysznic, sedes i umywalka. Na szczęście wisiało nad nią lustro, więc przeglądając się w nim, spokojnie szorowałam zęby.

Na kolejny wykład (z magii leczniczej) spóźniłam się tylko pięć minut. Usiadłam w ławce na samym końcu auli i nastawiłam się psychicznie na dwie godziny nudów, co prawda nie tak potwornych jak na historii magii, ale nadal nudów. Nic nie poradzę na to, że zupełnie nie interesowały mnie żadne zioła (chyba, że nie te stricte lecznicze), wywary, ani broń Boże pomaganie ludziom dzięki ich pomocy. Jedyne zajęcia, na których się nie nudziłam, to zajęcia praktyczne z zaklęć, bo teoria była tylko odrobinę mniej nudna niż magia lecznicza. Ale biedny profesor od zaklęć, gdy tylko widział, że przekraczam próg jego sali, jakby zapadał się w sobie. Mówiono mi, że odkąd pojawiłam się w Akademii, zrobił się strasznie nerwowy, on – ostoja spokoju i opanowania. Najwyraźniej moje eksperymenty i innowacyjne podejście do niektórych zagadnień wyzwalały w nim tę nerwowość.

Aula, w której mieliśmy wykład z magii leczniczej, była długa i wąska, z ławkami przypominającymi trochę te, które można spotkać w kościele. Para przede mną zamiast słuchać starej i zasuszonej profesor Urkwy, ścisnęła się za ręce. Dziewczyna niemalże siedziała na kolanach chłopaka. Nie spodobała mi się taka manifestacja uczuć. Nie każdy ma ochotę patrzeć na mizdrzącą się parę, szczególnie, gdy sam nie ma swojej drugiej połówki... nie żebym jakoś rozpaczliwie jej pragnęła, po prostu widok tej dwójki uraził moje uczucia. Co by tu... Rzuciłam okiem na chłopaka, który gapił się w dekolt swojej wybranki. Z braku lepszego pomysłu sprawiłam, że nagle załaskotało go w przetyku, żołądek się skurczył i całe jego śniadanie wylądowało na dziewczynie.

Incydent wywołał niewielkie zamieszanie. Dziewczyny siedzące w pobliżu osunęły się zde gustowane, mamrocząc przy tym pod nosem coś na kształt: „Jakie to paskudne”. Męska część grupy, choć rzucała głupie żarty, też trzymała się na dystans.

Ale, ale, to nie był koniec. Najwyraźniej chłopak nieźle sobie pojadł przed zajęciami, bo choć odwrócił głowę, rzygał dalej, tym razem na kolegów i koleżanki z klasy. Twarz jego dziewczyny, która niewątpliwie znalazła się w najgorszej sytuacji, wykrzywiło obrzydzenie, jej makijaż spłynął wraz ze łzami. Ani jedno, ani drugie nie wyglądało zbyt pięknie – oboje byli ubrudzeni wymiocinami. Profesor Urkwa dopadła nieszczęśnika i zaczęła wpychać mu do ust jakieś ziele, nie zwracając uwagi na to, że chłopak usiłuje coś mamrotać i wzbrania się niemalże rękami i nogami. Moje zaklęcie miało spowodować, że jego żołądek zostanie opróżniony całkowicie, ale najwyraźniej zielsko było silniejsze (albo zwyczajnie zwrócił już wszystko, co miał do zwrócenia). Otarł usta ręką i spojrzał ze łzami w oczach na swoją dziewczynę. Jego mina była komiczna.

– No, już, już – starała się go uspokoić profesor Urkwa. – Te zioła są niezawodne.

– To było ziele krwawnika? – Gdy to mówił, na jego twarzy pojawiło się przerażenie.

– Oczywiście, najlepsze na niekontrolowane wymioty.

– Jestem uczulony – powiedział słabym głosem.

Mina Urkwy była bezcenna! Na ciele chłopaka, szczególnie w okolicach twarzy, zaczęły pojawiać się pierwsze czerwone plamy.

– Przykro mi, chłopcze – powiedziała profesor i wepchnęła mu do ust kolejną garść zielska, po której znowu zaczął zwracać. Jak się okazało, miał jeszcze wiele w swoim żołądku.

Po tych zajęciach starałam się nie uśmiechać zbyt szeroko, bo zaraz wszyscy zorientowaliby się, że to moja sprawka. Już zerkali na mnie podejrzliwie, nie było sensu dawać im powodów do podejrzeń. Spuściłam więc oczy, przybrałam zniesmaczoną minę jak reszta ludzi z grupy i udałam się na stołówkę. Może nie było to najlepszym posunięciem pod względem taktycznym, ale była już pierwsza po południu, a mój żołądek głośno domagał się uwagi. Ignorując więc pełne dezaprobaty spojrzenia, nałożyłam sobie górę jedzenia na talerz i zaczęłam konsumować, jak tylko głodni studenci potrafią. Była wiosna, a to zdecydowanie dobrze wpływa na apetyt. Poza tym kucharki w Akademii znały się na rzeczy. Sytuacje, żebym kręciła nosem na to, co ugotowały, właściwie się nie zdarzały.

Gdy zaspokoiliam pierwszy głód, rozejrzałam się po sali i z niejakim zdziwieniem zauważyłam, że wiosna wpłynęła nie tylko na apetyt, najwyraźniej wszyscy poczuli zew natury, hormony dały się we znaki i oto na każdym kroku można było natknąć się na jakąś uroczą parkę, publicznie manifestującą swe gorące uczucia. Dosłownie.

Z tego wszystkiego, aż ode chciało mi się jeść. Niedojedzone resztki wyrzuciłam do pojemnika i odmaszerowałam w stronę internatu. Stołówka znajdowała się w tym samym gmachu, co sale wykładowe, musiałam więc przejść przez całe błonia. Do następnego wykładu miałam jeszcze półtorej godziny, musiałam je jakoś zagospodarować. W pokoju padłam na łóżko i zaczęłam gapić się na sufit.

Nagle otworzyły się drzwi. Oto i moja współlokatorka. Gdy dostrzegła, że jestem w środku, wyraźnie się spłoszyła. Jej postawa wyrażała niepewność, może nawet strach. Oparłam się na łokciach i patrzyłam. Wystarczyło tylko tyle, żeby pod biedną dziewczyną ugięły się nogi.

– Ja p...p...przyszłam tylko p...p...po rzeczy – wyjąkała.

– Spoko, mała, w końcu to również twój pokój – powiedziałam, mrużąc oczy. Anita dopadła szybko do swojej szafki, zabrała, co miała do zabrania i nie oglądając się za siebie, wybiegła z pokoju. Ech, dziewczynka była strasznie niewyrobiona. Nie wytrzymała

ze mną nawet tygodnia. Nie, żeby było mi przykro z tego powodu, w internacie nie ma jedynek, a ja nigdy nie lubiłam dzielić z kimś pokoju. Taki układ, choć wiedziałam, że nie potrwa długo, w stu procentach mnie satysfakcjonował.

Podeszłam do lustra i zaczęłam intensywnie wpatrywać się w swoje odbicie. Brzydka nie byłam, to wiedziałam. Kiedy przybyłam do Akademii, miałam wielu adoratorów, szybko jednak się zniechęcili. Najwyraźniej uroda przegrywała w starciu z charakterem. W pobliskim miasteczku, do którego chadzałam w weekendy, było wielu przystojniaków, którym czasem dawałam się uwieść, ale zazwyczaj nie widzieliśmy się nigdy więcej.

Miło byłoby mieć kogoś, kto nosiłby twoje książki, zajmował ci miejsce w stołówce i codziennie powtarzał, jak piękna jesteś. To już mi się zdarzało i wspominam to nawet nieźle, choć zazwyczaj szybko męczyło mnie, gdy któryś z moich byłych ograniczał moją swobodę w jakikolwiek sposób. Niemniej poczułam, że mam ochotę na *affaire*¹. Jeszcze raz przyjrzałam się swojemu odbiciu. Obcisłe spodnie i luźny podkoszulek nie były może najatrakcyjniejszym strojem, ale nie chciało mi się przebierać. Postanowiłam uciec się do jakiegoś prostego zaklęcia. Nie uroku, oczywiście, bo mały romans nie jest wart nieprzewidzianych konsekwencji, jakie niosą ze sobą uroki miłosne.

Wszyscy od zawsze powtarzali mi, że mam piękne oczy. Duże i czarne, okolone gęstymi, ciemnymi rzęsami rzeczywiście były całkiem ładne. Sęk w tym, że mało kto miał odwagę w nie spojrzeć.

Okej, więc proste zaklęcie – *Patrz mi w oczy*. Hmm, chociaż może: *Patrz na moje oczy*. O tak, patrząc mi w oczy nikt się we mnie nie zakocha, co najwyżej przestraszy. Przymknęłam powieki i skupiłam się, odpowiednio kształtując magię. To było banalne.

Spojrzałam na zegarek. Miałam jeszcze pół godziny do wykładu. W sam raz na zrobienie delikatnego makijażu.

Oczywiście nie zdążyłam na czas. Profesor od magii obronnej był bardzo surowy i nie tolerował spóźnień. Kiedy zdyszana wpadłam do auli, obrzucił mnie nieprzyjemnym wzrokiem:

– Proszę, proszę, kogo my tu mamy.

Spojrzałam mu prosto w oczy, przekrzywiając lekko głowę. Profesor, który szedł w moim kierunku, zagapił się i potknął o linoleum. W auli rozległy się śmiechy. Zamrugał gwałtownie.

– Siadaj na miejsce i staraj się już dzisiaj nie przeszkadzać.

Skierowałam się oczywiście prosto do ostatniego rzędu. Ludzie wiedzieli, że zawsze tam siadam, dlatego zazwyczaj zostawiali kilka pustych ławek. Nikt nie chciał mieć ze mną do czynienia, kiedy byłam wkurzona.

Profesor rozpoczął wykład. Truł coś o tym, jakie ważne jest skupienie podczas utrzymywania wokół siebie tarczy obronnej, jak każdy moment nieuwagi może być natychmiast wykorzystany przez przeciwnika, bla bla bla... Usadowiłam się wygodniej. To

będą bardzo długie dwie godziny...

Już zapadałam w drzemkę, gdy drzwi do sali otworzyły się gwałtownie i stanął w nich całkiem niezłe prezentujący się chłopak. Z ostatniej ławki nie widziałam dobrze jego twarzy, ale sylwetka była zachęcająca. Włosy miał obcięte po wojskowemu, na jeża. Uśmiechnął się szeroko do profesora. Zęby bez wątpienia wybielał sobie magicznie, mogłam to stwierdzić nawet patrząc ze swojego miejsca.

– Przepraszam za spóźnienie, ale nie mogłem znaleźć klasy – powiedział na jednym wdechu.

– Lekcja numer jeden: na moje zajęcia albo przychodzi się o czasie, albo nie przychodzi się wcale. Zapamiętaj to sobie. Nazwisko?

– Parker Anthony.

– Paker?

Na sali rozległy się śmiechy. Chłopak nie stracił animuszu. Ukłonił się lekko i puścił oko w stronę dziewczyn siedzących w pierwszych ławkach.

– Jeżeli pan profesor tak woli. – Uśmiech na jego twarzy stał się nieco zawadiacki.

– Zajmij wreszcie miejsce i przestań przeszkadzać. – Żarty żartami, ale przerwano mu już drugi raz w ciągu pół godziny. Musiał się niezłe zirytować.

W pierwszych rzędach było kilka wolnych miejsc, ale chłopak musiałby być ostatnim frajerem, żeby tam usiąść, środek zatłoczony, pozostał mu tylko koniec. Wyszczrzył do mnie zęby i zajął miejsce tuż obok. Odpowiedziałam uśmiechem. Nathaniel, który zalecał się do mnie dość długo i z marnym skutkiem, akurat pił colę i na ten widok aż się opluł.

– Patrzcie, Żmija się uśmiecha – wyraźnie usłyszałam, jak powiedział do swoich kolegów.

– Ej, Paker, na twoim miejscu bym uważał – rzucił. – Nie chcesz mieć z nią do czynienia – powiedział całkiem poważnym tonem.

Posłałam Tony'emu szczere, niewinne spojrzenie, wzruszyłam ramionami i udałam, że zajmuję się wykładem. Pozostałe półtorej godziny ciągnęło się niemiłosiernie długo. Gdy wreszcie, po zadaniu nam tony pracy domowej, profesor łaskawie życzył nam dobrej nocy i pozwolił opuścić salę, nie czułam tyłka. Cholerne krzesła, były twarde jak diabli. Musiałam pomyśleć o jakiejś poduszce albo zakłębciu, w przeciwnym razie zanim skończę Akademię, będę mieć płaski tyłek. Snując takie niewesołe rozmyślania, zebrałam swoje książki i ruszyłam w stronę drzwi. Zatrzymał mnie głos Tony'ego.

– Eee, przepraszam – powiedział niezbyt pewnym głosem, choć czułam, że to tylko gra.

– Tak?

– Jestem tu nowy i zastanawiałem się, czy nie mogłabyś pokazać mi, gdzie znajduje się męski internat.

Niby miał poważny wyraz twarzy, ale kobieca intuicja podpowiadała mi, że doskonale wie, gdzie znajduje się miejsce, o które pytał. Ale w końcu trzeba jakoś zacząć rozmowę.

– Jasne – powiedziałam, ignorując nieprzyjazne spojrzenia rzucane mi przez Nathaniela i jego kompanów.

Opuściliśmy budynek; skierowałam swoje kroki w przeciwną niż zazwyczaj stronę – do męskiej części internatu.

– A więc, jesteś nowy?

– Taa, moi rodzice mnie tu wysłali, sprawiałem kłopoty. – Mrugnął do mnie. Obrzuciłam wzrokiem jego sylwetkę pakera, wydatną szczękę i nieco skrzywiony nos, zapewne kilkakrotnie złamany.

– Co ty nie powiesz?

– Zamierzasz pozostać piękną nieznajomą, czy przedstawiś mi się w końcu?

– Malice.

– Miło mi cię poznać, Malice – powiedział i chyba mówił to całkiem szczerze.

Jeszcze będziesz żałował tych słów – pomyślałam. Tymczasem uśmiechnęłam się pięknie, mrugając zalotnie rzęsami.

– Pewnie mówiono ci to już tysiące razy, a ja nie chcę wyjść na tandetnego podrywacza, ale masz absolutnie cudowne oczy. – Lekko zniżył głos, gdy to mówił.

Ponownie się uśmiechnęłam i zatrzymałam. Chłopak, zapatrzony w me oczy zatrzymał się również i pochylił nade mną, licząc na... no właśnie, na co on liczył?

– Jesteśmy na miejscu. Męski internat. Do zobaczenia na zajęciach.

Rzuciłam mu ostatnie, pożegnalne spojrzenie i odeszłam. Byłam zadowolona z siebie. Najwyraźniej zrobiłam dobre pierwsze wrażenie, a to nie zdarzało mi się często.

Następnego dnia bardziej przyłożyłam się do porannej toalety. Rzuciłam zakłęcie na włosy – stały się błyszczące i prostsze niż zwykle. Postanowiłam zostawić je rozpuszczone. Nie byłam jeszcze na tyle zdesperowana, żeby zakładać spódnicę, standardowo wybrałam wąskie, czarne spodnie, ale do tego założyłam ciemnozieloną bluzkę ze sporym dekoltem. Dobrałam biżuterię i zadowolona z siebie obejrzałam się w lustrze. Prezentowałam się dobrze. Ostatnie pociągnięcie błyszcznikiem i mogłam ruszać na podbój męskich serc.

Idąc do budynku, w którym odbywają się zajęcia, odnotowałam, że ogląda się za mną

nieprzeciętna ilość męskich par oczu. W głębi ducha byłam zdeglustowana. Wystarczy bluzka z głębszym dekoltem, a oglądają się nawet za mną. Dlatego na co dzień wolałam ubierać się niepozornie, wtedy ludzie skupiali raczej uwagę na moim paskudnym charakterze i trzymali się z daleka. Zamyślona nie zauważyłam, że stanął przede mną chłopak z bodajże czwartego roku.

– Mała, wyglądasz bosko. Olej lekcje, choć z nami zajarać. Mam specjalne zioło. – Posłał mi porozumiewawcze spojrzenie. Palenie i to bynajmniej nie papierosów, było w Akademii Magii nagminnym procederem. Wszyscy studenci lubili eksperymentować, a mając pod nosem tak wielki zbiór wszelkiego rodzaju ziół, po prostu *musieli* to robić. Jakkolwiek propozycja chłopaka była całkiem kusząca, miałam misję do wypełnienia.

– Dzięki, ale może innym razem – odparłam i spróbowałam go wyminąć.

– Ależ kochanie – zastąpił mi drogę – nie daj się prosić, takiego towaru już nie będziemy mieli – perswadował, beczelnie gapiąc się na mojej cycki.

Nagle jego zapalniczka, niewątpliwe z pomocą magii właściciela, wylądowała na moim dekolcie, a sam właściciel wyciągnął po nią łapy. Nie był nawet w połowie drogi, kiedy jego nos napotkał na mój prawy sierpowy. Usłyszałam przyjemne dla ucha chrupnięcie i momentalnie zalała go krew. Przekląłam na pierścionki, które zachciało mi się zakładać. Teraz bolała mnie ręka, ale pocieszałam się tym, że jego bolało bardziej. Wyminęłam ślaniającego się i rzucającego bluzgami chłopaka i szłam dalej, zadowolona z siebie. Nic tak nie poprawia humoru, jak czysty prawy sierpowy na dobry początek dnia.

Przed wykładem poszłam jeszcze do łazienki umyć rękę. Dawno nauczyłam się uderzać tak, żeby nie ścierać sobie skóry z kości, ale dziś niefortunnie założyłam te cholerne pierścionki i nie udało mi się uniknąć kilku zadrapań. Skupiłam się i skierowałam magię w stronę opuchniętej dłoni. Czułam jak ból powoli znika, a pulsowanie staje się coraz słabsze. Otworzyłam oczy. Ręka prawie jak nowa.

Za drzwiami łazienki czekała mnie niespodzianka w postaci Tony'ego.

– Parker, śledzisz mnie?

– W żadnym wypadku, Malice, po prostu widziałem tę akcję na zewnątrz i chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Jak widać żyję i mam się dobrze. Twoja troska jest wzruszająca. – Posłałam mu czarujący uśmiech. – Czyżbyś miał teraz teorię zaklęć?

– Owszem, moja droga. – Odpowiedział mi równie czarującym uśmiechem.

– I pewnie pomyślałeś, że pokażę ci salę?

– Dokładnie tak pomyślałem, jesteś taka miła, że z pewnością mnie zaprowadzisz.

Jego spojrzenie było absolutnie szczere i rozbijające. Zbyt szczere jak na mój gust. Niemożliwe, żeby nie zdążył usłyszeć nic o tym, jak miłą osobą jestem w rzeczywistości. Spojrzałam na niego spode łba.

– Jasne, jak ja, ostoja uprzejmości, mogłabym ci odmówić? Chodźmy, nie chcesz

chyba znowu się spóźnić? – rzuciłam nieco zirytowana.

– Broń Boże, w końcu grunt, to dobre wrażenie.

Czułam, że się ze mnie nabija, ale postanowiłam to zignorować.

Dzień upłynął mi bardzo miło. Miałam jeszcze jeden wykład razem z Tonym, ale odnajdywał mnie na każdej przerwie między zajęciami i usilnie zabiegał o moją uwagę. Zajął mi miejsce w stołówce i nawet oddał swój deser. Tym szlachetnym gestem sprawił, że postanowiłam pozwolić mu się pocałować. Kiedy więc odprowadził mnie pod żeński internat i nachylił się nade mną, nie uchylałam się, grzecznie pozwoliłam mu na pocałunek. Ale gdy jego ręce znalazły się pod moją bluzką, odsunęłam się od niego. Widać było, że ma ochotę na więcej, nie należałam jednak do tych najłatwiejszych (przynajmniej kiedy było mi to na rękę). Ostatni raz skierowałam na niego swoje śliczne oczęta.

– Dobranoc, Tony.

– Hej, poczekaj. Słyszałam, że tutejszą tradycją jest zaczynanie weekendowych imprez już w czwartek. Dasz się gdzieś zaprosić?

Przemyślałam tę propozycję. Zachowywał się przyzwoicie, mogłam dać mu szansę.

– Dobra, możemy odwiedzić jakiś klub jutro wieczorem – zgodziłam się łaskawie.

Jego uradowany wyraz twarzy był rozbijający. Kto by pomyślał, na pierwszy rzut oka wygląda raczej na typowego macho.

– Do jutra – pożegnałam się ostatecznie. Tony niemalże w podskokach ruszył w stronę swojego internatu.

Znałam wszystkie kluby w pobliskim miasteczku. Odkąd zaczęłam tu studiować, dwa lata temu, miałam wiele okazji, by się po nich rozejrzeć. Ba, jako że nie byłam entuzjastką studenckich imprez, znałam je jak własną kieszeń, a i z większością stałych bywalców miałam różnego rodzaju kontakty. Postanowiłam, że wybierzemy się do takiego, gdzie jest na tyle ciemno, że nikt mnie nie rozpozna. Nie chciałam niezręcznych sytuacji.

Czwartek. Ten dzień jest tylko odrobinę mniej okropny od poprzednich dni tygodnia, jedynie dlatego, że oznacza początek upragnionego weekendu. No i tylko dwa wykłady oraz zajęcia, na które czekam cały tydzień – praktyka z zaklęć. Ciekawe, co profesor wymyślił

na dziś.

Perspektywa wieczornej schadzki również nastrajała mnie pozytywnie, więc kiedy do pokoju weszła Anita, nawet nie usiłowałam jej zastraszać. Obojętnie patrzyłam jak zabiera, co tam ma do zabrania i obserwuje mnie ze strachem w oczach. Kiedy zdenerwowana potknęła się i wypuściła wszystkie rzeczy, nie wytrzymałam.

– Przecież cię nie ugryzę, nie musisz się tak stresować – powiedziałam głosem, który wydawał mi się całkiem przyjazny.

Dziewczyna ze łzami w oczach (musiała źle odczytać moje słowa, czyżby myślała, że jej grożę?) czym prędzej pozbierała porzucane po podłodze przybory kosmetyczne i bluzki, po czym szybko opuściła pokój. Zaproponowałabym jej, żeby zabrała któregoś razu wszystko i już więcej nie wracała, bo jej niezapowiedziane najścia jednak mnie irytowały, ale wtedy ktoś mógłby się tym zainteresować i miałabym kolejną lokatorkę do odstraszenia. Zawsze mija trochę czasu, zanim uda mi się doprowadzić je do takiego stanu, że uciekają z krzykiem.

Na zajęciach z magii obronnej czekała mnie miła niespodzianka – profesor zdecydował się wreszcie na odrobinę praktyki. Nie było Tony’ego, a jak zwykle nikt nie chciał być ze mną w parze. Zazwyczaj musiałam ćwiczyć z profesorem, co niezmiennie było frustrującym doświadczeniem, bo Orwik był mistrzem w swoim fachu. Nienawidziłam się bronić, to było nudne i zbyt proste, szybko doszłam do etapu, w którym nikt nie mógł przełamać moich zaklęć obronnych, ba, ustawiłam je wokół siebie niemalże bezwiednie i odruchowo, żadne złośliwe zaklęcia skierowane w moją stronę się mnie nie imaly. Co innego kiedy atkowałam, ale to było nawet bardziej frustrujące. Jeszcze nigdy nie udało mi się wyprowadzić Orwika z równowagi, ani przełamać jego barier. Najwyraźniej był dobry w tym, czego nauczał.

Tradycji stało się zadość, skończyłam w parze z profesorem. Przypuszczam, że dla nas obojga było to równie irytujące, on nie mógł przełamać moich barier, ja nie byłam w stanie poradzić sobie z jego tarczami, byliśmy w impasie. Całą lekcję staliśmy naprzeciwko siebie i nic się nie działo. Jedynym plusem tej sytuacji był fakt, że nie musiałam katować swego tyłka na tych przeklętych krzesłach.

– Dzisiaj atakujesz. – Profesor najwyraźniej nie miał ochoty na łamigłówki. Zawsze łatwiej się bronić niż atakować.

Skloniliśmy się lekko i poczułam, jak Orwik unosi swe bariery. Kiedy znalazł się poza moim zasięgiem, zaczęłam czarować. Zawsze lepiej pracowało mi się z zamkniętymi oczami, ale w wypadku magii obronnej, było to niebezpieczne. Głupcem jest ktoś, kto myśli, że mając magię jako oręż, na pewno zwycięży. Czasem wystarczyła siła fizyczna, dobra technika walki i odrobina sprytu, by zwyciężyć nawet maga, czego ja, wraz z moimi pięściami, byłam doskonałym przykładem.

Bariery profesora zawsze odczuwałam jako gładki, gruby na kilkadziesiąt

centymetrów mur. I o ile tarcze moich kolegów z roku były mierne, w najlepszym przypadku kiepskie, i byłam w stanie przełamać je w najdłużej dwie minuty, o tyle tarcza Orwika była idealna. Nie miała żadnych słabych miejsc, co nie dawało mi punktu zaczepienia. Moja taktyka – zarzucanie sieci na całej długości i sukcesywne niszczenie muru, mogłaby okazać się skuteczna, gdybyśmy mieli dwa lata, nie dwie godziny do dyspozycji. Postanowiłam tym razem wzbogacić ją o pewne elementy. Wyobraziłam sobie azot, znajdujący się w powietrzu, następnie tlen. Z czasów, kiedy chodziłam jeszcze do zwyczajnej szkoły, pamiętam pewną lekcję chemii. Pamiętam, jak chuda, nerwowa kobieta mówiła, że wraz ze wzrostem obecności grup nitrowych w związku, wzrasta jego wybuchowość. Pamiętałam również, jak profesor od zaklęć mówił, że korzystanie z naturalnych zasobów środowiska sprawia, że zaklęcie nabiera większej mocy, niż kiedy korzystamy tylko z siły własnej woli.

Gdy moja nowa, ulepszona wersja sieci była gotowa, pozostało mi tylko rozproszyć nieco uwagę profesora, co mogło okazać się najtrudniejszą częścią. Na próbę wywołałam niewielki wybuch. Orwik stał niewzruszony.

– Myślałem, że wybuchy przerabialiśmy w tamtym semestrze. – Spojrzał na mnie z pewną dozą rozczarowania. Byłam jego najlepszą uczennicą i wiedział o tym równie dobrze jak ja, ale najwyraźniej liczył na to, że uczeń pokona mistrza. Potrzebowałam tego spojrzenia. Podchwyciłam je i zaczęłam wpatrywać mu się w oczy – zauważyłam, że mają wyblakły, niebieski kolor. Ta wiedza sprawiła, że poczułam się nieco niezręcznie. Zamrugałam i spuściłam wzrok. Orwik tak się zapatrzył, że chciał podążać za moim spojrzeniem.

Mam cię!

Spowodowałam wybuch na całej długości jego tarczy. Odrzuciło mnie do tyłu, rozległ się huk, o wiele głośniejszy niż przy moim popisowym numerze w zeszłym semestrze. Kiedy opadł pył i dym się trochę rozrzedził, ujrzałam nieprzytomnego profesora, leżącego na podłodze. Z jego ust sączyła się cienka stróżka krwi. Nie zwracając uwagi na zamęt panujący w auli, rzuciłam zaklęcie. Nieprzytomne ciało Orwika znalazło się w pozycji pionowej.

Jego bariery zostały zdruzgotane.

Wreszcie mi się udało.

Chwilę później drzwi otwały się z hukiem i do sali wpadła profesor Urkwa.

– Co tu się dzieje? – Powędrowała wzrokiem w stronę źródła zamieszania, czyli... cóż, mnie. – Znowu ty? – Rzuciła mi groźne spojrzenie.

Kiedy zauważyła nieprzytomne ciało profesora, jedynie siłą mojego zaklęcia utrzymywane w pozycji pionowej, spojrzała na mnie z mimowolnym zdumieniem i zarazem odrobiną niechęci.

– Ty i ty – powiedziała, wskazując na dwójkę najbliższych stojących uczniów,

otrzepujących się z pyłu. – Natychmiast wyczarujcie mu nosze i biegiem zanieście profesora do skrzydła szpitalnego. Koniec lekcji na dziś!

Takim oto sposobem wyczarowałam nam dodatkowe pół godziny wolnego. Nie opłacało mi się wracać do internatu, poszłam więc do biblioteki. Wzięłam z półki *Otella* i udałam się na mój ulubiony fotel, ukryty między regałami, gdzie nikt nie miał prawa mnie znaleźć. Usadowiłam się najwygodniej, jak potrafiłam i pograżyłam w lekturze.

Oczywiście musiałam zacytować się do tego stopnia, że spóźniłam się na kolejne zajęcia. Profesor od zaklęć był wyraźnie rozczarowany, kiedy wbiegłam na jego lekcję. Nie słuchał nawet moich przeprosin, ze zrezygnowaną miną wskazał mi stolik i wrócił do przerwane go wykładu.

– Mitem jest, że można stworzyć coś z niczego. W przyrodzie zawsze musi być zachowana równowaga. Nawet jeżeli wydaje wam się, że wasze zaklęcie nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji, nie jest tak. W tym momencie pozwolę sobie zacytować pewnego artystę, który bardzo dobrze ujął ten problem: „Konsekwencje nie giną, dojrzeją jak wino, jak cień będą przy tobie, a gdy nadejdzie czas upomną się o swoje”. Tak, moi drodzy. Zanim rzucicie jakikolwiek urok czy zaklęcie, pomyślcie najpierw o konsekwencjach. Pomyślcie dwa razy. – W tym momencie spojrzał na mnie znacząco.

Przewróciłam oczami. Jasne, jasne, powtarza to mniej więcej na każdych zajęciach. Myśli chyba, że za którymś razem wezmę sobie jego słowa do serca. Próbuje dziadku, próbuj, może za którymś razem ci się uda.

– Dziś zajmiemy się czymś bardziej skomplikowanym. – Znowu na mnie zerknął, musiał naprawdę żałować, że jednak przyszłam. – Zaklęcia długoterminowe. Ich skutki będziecie mogli obserwować najwcześniej za miesiąc.

To mnie zainteresowało. Stwarzało duże możliwości.

– Jeżeli któraś z dziewczyn jest zainteresowana przedłużeniem swoich włosów, ma teraz dobrą okazję.

– A chłopaki co mogą sobie przedłużyć? – padło pytanie. Rozległy się śmiechy.

– Och, dobrze, że pytacie. Muszę was ostrzec, żebyście nie popróbowali tego rodzaju zaklęć na częściach ciała. Przynajmniej nie przy waszym stopniu zaawansowania. Zresztą, w tym wypadku na efekty trzeba czekać lata, nie miesiące, przyrost nie będzie większy niż kilka centymetrów, a zaklęcie wymaga niezwyklej systematyczności, jeżeli zdarzy wam się o nim zapomnieć... nie muszę mówić, że skutki byłyby opłakane. Za to włosy i paznokcie to bardzo dobry materiał treningowy dla dziewcząt. Chłopcom proponuje jakieś części przyrody ożywionej. Strona sto pięćdziesiąta szósta w książce. Do roboty!

Spojrzałam na swoje włosy. Były raczej przeciętnej długości, ale zawsze marzyły mi się takie do pasa. Szybko obliczyłam, że gdybym stosowała regularnie to zaklęcie, w ciągu czterech miesięcy osiągnęłyby upragnioną długość. Paznokciami nie warto się zajmować, przeszkadzałyby mi na treningach. Otworzyłam książkę na odpowiedniej stronie i zaczęłam

czytać opis zaklęcia.

Lekcja minęła spokojnie. Postanowiłam, że później rozważę szeroki wachlarz możliwości, jakie daje ten typ zaklęć. Tymczasem udałam się na ostatni w tym tygodniu wykład – zniechęconą historię magii. Musiałam zadbać o swoją frekwencję, w tym semestrze na większej ilości zajęć mnie nie było, niż byłam, a jeżeli chciałam być w ogóle dopuszczona do egzaminów, niestety musiałam przeboleć i iść. Tradycyjnie zajęłam miejsce w ostatniej ławce. Rzuciłam zaklęcie na krzesło. Stało się odczuwalnie bardziej miękkie. Westchnęłam z zadowoleniem i przymknęłam oczy.

Kiedy ocknęłam się dwie godziny później, ludzie zbierali się do wyjścia. Szybko zebrałam swoje książki i podążyłam za nimi. Niestety przy wejściu złapał mnie profesor. Był małym, upierdliwym człowieczkiem, który najwyraźniej uważał, że jego przedmiot jest szalenie interesujący.

– Malice, jak miło było cię wreszcie gościć na moich zajęciach. – Wcale nie wyglądał, jakby było mu miło, parszywy kłamca.

– Mnie też było miło, panie profesorze – powiedziałam obłudnie.

– Mam nadzieję, że na następnych też się zjawisz. W przeciwnym razie będę musiał...

– Tak wiem – przerwałam mu. – Wyciągnąć konsekwencje. Przerabialiśmy to w poprzednim semestrze. Obiecuję, że się zjawię. A teraz, jeśli pan wybaczy, jest czwartek, a ja jestem umówiona.

I wyszłam.

Może nie było to specjalnie uprzejme, ale widok tego człowieka sprawiał, że miałam ochotę potraktować go zaklęciem ciężkiego kalibru. W poprzednim semestrze przepuścił mnie z wielką łaską, pastwił się nade mną tygodniami, kazał pisać nieznośnie nudne referaty, czytać stare i nieciekawe traktaty. Odwdzięczyłam mu się za to i choć oficjalnie nic mi nie udowodniono, on wiedział, że to byłam ja, a ja wiedziałam, że on wie. Nie chciałam zastanawiać się nad tym, co wymyśli w tym semestrze, żeby mi dopiec. Wolałam raczej pomyśleć, co wymyślę ja, żeby się na nim odegrać.

Pod drzwiami czekał na mnie Tony. Razem poszliśmy na stołówkę. Podawali akurat mój ulubiony kompot, sprawdziłam, czy nikt nie patrzy i wzięłam cały dzbanek dla naszej dwójki. Zajęliśmy miejsce przy niewielkim stoliku pod oknem.

– Więc, moja droga, uchyl rąbka tajemnicy i zdradź, do jakiego klubu mnie zabierzesz? – Tony całym sobą wyrażał żywe zainteresowanie.

– Nocnego, mój drogi, nocnego – odpowiedziałam, nieznacznie unosząc kąciuki ust ku górze.

Tony uśmiechnął się szeroko.

– Mnie to jak najbardziej odpowiada.

– Nie wątpię.

– Masz najcudowniejsze oczy na świecie, mówiłem już?
– Czy mówiłeś? Powtarzasz to codziennie, kilka razy dziennie.
– Niemożliwe. – Wyglądał na autentycznie zdziwionego.
– A jednak.
– Chcesz przez to powiedzieć, że jestem monotony? – spytał z błyskiem w oku.
– Ależ skąd, to całkiem miłe. – Barwę oczu Tony’ego ciężko było określić. W zależności od światła były raz niebieskie, raz zielone. – Twoje oczy też są fascynujące.
– Wow, to chyba pierwszy komplement, jaki od ciebie usłyszałem.
– Chcesz przez to powiedzieć, że jestem mało wylewna? – Uniosłam jedną brew, wpatrując się w niego.

– Ależ skąd, jesteś całkiem... eee, miła.

Rzuciłam mu groźne spojrzenie.

– Dzisiaj ty możesz zjeść mój deser. Ja uciekam do internatu, muszę się przyszykować. Przyjdź po mnie o dwudziestej.

– Dobrze, moja miła.

– Przestań tak do mnie mówić, bo jeszcze się rozmyślę.

– Przepraszam, Malice. Nie gniewaj się. Przyjdę po ciebie wieczorem.

Wstał i pocałował mnie w usta. Pomna swoich przemyśleń z wtorku, nie chcąc nikomu obrzydzać jedzenia, odsunęłam się szybko i wyszłam.

Wypiłam cały dzbanek kompotu, przez co miałam straszne parcie na pęcherz. Pobiegłam do łazienki. Wpadłam do damskiej, ale kolejka była tak przeraźliwie długa, że szybko wyszłam i rozglądając się, czy nikt nie patrzy, weszłam do męskiej. Na szczęście w środku nie było nikogo. Wyglądała dość obskurnie, w powietrzu unosił się mocny zapach moczu, którego nie były w stanie zatuszować nawet zapachowe zioła i brakowało lustra nad umywalkami, ale nie miałam czasu się tym przejmować.

Zajęłam ostatnią kabinę i ulżyłam pęcherzowi. Już miałam wychodzić, kiedy usłyszałam, że otwierają się drzwi. Przeklinając pod nosem, stanęłam na desce. Po głosach poznałam, że to Nathaniel i jego kumple.

– Jak myślicie, przeleci ją dzisiaj?

– Przeleci, nie przeleci, i tak przegramy zakład. Słyszałyście, jakie słuchy chodzą o niej i jej zabawach w klubach. Na imprezy studenckie nie chodzi, woli puszczać się na dyskotekach.

O kurczę, brzmiało tak, jakby mówili o mnie. Poczułam się zaintrygowana.

– T. powiedział, że przed upływem tygodnia przeleci ją na pewno, a nim miną dwa, owinie ją sobie wokół małego paluszka, a potem rzuci. Żmijka poczuje wreszcie, jak to miło zostać ze złamanym sercem. – Głos Nathaniela poznałabym wszędzie.

Ze złości podskoczyło mi ciśnienie. A więc tak to sobie zaplanował. Spokojna głowa, czy by mnie przeleciał, czy nie, ze złamanym sercem nie skończyłabym na pewno.

Chciałam tylko kogoś, kto nosiłby moje książki, czekał na mnie pod salą i powtarzał, jak piękne są moje oczy. Czy to wiele, jak na dziewczynę? Na nieszczęście Tony'ego, okazało się, że jest zwykłym palantem.

Drzwi łazienki ponownie się otwały. Nathaniel wyszedł, zabierając ze sobą kolegów i nastąpiła cisza. Powoli zesłam z deski.

Trybiki w mojej głowie już pracowały na zwiększonych obrotach. Obmyślałam zemstę totalną, zemstę absolutną i bolesną. Miałam kilka godzin do dwudziestej.

O ile na początku nawet nie brałam pod uwagę korzystania z uroku miłosnego, tak teraz byłam skłonna go użyć. Zobaczmy, kto tu kogo wydyma.

W celu obmyślenia planu poszłam oczywiście do biblioteki. To było moje ulubione miejsce w całej Akademii. Była ogromna, zapach zakurzonych starych ksiąg dało się wyczuć jeszcze na schodach. Olbrzymie regały, sięgające niemal sufitu, ciągnęły się i ciągnęły, niemal bez końca. Byłam prawie pewna, że poruszały się w nocy. Ktoś, kto nie wiedział, jak z nich korzystać, w życiu nie znalazłby książki, której szukał. Ta biblioteka miała duszę, czasem, kiedy siedziałam w fotelu zagłębiona w lekturze, czułam jej *obecność*. Była w niej jakaś inteligencja, biblioteka czuła, którzy studenci są naprawdę warci odkrycia jej skarbów i czasem im na to pozwalała – ale tylko wybranym.

Mnie polubiła od samego początku, zresztą z wzajemnością. Jeszcze na pierwszym roku odkryłam w niej różnego rodzaju schowki, w których ukryte były książki, zapewne nie przeznaczone dla uczniowskich oczu. Doskonale pamiętałam, że jedną z pierwszych „zakazanych” ksiąg, na które się natknęłam, była księga uroków miłosnych.

Z zakamarków własnej pamięci wydobyłam wspomnienie o miejscu, w którym się znajdowała. Przypomniałam sobie, jak w poszukiwaniu sztuki Szekspira *Wiele hałasu o nic*, zawędrowałam do działu z szesnastowieczną literaturą angielską.

Chwilę trwało, zanim odnalazłam schowek. Książka oczywiście nadal tam była, dokładnie w tym samym miejscu, w którym ją wtedy zostawiłam, niezainteresowana tematem. Wydobyłam ją z zakurzonego schowka i zaczęłam przeglądać. Dość szybko natrafiłam na zaklęcie, które mi się spodobało i pasowało do okoliczności. Nazywało się „Taniec nimfy”. Kobieta hipnotyzowała nim mężczyznę i sprawiała, że oprócz bezwarunkowej miłości, stawał się jej również całkowicie poddany. Szybko przepisałam zaklęcie i odłożyłam księgę na swoje miejsce.

Przy wyjściu uśmiechnęłam się do starej bibliotekarki. Ludzie bali się przez nią przychodzić do biblioteki, ale ze mną zdążyła się już oswoić, bo co by nie rzec – byłam tu dość częstym gościem.

Już w pokoju zaczęłam myśleć nad połączeniem tego uroku z długoterminowym zaklęciem. Uroki mają to do siebie, że choć są niezwykle silne, nie działają długo. Można je porównać do płomienia, który płonie jasno i gorąco, ale szybko się wypala. Ja byłam zainteresowana czymś bardziej długotrwałym, niż tylko posłuszeństwem na jedną noc. Wykorzystując słowa z książki stworzyłam własne, odpowiednio ulepszone zaklęcie.

Zanim nauczyłam się go na pamięć, minęła dziewiętnasta. Zaczęłam się ubierać. Na tę okazję założyłam nawet króciutką spódniczkę, która ledwo zasłaniała mi pośladki. Do tego czarne pończochy i buty na umiarkowanie wysokich obcasach. Włożyłam jeszcze krótką, błyszczącą złotem bluzkę, zarzuciłam na nią skórzaną kurtkę i uznałam, że mam już na sobie wystarczającą ilość ubrań. Z biżuterii zrezygnowałam zupełnie.

Zrobiłam sobie ciemny, wieczorowy makijaż, związałam włosy w koński ogon i przejrzałam się w lustrze. Gdybym była facetem, chyba bym się podnieciła na swój widok.

Było pięć po dwudziestej, wyjrzałam przez okno. Tony już czekał. Jeszcze jedno spojrzenie w lustro i mogłam iść.

Na mój widok zagwizdał.

– Wyglądasz oszałamiająco – powiedział, lustrując mnie spojrzeniem od stóp do głów.

– W sam raz na wieczór w klubie nocnym. – Mrugnęłam do niego.

Akademia leżała poza zasięgiem ludzkich oczu. Z trzech stron chronił ją nieprzebyty dla postronnych las, z czwartej zaklęcia odwracające uwagę. W zasadzie można by rzec, że znajdowała się pośrodku niczego. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zapuszczał się zbyt głęboko w las. Gęsta ściana drzew i niesamowity klimat zniechęcały nawet największych poszukiwaczy przygód. Wystarczyło zagłębić się w niego dosłownie na kilkadziesiąt metrów, by poczuć wyraźny spadek temperatury – nie wspominając o ślepiach, gapiących się na ciebie spomiędzy drzew. Ten las nie był normalny i wolałam trzymać się od niego z daleka.

Miasteczko było oddalone od Akademii o dobrych kilka kilometrów. Taka odległość gwarantowała skuteczność zaklęcia odwracającego uwagę. Rzucali je najlepsi magowie, a dyrektor Akademii co jakiś czas osobiście sprawdzał jego stan, było więc nawet silniejszą barierą niż las. Ludzie dosłownie się od niej odbijali.

Żeby dostać się do miasteczka, musieliśmy pokonać cały dystans na piechotę, dlatego zrezygnowałam z moich najwyższych butów. Narzuciłam szybkie tempo i po niecałej godzinie siedzieliśmy już w klubie. Nie było to może moje ulubione miejsce, ale ze względu na słabe oświetlenie zapewniające anonimowość, zdecydowałam się właśnie na

nie.

Nie byłam zwolenniczką gadki szmatki, poza tym umierałam z pragnienia, by wreszcie wypróbować swój urok, więc gdy wypiliśmy po piwie, podniosłam się z krzesła.

– Czas na taniec.

– Zatańczysz dla mnie? – spytał Tony z lubieżnym uśmiechem.

– Zatańczę.

Jak powiedziałam, tak zrobiłam. Znałam się z właścicielem klubu i większością kelnerów, kiedy więc weszłam na niewielką scenę i poprosiłam panienkę, która kręciła się na rurze, by zrobiła mi miejsce, nikt nie robił problemów.

Zaczęłam show. Wypiłam odrobinę za mało, żeby zachowywać się zupełnie swobodnie, ale słowa zaklęcia, które szeptałam, wyginając ciało i patrząc prosto w oczy Tony'ego, dodawały mi animuszu.

Ktoś skierował światła na scenę. Widziałam, że męska część publiczności obserwuje mój taniec ze śliną na ustach. Mile mnie to polechtało i sprawiło, że zdecydowałam się wykonać popisowy numer na rurze, którego uczyła mnie kiedyś znajoma tancerka go-go.

Wypowiadając ostatecznie słowa zaklęcia, opadłam na podłogę, robiąc szpagat. Rozległy się brawa i gwizdy. Spojrzałam na Tony'ego. Jego oczy utraciły rozumny wyraz. Wpatrywał się we mnie, jak wół na malowane wrota.

Wtedy na scenę wskoczył mężczyzna z nagim torsem. Znałam go z widzenia, często polował tu na młode, niedoświadczone panienki. Był przystojny, ale wiedział o tym i bezlitośnie to wykorzystywał. Z czystej złośliwości nigdy nie dałam mu się uwieść. Jego ego zapewne było rozdmuchane do granic możliwości, miła więc była myśl, że mogę je nieco nadwyrężyć.

– Byłaś oszalamiająca, kotku. Od początku wiedziałem, że jest chodzącym seksem. Nie odmawiaj mi tym razem. – Jego głos był wyćwiczony – niski i uwodzicielski, sprawiał, że kobietom miękły kolana. Obliziałam wargi.

– Dam się zaprosić do tańca – zgodziłam się łaskawie.

Porwał mnie na rękę i zeskoczył ze sceny. Puścili wolną piosenkę, a jego dłonie momentalnie znalazły się pod moją spódnicą. Forsował właśnie granicę moich majątek, kiedy czyjeś ręce brutalnie go ode mnie oderwały i rzuciły na ścianę.

Oto i Tony, chyba poczuł się zazdrosny.

– To moja dziewczyna dupku, trzymaj łapy przy sobie, albo ci je połamię – warknął groźnie. Wyglądał w tym momencie jak totalny psychopata, miał pianę na ustach. Ten z gołym torsem podniósł się właśnie z podłogi.

– Koleś, nie sądzę, żeby ona chciała mieć z tobą do czynienia. Prawda, kotku? – rzucił w moją stronę.

Chwilę pomyślałam. Lekcja numer 1: upokorzenie.

– Właściwie to nie, nie chcę – powiedziałam, złośliwie mrużąc oczy.

Gdybym była choć odrobinę wrażliwa, mina Tony’ego pewnie by mnie wzruszyła. Wyglądał, jakby jego świat skończył się w tym momencie.

– Jak to nie chcesz?

– Nie chcę. Mam ochotę spędzić dzisiejszy wieczór z nim. – Wskazałam na szczerzącego się przystojniaka. – Ty możesz wracać do domu. Nasz wspólny wieczór dobiegł końca – oznajmiłam bezlitośnie.

Widziałam, że ma dziką ochotę rzucić się na tamtego koleśia, złapać go za gardło i nie puszczać, dopóki nie wyzionie ducha, ale kazałam mu wracać, był więc zobowiązany wykonać moje polecenie. Ze zbolałym wyrazem twarzy opuścił klub, a ja zostałam, przetańczyłam kilka godzin z przystojniakiem i tym razem dałam się uwieść.

Niech ma.

Następnego dnia obudziłam się w nieswoim łóżku. Obok mnie leżał nagi facet z klubu. Musiałam oddać mu honor – technikę miał naprawdę dobrą, uwiedzione przez niego panny nie traciły wiele, a wręcz zyskiwały noc niesamowitych wrażeń. Ale nasz czas się skończył, musiałam wracać.

Ubrałam się cicho, tak żeby nie obudzić śpiącego mężczyzny. Nie widziałam sensu w zostawianiu mu wiadomości. Pewnie jeszcze się spotkamy. Co ja mówię, na pewno jeszcze się spotkamy.

Wyszłam, cicho zamykając za sobą drzwi. Dojście do internatu zajęło mi ponad godzinę, byłam niezłe skacowana po wczorajszych niezliczonych drinkach. Świeże powietrze oczyściło moje myśli, zaczęłam rozmyślać, jak zemścić się na Nathanielu. Niewątpliwie wszystko to jego sprawka i pewnie zasługuje na jeszcze boleśniejszą zemstę niż Tony, chwilowo brakowało mi jednak weny. Postanowiłam, że pomyślę o tym później, na kacu zawsze przychodziły mi do głowy tylko nienormalne pomysły, których nawet ja bałabym się wprowadzić w życie.

Pod drzwiami internatu czekała na mnie niemiła niespodzianka w postaci Tony’ego.

– Co ty tutaj robisz? Nie wiesz, że nie możesz przebywać na terenie żeńskiego internatu o tej godzinie? – powiedziałam zirytowana.

– Byłaś z nim całą noc? – W jego oczach czaiło się szaleństwo.

– Może tak, może nie. Robiłam to, na co miałam ochotę. Masz z tym jakiś problem?

Milczał. Postanowiłam podejść go z innej strony.

– Czyżbyś nie chciał, żebym była szczęśliwa?

– Niczego innego nie pragnę, tylko twojego szczęścia, ukochana. – Słowa te wypowiedział z uczuciem, niczym romantyczny kochanek.

– Uczynisz mnie szczęśliwą, jeżeli zejdziesz mi z oczu. Sterczałeś tu całą noc? Idź się ogarnij, prześpij, daj mi żyć – rozkazałam. Chciał, nie chciał, poszedł spełnić moje polecenie.

Tymczasem ja dotarłam do pokoju, zrzuciłam wymięte ubranie, walnęłam się do łóżka i przespałam południe. Ocknęłam się o godzinie siedemnastej. Wzięłam szybki prysznic, a potem odświeżona zaczęłam rozmyślać. Wyrzłałam przez okno, oczywiście Tony już tam był. Nie chciało mi się do niego wychodzić.

Mój pokój był na drugim piętrze, może cały internat nas nie usłyszy.

– Hej, Tony! – krzyknęłam na niego przez okno.

– Tak, ukochana? – odpowiedział natychmiast.

– Jest dzisiaj jakaś impreza na kampusie, na którą chciałbyś mnie zabrać?

– Nathaniel urządza jedną. Z tego co wiem, zaczyna się o dwudziestej.

– Świetnie, więc przyjdź po mnie kwadrans po.

– Tak, najdroższa – zgodził się uradowany.

Widząc, że nie zamierza odchodzić, krzyknęłam:

– Możesz iść do siebie, nie musisz tu sterczeć jak widły w gnoju. Przyjdź o dwudziestej piętnaście.

Odszedł z rozanieloną miną, wyraźnie ucieszony perspektywą spędzenia ze mną dzisiejszego wieczoru.

A więc impreza u Nathaniela. To się składa nie świetnie, ale wręcz wyśmienicie. Wyciągnęłam się na łóżku. Postanowiłam, że zdrzemnę się jeszcze z godzinkę. Nastawiłam budzik na dziewiętnastą i ponownie zapadłam w sen. Obudziłam się przed dzwonkiem. Na zewnątrz było już prawie całkiem ciemno. Podniosłam się z wyrka i obrałam kurs na łazienkę. Nie chciało mi się znowu kąpać, rozczesałam tylko włosy i nałożyłam makijaż. Cholera, ostatnio zbyt często go nakładam.

Dziś musiałam ubrać się z nawet większą starannością niż wczoraj. Misja na ten wieczór była nieco trudniejsza do wykonania – uwieść Nathaniela, który nienawidzi mnie z całego serca za wszystkie upokorzenia, których przez mnie doznał. Cały pierwszy rok był dla niego piekłem, dopiero teraz zaczął się odnajdywać. Zdobył wreszcie przyjaciół i ugruntował swoją pozycję. Najwyraźniej poczuł się na tyle pewnie, że postanowił mnie zniszczyć.

Twój błąd, kochasiu. Nie wiem jeszcze jak dokładnie, ale bez wątplenia zapłacisz za to słono.

Moje czarne pończochy nie przetrwały poprzedniego wieczoru. Założyłam więc leginsy, w których mój tyłek prezentował się szczególnie apetycznie, do tego krótką,

pseudosukienkę, która ledwie zasłaniała pośladki. Sprawdziłam, czy dekolot jest odpowiednio głęboki. Nie trzeba było się nawet specjalnie wysilać, żeby dostrzec moje skarby. Prawidłowo.

Włosy tym razem postanowiłam zostawić rozpuszczone. Używając zakłęcia sprawiłam, że zakręciły się w duże loki. Do tego dodałam wielkie, okrągłe kolczyki i byłam gotowa. Zdecydowanie, nikt mi się nie oprze.

Była dwudziesta dziesięć, Tony już czekał. Zeszłam do niego, tym razem na swoich najwyższych, piętnastocentymetrowych szpilkach na platformie. Łaskawie dałam mu buziaka na powitanie. Nie musiałam nawet stawać na palcach, byliśmy teraz równego wzrostu.

– Ależ urosłaś, moja mała – próbował żartować.

– Powinnam przechrzcić się na Alice?

– W żadnym wypadku, kochanie, twoje imię pasuje do ciebie idealnie – zapewnił mnie.

– Po raz pierwszy się zgadzamy.

Jak się okazało, impreza odbywała się na skraju lasu, który otaczał tereny Akademii. Nie lubiłam zabaw w plenerze, ale co zrobić, siła wyższa.

– Proszę, proszę, nie wierzę własnym oczom, kogo nam przyprowadziłeś. – Nathaniel rzeczywiście wyglądał na zdziwionego, gdy nas zobaczył. Uśmiechnęłam się do niego zalotnie, przekrzywiając głowę.

– Namawiał mnie tak długo, że w końcu postanowiłam przyjść. Wszystko dla mojej żabci – powiedziałam, podkreślając swoje słowa pocałunkiem. Tony stał tylko z głupią miną, kiwając głową na potwierdzenie moich słów. – Chyba nie masz mi jeszcze za złe tego, co działo się na pierwszym roku? – Spojrzenie moich oczu wyrażało czystą niewinność.

– Nie mam, pewnie, że nie. Jak mógłbym się gniewać na tak piękną dziewczynę? – powiedział niepewnym głosem.

– No właśnie, jak? Pogadamy jeszcze – obiecałam i odeszłam z Tonym. Obietnicy zamierzałam dotrzymać.

Ludzie z roku obrzucali mnie nieufnymi spojrzeniami. Patrzyli najpierw na Tony'ego, potem na mnie i dyskretnie odchodzili w przeciwną stronę. W sumie im się nie dziwiłam.

Po upływie godziny wysłałam Tony'ego po mandarynkowego drinka. Wiedziałam, że nie mają tu takiego, ale powiedziałam, że bez niego ma nie wracać. Powinno go to zająć na wystraszającą ilość czasu. Podeszłam do Nathaniela.

– Widzę, że dobrze wam się układa – zagaił.

– Tak, dobrze, choć muszę przyznać, że Tony niezupełnie spełnia moje oczekiwania. Jeśli wiesz, o co mi chodzi.– Rzuciłam mu znaczące spojrzenie.

– Napijesz się? – zaproponował jak prawdziwy gospodarz.

– Jasne. Co tam masz?

– Wódkę oczywiście.

Uśmiechnęłam się. To dobrze, bo nie lubiłam się rozdrabniać. Piwo jest dla słabeuszy.

– Masz kubki?

Wskazał głową na stosik piętrzący się na polowym stoliku.

– No to polej.

Nalał do połowy dla mnie i dla siebie.

– Za nowy początek – powiedziałam. Stuknęliśmy się plastikowymi kubkami i wypiliśmy do dna.

Po kilku takich kolejkach siedziałam mu na kolanach, a on bez żenady patrzył mi w dekolt, najwyraźniej zachwycając się tym, co widzi.

– Wiesz – powiedział – jesteś zupełnie inną dziewczyną, niż by się mogło wydawać. Myślisz, że mimo wszystko mogłabyś dać mi szansę?

– Mój drogi, zapominasz, że jestem zajęta – upomniałam go z dezaprobatą.

– Pieprzyć Tony’ego. To fagas. Poza tym on cię nie kocha, założył się, że cię przeleci, wiesz o tym?

Udałam zszokowaną. W moich oczach zabłysnęły udawane łzy.

– Mój Boże, a ja naprawdę... – celowo nie dokończyłam, dając Nathanielowi otwarte pole do domysłów. Pochylił się nade mną.

– Jeżeli chcesz, mogę to z nim załatwić.

Skierowałam na niego pełne łez spojrzenie. Wydełam lekko wargi. Nathaniel nachylił się nade mną, chwilę później jego usta spoczęły na moich. Zanim pocałunek zdążył się pogłębić, czyjeś ręce przeszkodziły mi po raz kolejny. Wrócił Tony. Rzucił się na Nathaniela i zaczął okładać go pięściami.

– Ze wszystkich ludzi, ty? Ty, właśnie ty??? Jak śmiesz ją całować?! ZABIJĘ CIĘ, GNOJU!

I chyba rzeczywiście zamierzał to zrobić, a ja bynajmniej nie miałam zamiaru mu przeszkadzać. Kiedy słodka buźka Nathaniela zmieniła się w krwawą miazgę, ludzie zaczęli wreszcie interesować się odgłosami bójki. Ktoś musiał zawiadomić profesorów, bo znikąd zjawiono się kilku. Za pomocą magii oderwano oszalałego Tony’ego od Nathaniela i unieruchomiono. Rzucił się jeszcze, mamrocząc: „zabiję, zabiję”.

Najwyższy czas, żeby się ulotnić. Zanim ktokolwiek zdążył zarejestrować moją (nie)obecność, zniknęłam między drzewami. Pod ich osłoną szybko dotarłam do internatu.

Położyłam się w łóżku. Zanim ogarnął mnie sen, zdążyłam jeszcze pomyśleć, że buźka Nathaniela już nigdy nie będzie piękna, a Tony najpewniej trafi do więzienia. Cofnęłam jeszcze swój miłosny urok i zasnęłam snem sprawiedliwego.

Kilka dni później dowiedziałam się, że Nathaniela operował najlepszy chirurg w kraju, ale kości jego twarzy były tak zdruzgotane, że nawet magia nie mogła mu pomóc. Chodziły słuchy, że już nie wróci do Akademii.

Co do Tony'ego, tak jak przewidywałam, trafił do zakładu zamkniętego. Uznano go za niepoczytalnego umysłowo. Mimo że zdjęłam urok, najwyraźniej nadal coś do mnie miał, bo przysyłał mi z wariatkowa listy pełne miłosnego bełkotu. Na chwilę w głowie pojawiła mi się nawet myśl, że przestrogi profesora od zaklęć nie były zupełnie bezpodstawne, ale szybko ją odrzuciłam. Tony pisał, że kiedy wyjdzie, będziemy mogli połączyć się na zawsze, miał nadzieję, że na niego zaczekam i pozostanę mu wierna.

Przeczytałam tylko pierwsze dwa listy, kolejne wyrzucałam do kosza. Ten rozdział uważałam za zamknięty.

Był wtorek. Kolejny, nudny wtorek. Siedziałam na zajęciach z magii leczniczej. Ostatnio udoskonaliłam swój czar, który rzucałam na krzesła i było mi wygodnie jak na łóżku wodnym. Do szczęścia brakowało mi tylko jakiejś dobrej lektury.

Znudzona rozejrzałam się po sali. Zauważyłam, że chłopak i dziewczyna, którzy obrazili moje uczucia pewnego pamiętnego wtorku, siedzą po przeciwnych stronach sali i rzucają sobie wrogie spojrzenia. Tak się kończą wiosenne miłostki...

¹ *Affaire* – fr. miłostka; przygoda miłosna.



WSPÓŁLOKATOR DOSKONAŁY

Chwilowo osiągnięty przeze mnie święty spokój został bezpowrotnie zniszczony, gdy otwarły się drzwi pokoju. Zirytowana, że przerwano mi lekturę, uniosłam wzrok znad książki. W drzwiach stała wysoka blondynka. Uśmiechała się szeroko i promiennie, mocując się z ogromną, różową walizką na kółkach.

Jak nic nowa współlokatorka.

– Cześć, jestem Mandy! Jestem tu nowa, w sekretariacie powiedzieli mi, że będę mieszkała w pokoju 207, razem z tobą. Jakoś dziwnie się na mnie patrzyli, nie wiem dlaczego. Mam coś na twarzy? – Obrzuciłam ponurym spojrzeniem jej słodką twarzyczkę w kształcie serca i pokręciłam głową. – Kurczę, jestem taka zmęczona. Jechałam tu cały dzień. Ta Akademia jest położona po środku niczego, wiesz? Niby jest tu jakieś małe miasteczko niedaleko, ale dotarcie do niego zajęło mi wieki! Jestem taka podekscytowana! Wiele słyszałam o tej szkole, zawsze marzyłam, by się tu uczyć, i proszę, moje marzenia się spełniły. Choć muszę przyznać, że pod względem wizualnym trochę mnie rozczarowała.

Legenda głosi, że Akademię wybudowali magowie. Jakkolwiek braku solidności nie można im było zarzucić, mury stały w końcu setki lat, tak kunsztem niespecjalnie się popisali. Akademia była jedną wielką bryłą, przypominającą bardziej kwadrat niż cokolwiek innego. Żadnych strzelistych wieżyczek, żadnych spadzistych dachów. Tylko grube, proste mury, które miały stać kolejne stulecia. Dookoła kampusu, jeśli tak można to było nazwać, rozrzuconych było mnóstwo innych, mniejszych budynków, między innymi internat żeński i męski.

Mandy ciągle mówiła.

– Mam nadzieję, że zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami, wiesz, best friends forever. – Zachichotała. – Wyglądasz mi na taką, która jest doskonałym materiałem na przyjaciółkę. Ale! Nie spytałam nawet, jak masz na imię! – Umilkła na chwilę, łapiąc

oddech. – Więc, jak masz na imię? – Przechyliła głowę i spojrzała na mnie wyczekująco.

Nie odpowiedziałam. W myślach wyłam. Koniec mojego spokoju, teraz będę miała na głowie szaloną dziewczynę, która w dodatku chce zostać moją najlepszą przyjaciółką. Zastanawiałam się, ile czasu upłynie, zanim uda mi się ją zniechęcić do tego stopnia, że sama poprosi o zmianę zakwaterowania. Wyglądała na cholerną optymistkę, jej słowotok nie wróżył niczego dobrego.

– O mój Boże, jesteś niemową? To dlatego tak dziwnie na mnie patrzyli? – Obrzuciła wzrokiem stos książek piętrzących się obok mojego łóżka. – Izolujesz się przez to? Nie masz przyjaciół? To twój szczęśliwy dzień, bo ja – Mandy, osobiście obiecuję, że razem ze mną szybko staniesz się popularna w towarzystwie! Nie żebym się chwaliła, ale tam skąd pochodzę, wszyscy zabiegali o moją uwagę, byłam lokalną gwiazdą. Tutaj także mam zamiar osiągnąć ten status i nie martw się, pomogę również tobie! – Jej uśmiech, jej chory entuzjazm, to było dla mnie zbyt wiele.

– Nie jestem niemową. Nie potrzebuję twojej pomocy. Bynajmniej nie pragnę być popularna. A teraz wybac, przeszkodziłaś mi. – Wskazałam na książkę. – Bądź tak miła i nie odzywaj się już więcej, to mnie rozprasza – poprosiłam uprzejmie, po czym wróciłam do lektury.

Historia rodziny Buendiów była bez porównania ciekawsza niż paplanina nawiedzanej blondynki. Dzieje trzeciego pokolenia szczególnie mnie zafascynowały. Staralam się nie zwracać uwagi na hałas, który robiła Mandy, wypakowując niezliczoną ilość rzeczy ze swojej wielkiej torby. Wszystkie jej pytania: o łazienkę, szafki, ręczniki konsekwentnie ignorowałam.

Jako że zajmowałam ten pokój od początku mojego pobytu w Akademii, należała mi się jego lepsza część – moje łóżko znajdowało się koło okna, obok stał niski stoliczek, który sama kupiłam, zazwyczaj zawalony książkami, pod jedną ścianą biurko, również ze stertą książek tak wielką, że ledwo było widać blat, pod drugą ścianą szafa, a w niej moje ubrania i różne drobiazgi.

Gdy tylko nauczyłam się stawiania magicznych barier, postawiłam całkiem solidną, oddzielającą moją połowę pokoju. Każdego, kto chciałby ją naruszyć, czekała niemiła niespodzianka w postaci ładunku 5000 woltów – jeżeli tylko chciał wejść. Ładunek wzrastał gwałtownie, gdy ktoś miał niecne intencje. Kiedy Mandy rozpakowała już wszystko, co miała do rozpakowania, spróbowała jeszcze raz.

– Wiesz, będziemy razem mieszkać przez dłuższy czas. – *To się jeszcze okaże.* – Nie sądzisz, że lepiej byłoby, gdybyśmy zostały jeśli nie najlepszymi przyjaciółkami, to chociaż koleżankami...?

– Nie.

– Nie? Zawsze jesteś taka... oszczędna w słowach? – Założę, że chciała powiedzieć „niemiła”, ale najwyraźniej nie chciała mnie urazić. Och, jakże uprzejmie z jej strony,

chyba się wzruszę.

– Owszem.

– Ojej, skoro tak, skoro taka jesteś... myślę, że czas to zmienić! Jesteś najwyraźniej typem skrajnie nietowarzyskim, ale jak mówiłam, masz szczęście. Jestem tu i odmienię twoje życie!

Zgrzytnęłam zębami. Ciężki przypadek. Odwróciłam się do niej plecami.

– Idę spać – powiedziałam pro forma, żeby nie przyszło jej do głowy kontynuowanie tego żalosego monologu.

– Och, okej. Dobranoc! Śpij dobrze.

Wrrr, definitywnie musiałam pomyśleć nad czymś, co by ją zniechęciło. Było już późno i zdecydowałam, że zastanowię się nad tym jutro. Tymczasem ułożyłam się wygodnie i szybko zapadłam w sen.

Obudził mnie dźwięk upadającego ciała. Zaspana przetarłam oczy. Obrazek, który ujrzałam, sprawił, że zachichotałam złośliwie w duchu. Śliczna Mandy leżała na podłodze, tocząc naokoło ogłupiałym wzrokiem. Jej długie blond loki wyglądały, jakby trzasnęły w nie piorun.

– Ja... chciałam... – nie była w stanie dokończyć.

Z całych sił zwalczałam pełen satysfakcji uśmiech, który cisnął mi się na usta.

– Tak? Co takiego chciałaś?

– Chciałam tylko cię obudzić, jest już dwunasta, więc pewnie powinnaś w tym momencie być na jakimś wykładzie – oznajmiła totalnie niewinnym głosem.

Rzeczywiście. Powinnam.

– Im szybciej się nauczysz, że nie potrzebuję twoich przysług, tym lepiej dla ciebie. Jeżeli nie wstajesz, znaczy, że tak ma być. Nigdy więcej nie próbuj mnie budzić, bo następnym razem skończysz za oknem, nie na podłodze. To drugie piętro, więc radziłabym ci wziąć sobie do serca to, co mówię.

– Ha, nie jesteś wcale taka mało rozmowna! Zobaczysz, jeszcze będą z ciebie ludzie!

Czy ta dziewczyna nie miała za grosz instynktu samozachowawczego? Wymaszerowałam do łazienki, nie oglądając się za siebie i nie słuchając Mandy, która nawijała o tym, jak to z jej pomocą stanę się królową towarzystwa.

Jeszcze jednym minusem mieszkania w internacie Akademii był wieczny brak ciepłej wody. Zupełnie jakby zarządzający całym tym budynkiem chcieli nas zmusić, byśmy sami

użyli magii i ją podgrzali. Coś takiego wymagało jednak dużej ilości energii, a żeby podgrzać wodę do pożądanej temperatury, trzeba się było mocno skupić, w przeciwnym razie można było skończyć z poparzeniami. Niejedna dziewczyna wylądowała już w skrzydle szpitalnym z twarzą całą w bąblach, bo przesadziła z zaklęciem.

Zimny prysznic działał na mnie orzeźwiająco. Zaczęłam się intensywnie zastanawiać, jaką (nie)miłą niespodziankę sprawić nowej współlokatorce. Na początek miałam zamiar rzucić wszystkie standardowe czary. Gdy czysta i pachnąca wróciłam z łazienki, Mandy już nie było.

Ciężko wytłumaczyć, czym naprawdę jest magia. Nie da się jej dotknąć, ale obdarzeni wyczulonymi zmysłami mogą ją poczuć. To rodzaj energii, która w odpowiednich miejscach (przeważnie oddalonych od techniki), znajduje się na wyciągnięcie ręki, wystarczy po nią sięgnąć i nagiąć do własnej woli. Tak naprawdę wszystkie zaklęcia i formułki pomagały w niewielkim stopniu, jeśli ktoś nie czuł magii, nigdy nie nauczy się porządnie czarować. Pomiędzy ludźmi, którzy władali nią na co dzień, wszystko było prostsze – prawdziwe trudności pojawiały się w miastach, pośród naszpikowanych elektroniką przedmiotów, pomiędzy kompletnie niemagicznymi ludźmi, rzucenie nawet najprostszego czaru przysparzało trudności. Dlatego tylko najlepsi mogli wyjść z Akademii i nazywać się *prawdziwymi* magami.

Stałam pośrodku pokoju, przymknęłam oczy i skupiłam się. Najpierw łóżko – wystarczyło kilka słów i miałam gwarancję, że nigdy się w nim nie wyśpi. Takie drobne klątwy były łatwe w użyciu i całkiem skuteczne. Przybory kosmetyczne – obowiązkowa zamiana zawartości tubek z kremem do depilacji i szamponem. Krem do twarzy z... hmm odżywką na porost paznokci. Pasta do zębów z pastą do butów. I tak dalej. Małe zamieszanie w szafie. Kilka drobnych zmian w planie lekcji. Zerknęłam na jej książki. Zmiana zawartości. Chciałabym zobaczyć minę Urkwy, kiedy Mandy zacznie recytować jej daty ważniejszych bitw magicznych. Uznałam, że na początek tyle wystarczy. Spojrzałam na zegarek. Jeśli miałam zdążyć na praktykę z zaklęć, musiałam się pospieszyć.

Wrzuciłam do torby potrzebne książki i pognałam na zajęcia. Ledwo zajęłam miejsce, gdy do sali wszedł profesor. Po wykonaniu wszystkich czynności organizacyjnych, rozpoczął wykład.

– Dziś poznacie pierwsze prawo magii.

Mruknęłam zniechęcona.

– Tak, panno Webber? Chciałaby pani coś powiedzieć?

– Myślałam, że to zajęcia z praktyki zaklęć – odpowiedziałam niechętnie.

– Tak, ale nie możecie zająć się praktyką, szczególnie poważnych zaklęć, zanim nie poznacie wszystkich praw magii.

Ożywiłam się przy słowie „poważnych”. Nie umknęło to uwadze profesora, który zdenerwowany zaczął dyktować nam po kolei wszystkie prawa. Byłam niepokieszona. Ale

jeżeli to oznaczało, że na następnych zajęciach zajmiemy się praktykowaniem *poważnych* zaklęć, mogłam przeboleć nawet dyktowanie. Widząc, że profesor spogląda w moim kierunku, sumiennie zajęłam się udawaniem, że notuję. Trwało to całe dwie godziny. Pod koniec byłam już solidnie zirytowana machaniem w powietrzu swoim wiecznym piórem.

Na szczęście przerwa po tych zajęciach była przerwą obiadową. Czym prędzej popędziłam w stronę stołówki, pamiętając, że dziś serwują naleśniki. Udało mi się zdobyć całkiem pokaźną ilość, zanim zjawiała się reszta studentów, którzy rzucili się na nie jakby chwilę wcześniej zostali zwolnieni z kilkudniowej głodówki. Zadowolona z siebie usiadłam przy dwuosobowym stoliku pod oknem i zajęłam się konsumowaniem. Byłam mniej więcej w połowie, gdy usłyszałam krzyk.

– Malice, tu jesteś!

W moim kierunku zmierzała Mandy. Na jej talerzu znajdowały się zaledwie dwa naleśniki.

– Mogę się przysiąc? – zapytała i, nie czekając na odpowiedź, zajęła miejsce naprzeciwko. – Miałam właśnie historię magii, niezwykle fascynujący przedmiot! Założę się, że też go ubóstwiasz. No i profesor – niezwykle sympatyczny!

Spojrzałam na nią spode łba. Momentalnie odechciało mi się jeść. Naleśniki straciły smak, a to było straszne marnotrawstwo. Tego nie mogłam puścić jej płazem. Psucie apetytu – takich rzeczy się nie robi.

– Yhy – wymamrotałam. Żułam powoli, czując, że jedzenie rośnie mi w buzi. Przełknęłam z trudem.

– Wiesz, ja już się najadłam. Jeśli chcesz, możesz zjeść resztę – zaoferowałam.

– Och, naprawdę? To świetnie, wyglądają bardzo apetycznie. Poza tym, uwielbiam naleśniki! – Na twarzy Mandy wykwitł stuwatowy uśmiech, który dosłownie oślepił.

Pewnie, że wyglądają. Jedz śmiało. Dziś odkryjesz, że może i ty je uwielbiasz, ale twój żołądek już niekoniecznie.

– Smacznego.

– Dziękuję! To bardzo miłe z twojej strony – powiedziała z prawdziwą wdzięcznością.

Zdenerwowałam się na tę uwagę, ale pomyślałam o nadciągającej przygodzie z Mandy i szkolnym klozetem w roli głównej, więc nawet się nie skrzywiłam. Dzisiejszego wieczoru nikt nie będzie mnie niepokoił.

Szykowałam się już do snu, kiedy do pokoju niepewnym krokiem wkroczyła Mandy.

Wyglądała marnie. Jej blond loki oklapły, twarz była szara, uśmiech niemrawy.

– Uch, mój pierwszy dzień w Akademii nie był dokładnie taki, jak sobie zaplanowałam. Poznałam mnóstwo miłych ludzi, zajęcia były świetne, ale zdecydowanie nie miałam w planach zatrucia pokarmowego. Jestem wykończona, czuję jakbym zwróciła własne wnętrzności. Nie wiem, co mogło mi tak zaszkodzić. Może to wszystko stres. Ale, opowiedz mi lepiej, jak minął twój dzień?

Żartujesz dziewczynko?

– Właśnie się skończył. Idę spać.

– Och, okej. W takim razie dobranoc.

Następny dzień był wolny od zajęć. Wstałam o szóstej, przebrałam się w sportowe ubranie i szybko wyszłam z pokoju, zanim Mandy, która kręciła się na swoim łóżku, zdążyła się obudzić.

Generalnie nienawidziłam wysiłku fizycznego, ale boks uprawiałam od dziecka, najpierw uliczny, potem trenowałam pod okiem specjalisty. Z chwilą gdy znalazłam się w Akademii, tamte treningi dobiegły końca, a ja musiałam zadowolić się szkołą walki w pobliskim miasteczku. Wrobiłam sobie w niej opinie w ciągu kilku zajęć i teraz nie miałam za bardzo z kim walczyć. Ludzie z mojej kategorii wagowej bali się do mnie podchodzić, musiałam zadowolić się sparingami z osiłkami dwa razy większymi ode mnie. Nie żebym narzekała. Pokonanie takiego mięśniaka sprawiało mi wielką satysfakcję, a ich głupie miny były dla mnie bezcenne. Zdobyłam się więc na wysiłek i w ramach rozgrzewki dystans dzielący Akademię i miasteczko pokonałam truchtem. Zdyszana wpadłam do sali, w której odbywały się walki.

– Malice – powitał mnie szef tego całego kramu. Mój widok nieszczególnie go ucieszył. Odstraszałam mu klientów.

– Dzisiaj walczysz z Dużym Bu. – Wskazał na faceta, wyglądem przypominającego trzydrzwiową szafę. Przyjrzałam mu się uważnie. Był duży i nieporadny, przez co będzie miał ograniczoną swobodę ruchów. Poza tym, taka masa nie będzie się poruszała zbyt szybko. Oszacowałam, że pokonam go po trzech rundach. Założyłam rękawice i ochraniacz na zęby. Sędziował nam sam szef. Rzucił mi ponure spojrzenie. Czyżby przeczuwał moją wygraną?

Tak jak przewidywałam, po trzech rundach Duży Bu leżał i kwiczał. Dosłownie. Wielokrotne ciosy w nerki sprawiły, że zwijał się z bólu. Zadowolona zesłam z ringu.

– Może dziś skup się już tylko na ćwiczeniach z workiem?

Wspaniałomyślnie zgodziłam się na sugestię szefa. Przez kolejną godzinę katowałam Bogu ducha winny worek. Uwielbiałam to. Jeden cios, drugi, trzeci, cała seria. Kiedyś mnie to irytowało, ale odkąd nauczyłam się poprawnie uderzać, nie ma dla mnie większej frajdy. No chyba że uderzenie w czyjś nos, ale to już inna para kaloszy.

Do Akademii mi się nie spieszyło, wracałam spacerkiem. Nie miałam ochoty mierzyć

się z kataklizmem o imieniu Mandy. Z drugiej strony, byłam całkiem ciekawa, jak zareaguje na moje niespodzianki. Widok, który zastałam w pokoju, był całkiem zabawny.

Blondynka siedziała na podłodze, jej twarz była czerwona, nie wiedziałam czy od płaczu, czy odżywki do paznokci, zęby czarne, a włosów miała mniej o połowę. Gdy zobaczyła, że stoję w drzwiach i się jej przyglądam, popatrzyła na mnie żałośnie.

– Ktoś mi zrobił głupi dowcip. Nie mogłaś mi powiedzieć, że macie tu taki dziwny sposób na witanie nowych studentów? Miałam dziś iść na pierwszą imprezę, a teraz będę musiała spędzić cały dzień na doprowadzaniu się do porządku. – W jej oczach błysnęły łzy, widziałam to wyraźnie.

– Powinnaś udać się do skrzydła szpitalnego, może tam ci pomogą.

– To świetny pomysł! – rozchmurzyła się nieco. – Kamień spadł mi z serca. Jeszcze nie jestem na tyle dobra w czarach, żeby poradzić sobie z tym na własną rękę. Na szczęście mam ciebie i twoje dobre rady – powiedziała, spoglądając na mnie z wdzięcznością.

Tak. Moje dobre rady. Tego, że naprawianie niemagicznych szkód za pomocą magii zazwyczaj trwa dłużej niż sposobem tradycyjnym, już nie zamierzałam jej mówić. Kiedy zobaczy ją szkolna pielęgniarka, uzna zapewne, że jej wygląd to skutek nieudanych eksperymentów magicznych, tym bardziej nieudanych, że jest tu nowa, i zafunduje jej tradycyjną, szybką kurację z zaklęć, co da mi jakieś dwa dni spokoju i czasu na wymyślenie konkretnej strategii na pozbycie się Mandy z mojego pokoju i z mojego życia.

Weekend upłynął mi nadzwyczaj spokojnie. Nikt nie gdał mi za uszami, nikt nie próbował się ze mną zaprzyjaźnić. W niedzielę wieczorem leżałam w łóżku i popijałam mandarynkowego drinka, nastawiając się psychicznie na kolejny tydzień nudnych zajęć. Jediną pociechą była dla mnie zapowiedź profesora o poważnych zaklęciach. Ale do czwartku było jeszcze całe mnóstwo czasu. Około dwudziestej wróciła Mandy.

– Cześć, jak ci minął weekend? – zaczęła nadawać już od drzwi. – Nie uwierzysz, ale moja kuracja zajęła o wiele więcej czasu, niż bym się spodziewała. Prawdę mówiąc, szkolna pielęgniarka chyba niezbyt zna się na swoim fachu albo robiła na mnie jakieś eksperymenty, bo zanim udało jej się doprowadzić mnie do porządku, minęły wieki. Za to poznałam kilku miłych chłopców. Miłych, ale dziwnych. Kiedy powiedziałam im, z kim mieszkam, zaczęli robić jakieś dziwaczne uwagi i aluzje, ogólnie szybko przestali być rozmowni. Na początku myślałam, że podobam się jednemu, ale wypisał się przed czasem, nie zważając na złamaną rękę, zupełnie nie wiem dlaczego. No nic, w Akademii jest mnóstwo przystojnych i miłych facetów, co prawda tamten szczególnie mi się spodobał, ale chyba musiałam go jakoś zniechęcić. Mam nadzieję, że będziemy mieć razem jakieś

zajęcia, może uda mi się to odkręcić, bo naprawdę wpadł mi w oko. Myślę, że byłaby z nas słodka para – przerwała, by zaczerpnąć powietrza. – Kurczę, znowu się rozgadałam, opowiedz lepiej jak minął twój weekend?

– Spokojnie.

– Spokojnie? – powtórzyła. – Tylko tyle? Co robiłaś przez całe trzy dni, kiedy mnie nie było?

– To i owo.

– To i owo? Dziewczyno, naprawdę musisz nauczyć się odpowiadać pełnymi zdaniami. Uczyłaś się? Byłaś na jakiejś randce? Może w miasteczku? No dalej, możesz mi wszystko opowiedzieć, obiecuję, że nikomu nie wygadam, jeżeli to cię martwi. Może sprawiam wrażenie gaduły, ale raz powierzony mi sekret zatrzymuje na zawsze, wierz mi. – Swoją deklarację okraśniała szczerym uśmiechem.

– Wierzę. Rzecz w tym, że nie mam żadnych sekretów, które mogłabym ci powierzyć.

– Och. – Zrobiła zawiedzioną minę. Za chwilę uśmiechnęła się znowu. – Ale źle mnie zrozumiałaś. Nie musisz wyjawiać mi swoich sekretów, choć oczywiście możesz, a ja obiecuję, że będą u mnie bezpieczne, opowiedz mi po prostu, jak ci minął weekend.

– Spokojnie, już mówiłam.

– Okej – poddała się. – Skoro nie masz ochoty na rozmowy, idę się umyć. Tym razem, zanim użyję jakiegoś kosmetyku, przyjrzę się uważnie zawartości tubki.

Szybko się uczy – pomyślałam niechętnie. Zadbłam o to, by zasnąć, zanim wróci z łazienki.

W poniedziałek z rana miałam zajęcia ze zwierząt magicznych i niemagicznych. W tym semestrze wałkowaliśmy fizjologię, dlatego profilaktycznie wolałam nie jeść śniadania. Kiedy Mandy, radosna jak skowronek, pełna euforii przed zajęciami oznajmiła, że idzie się porządnie najeść, nic nie powiedziałam. Bez wątplenia z pełnym żołądkiem myśli się lepiej.

Swoim zwyczajem zajęłam miejsce w ostatnim rzędzie i przyglądałam się, jak profesor wyjmuje z pojemnika martwe żaby, a potem układa je na stolikach. Krojenie małych zwierzątek nie było może moim ulubionym zajęciem, ale zawsze było bardziej interesujące niż historia magii.

Tuż po dzwonku do sali wpadła Mandy. Zaczęła się tłumaczyć, że jest tu nowa i nie mogła znaleźć klasy. Jej blond loki i słodka twarzyczka w kształcie serca najwyraźniej przypadły do gustu profesorowi.

– Twoja współlokatorka cię nie oprowadziła? – Była taka tradycja, że jeżeli nowy student zamieszka z kimś, kto już zadomowił się w Akademii, tamten niejako bierze go pod swoje skrzydła i między innymi ma obowiązek oprowadzić go po całym kampusie, wliczając w to budynek z aulami.

– Yyy, nie? – odparła niepewnie, spoglądając w moim kierunku. Posłałam im grobowe spojrzenie. Profesor nie powiedział już nic więcej, tylko wskazał jej miejsce. Całe szczęście z dala ode mnie.

– Dzisiaj zajmiemy się badaniem wnętrzości żab. Wiedzę zdobytą na tych zajęciach będziecie mogli wykorzystać w przyszłym semestrze, gdy będziecie dokładnie omawiać, jak interpretować układ narządów martwych zwierząt. Przed sobą macie po jednej sztuce. Weźcie sobie noże i zabierzcie się do roboty – zakomenderował.

Rzuciłam okiem na twarz Mandy, która przybrała kolor równie zielony, jak leżąca przede mną martwa żaba.

– Ale, ale...

– Tak, panno Grant? Rozumiem, że jest pani nowa, ale ufam, że technikę dostawania się do wnętrzości ma pani opanowaną?

– Technikę dostawania się do wnętrzości? Czy pan oszalał? Przecież to okropne i niemoralne przeprowadzać eksperymenty na zwierzętach! – wykrzyknęła oburzona.

– Te zwierzęta są martwe – profesor odpowiedział jej spokojnie.

– No właśnie! Zabijać biedne żaby tylko po to, żeby zobaczyć, co mają w środku... to chore. A nawet, jeśli nie zostały zabite celowo, to nadal jest bezczeszczenie zwłok. Nie wiem, jak można robić coś takiego na lekcjach i w dodatku zmuszać do tego swoich uczniów. – Jej policzki przybrały teraz niebezpiecznie czerwony kolor, wyglądała, jakby za chwilę miała eksplodować. – Kategorycznie odmawiam wykonywania sekcji! I wy! – Tym razem zwróciła się do ogłupiałych studentów. – Jak możecie godzić się na coś takiego? Czy żadne z was nie ma w sobie odrobiny empatii, współczucia dla tych biednych zwierząt?

W tym momencie dostrzegłam swoją szansę. Bez wątpienia Mandy była jakąś szurniętą bojowniczką o prawa zwierząt. W zasadzie to, co mówiła, była tylko odrobinę przesadzone, ale patrząc na zaszokowaną minę profesora, wiedziałam, że to jest dokładnie ta chwila, której potrzebowałam. Posłałam jej delikatną, no dobra – silną – sugestię.

Zabieraj żabę i wychodź!

I tak zrobiła, chwyciła martwego płaza, jeszcze raz krzyknęła, że to chore i wybiegła z sali. Ludzie popatrzyli się po sobie. Zupełnie nie wiedzieli, co o tym sądzić. Wiele dziewczyn już wcześniej krzywiło się na te praktyki, jednak żadna nie powiedziała nigdy ani słowa. Faceci udawali twardzieli, choć nie raz widziałam, jak ich twarze przybierają zielonkawy odcień.

– Może powinnam za nią iść? – zasugerowałam. – To moja współlokatorka.

Profesor wyglądał, jakby zapomniał języka w gębie, zdołał jednak skinąć głową.

Zabrałam swoje rzeczy i wybiegłam za Mandy, z tym że nie obchodziło mnie, w którą stronę pobiegła, ja obrałam kurs na bibliotekę.

Nie musiałam nawet uciekać się do zaklęć z zakazanych ksiąg. Wystarczy mi prosty czar fascynacji. Gdy wzmocnię go wystarczająco, stanie się raczej czarem chorej fascynacji, a może nawet fanatyzmu. Wypożyczyłam odpowiednią książkę, starając się wyglądać na uosobienie niewinności, podczas gdy bibliotekarka obrzucała mnie podejrzliwym spojrzeniem.

Dotarłam do pokoju. Mandy na szczęście nie było, pewnie zaszła się gdzieś na terenie kampusu. Doszłam do wniosku, że odpuszczę sobie dalsze zajęcia. Przekształcenie i udoskonalenie tego zaklęcia zajmie mi sporo czasu.

Nauczona przykrym doświadczeniem, musiałam też zadbać, by było na tyle subtelne, żeby żadna kontrola magiczna go nie wykryła. Swego czasu o mało nie wyleciałam przez coś takiego, dlatego teraz musiałam przyłożyć się podwójnie. Zdążyłam już poznać się na osobowości Mandy na tyle, że mogłam stworzyć to zaklęcie specjalnie dla niej.

Miałam już podstawę. Czar fascynacji był banalny, rzucałam podobne, całkiem nieświadoma swoich czynów jeszcze w czasach, gdy chodziłam do normalnej, ludzkiej szkoły. Ośrodkiem jej zainteresowania miała stać się martwa żaba. Nie wyrzuci jej, nie pochowa, będzie nosiła ją ze sobą zawsze i wszędzie. Stanie się jej obsesją, manią, centrum jej życia.

Pracowałam nad tym zaklęciem do wieczora. Kiedy skończyłam, była już dziewiętnasta, a Mandy ciągle nie wróciła. Postanowiłam więc zająć się w końcu swoją barierą, którą postawiłam w pokoju. Zrobiłam to, jak tylko nauczyłam się je podnosić; teraz była już przestarzała i zdecydowanie potrzebowała odnowienia. Zrezygnowałam z kombinowania przy starej i postanowiłam zacząć od początku.

Zgodnie z obietnicą, dla Mandy zarezerwowałam wyrzucenie przez okno, jeśli tylko wkroczy na moją połowę pokoju z zamiarem obudzenia mnie. Po namyśle dodałam też tarczę na wszelkie dźwięki i zapachy, bo zapewne za kilka dni żaba zacznie potwornie cuchnąć.

Tworzenie bariery przypominało tkanie jakiegoś materiału, jeśli wykonało się to sumiennie, był wytrzymały i zwarty, nic nie mogło przez niego przeniknąć. Usatysfakcjonowana efektami, wyciągnęłam się na łóżku. Pracowałam kilka godzin bez przerwy i w końcu poczułam się wyczerpana.

Wtedy do pokoju weszła Mandy. Zadowolona. Radosna. Nigdy nie widziałam jej weselszej.

– Malice, tu jesteś! Czemu nie byłaś na zajęciach? Dużo cię ominęło. Wszyscy z naszej grupy zgodzili się z tym, co powiedziałam dziś do profesora i zdecydowaliśmy, że jeśli następnym razem każe robić nam coś tak obrzydliwego, wszyscy wyrazimy głośny sprzeciw! Mam nadzieję, że ty również się do niego przyłączysz? – Patrzyła na mnie

wyczekująco, jej postawa mówiła, że zaakceptuje tylko jedną odpowiedź.

– Ta, jasne – powiedziałam dla świętego spokoju.

– Och, to świetnie! Wiedziałam, że się zgodzisz. Jacyś ludzie powiedzieli mi, że odmówisz tylko po to, żeby zrobić mi na złość, ale ja wiedziałam, że się mylą, ty nie jesteś taka. Zupełnie cię nie znają ci ludzie. W ogóle, mają tu o tobie jakąś dziwną opinię. Musimy to koniecznie sprostować. Mówią o tobie jakby ze strachem, twierdzą, że jesteś wcieleniem zła. W życiu nie słyszałam większych głupot!

– Uhum, Mandy?

– Tak?

– Co zrobiłaś z żabą?

– Z żabą? Jaką żabą? – spytała zdeorientowana.

– No wiesz, tą, którą...

– Ach, tą żabą! Zupełnie o niej zapomniałam! – wykrzyknęła z przerażeniem. – Mam ją chyba gdzieś w torebce. – Zaczęła grzebać w swojej różowo-fioletowej torbie. Trwało to wieki. W końcu zdenerwowana odwróciła ją do góry nogami i wyrzuciła całą zawartość na łóżko.

Spod sterty książek, kosmetyków i przeróżnych pierdółek, o których nie miałam pojęcia, po co miałyby nosić je ze sobą – wyciągnęła żabę. Była nieco zgnieciona, ale oprócz tego, cała i... no może nie zdrowa, ale nienaruszona.

– O. Mój. Boże! Nie mogę uwierzyć, że o niej zapomniałam i cały dzień nosiłam ją w torbie! Biedne, biedne zwierzątko! Nie mogę pojąć, jak mogliście się godzić na takie barbarzyństwo. Na wasze szczęście zawitałam w progi Akademii, a dopóki ja tu jestem, nikt nie będzie rozpruwał płazów na lekcjach! Jejku, jestem taka zmęczona. – Spojrzała na żabę. – Jutro wyprawię jej godny pogrzeb. Dziś jest już za późno, poza tym nie mam siły. Ten dzień zupełnie mnie wyczerpał. Dobranoc, Malice – powiedziała, zgarniając z powrotem do torby wszystko to, co z niej wysypała i ładując się do łóżka. Nie minęło piętnaście minut jak usłyszałam jej równy, spokojny oddech.

Nadszedł czas na moje zaklęcie. Wzięłam do ręki żabę, zamknęłam oczy. Wykonałam kilka głębokich wdechów, żeby się wyciszyć i ułatwić sobie osiągnięcie potrzebnego skupienia. Mój czar przypominał siatkę, mogłam wyczuć, jak idealnie dopasowuje się do osobowości Mandy. Czułam jej fanatyzm i oddanie sprawie, byłam pewna, że najwnikliwsza kontrola magiczna nic nie wykaże, a nawet jeśli, nie zostawiłam po sobie żadnego śladu. Moje zaklęcie było zupełnie anonimowe. Pracowałam nad nim cały dzień i byłam z siebie cholernie zadowolona. Pasowało idealnie. Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wkrótce zasnęłam i ja.

Obudził mnie krzyk i dźwięk tłuczonego szkła. Odruchowo zasłoniłam głowę kołdrą. Chwilę później usłyszałam odgłosy upadającego ciała i trzask łamanych kości. Zaraz potem rozległy się wrzaski, krzyki, cała kakofonia dźwięków. Odgarnęłam szkło z kołdry i wyjrzałam przez pustą ramę. Na ziemi leżał nie kto inny jak Mandy. Wokół niej gromadzili się ludzie. Miała szczęście, że pod budynkiem żeńskiego internatu rośnie spora ilość krzaków, które spowolniły jej upadek. Jej ręka była wygięta pod dziwnym kątem, ale oprócz tego nie zauważyłam, żeby miała jakieś poważniejsze obrażenia. Nie było żadnej krwi, zachowała nawet przytomność.

Cofnęłam głowę, bo ludzie zaczęli spoglądać w moją stronę. Jak nic szykowały się kłopoty. Ubierając się w szybkim tempie, rzuciłam zakłęcie wyostrzające słuch. Wyraźnie słyszałam toczącą się za zewnątrz rozmowę.

– Nic ci nie jest?

– Żmija wyrzuciła cię przez okno?

– Możesz się ruszać?

– Cicho! Ona próbuje coś powiedzieć!

– Ża...żaba.

– Co?

– Jaka żaba?

– Majaczy.

– Żaba, przynieście mi żabę. – Głos Mandy, mimo że słaby, był całkiem wyraźny.

– Niech ktoś zawoła pielęgniarkę.

– Co tu się dzieje? – nagle rozległ się autorytarny głos Urkwy.

Cholera, dlaczego to zawsze musiała być ona?

– Ta dziewczyna wypadła z okna – wyjaśnił ktoś profesorce.

– Widzę, z drugiego piętra, dobrze, że skończyło się tylko na złamanej ręce. W którym pokoju mieszkasz, dziecko? – To pytanie zapewne skierowała do Mandy.

– Żaba, dajcie mi żabę.

– Chyba ma wstrząs mózgu – powiedział ktoś.

– Całkiem prawdopodobne. Z którego pokoju wypadła?

Czas się ulotnić!

– 207.

W szalonym pędzie założyłam i zasznurowałam trampki, a potem rzuciłam się do drzwi.

Niestety, list już leżał na wycieracze. No to oficjalnie miałam przejebane.

List od dyrektora nigdy nie wróżył niczego dobrego. Właściwie nie przesadzając mogłam powiedzieć, że był zapowiedzią serii nieprzyjemnych zdarzeń. Zrezygnowana i nieco wystraszona, mając w pamięci ostatnie moje spotkanie z dyrektorem i jego ostrzeżenie, że następny wybryk może być moim ostatnim, powlekłam się w stronę gabinetu.

Abraham Hutchinson może i wyglądał na miłego, sympatycznego i zupełnie niegroźnego dziadka, ale to były tylko pozory. Jego wygląd zmylił już nie jedną osobę przede mną. Ten niepozorny dziadek był niezwykle potężnym magiem. Czuć było od niego aurę wielkiej siły magicznej. Zazwyczaj ją ukrywał, ale pewnego razu wyprowadziłam go z równowagi do tego stopnia, że porzucił swoje opanowanie i mogłam poczuć jego gniew, jego siłę. Średnio przyjemne doświadczenie, gdyby mnie ktoś pytał. Właściwie to nie miałam ochoty powtarzać go nigdy więcej.

Szłam naprawdę wolno, ale w końcu stanęłam przed drzwiami jego gabinetu. Zdawałam sobie sprawę, iż on wie, że za nimi stoję, dlatego zapukałam szybko, żeby czasem nie pomyślał, że się boję. Usłyszałam szorstkie „Proszę” i weszłam do środka.

Gabinet pogłębiał tylko wrażenie spowodowane jego wyglądem. Duże, drewniane biurko, wygodne fotele, obrazy na ścianach i spora ilość fascynujących bibelotów z różnych miejsc świata sygnalizowały, że ich właściciel to niegroźny człowiek. Nic bardziej mylnego.

– Dzień dobry – powiedziałam i usiadłam, gdy wskazał mi krzesło naprzeciwko biurka. Mebel ugiął się pod moim ciężarem i zatrzeszczał złowieszczo.

– Malice Webber, znowu ty. – Głos dyrektora był pełen nieskrywanej dezaprobaty.

Milczałam. Co miałam powiedzieć?

– Myślałam, że bardziej wzięłaś sobie do serca moje poprzednie ostrzeżenie. Bywasz w moim gabinecie częściej niż jakikolwiek student.

Poruszyłam się nerwowo.

– Więc, co tym razem? Postanowiłaś wyrzucać swoje współlokatorki przez okno? Mówiłem ci już, że Akademia nie przewiduje pojedynczych pokoi dla studentów i że nie będziemy robić dla ciebie wyjątku. Tak szybko zapomniałaś? – Wyraźnie spodziewał się odpowiedzi, choć to pytanie można było uznać za retoryczne.

– Nie zapomniałam.

– Nie zapomniałaś. To świetnie. Jak w takim razie wytłumaczysz fakt, że twoja współlokatorka leży teraz w skrzydle szpitalnym ze złamaną ręką? Notabene, znalazła się tam już drugi raz w ciągu swojego krótkiego pobytu w Akademii. Przypadek? – Głos dyrektora był głęboki i miał przyjemną barwę, ale do mnie zwracał się surowym tonem,

przez co odbierałam sprzeczne sygnały.

– Już na samym wstępie ostrzegałam ją, żeby nie naruszała mojej prywatności.

– Interesujące. Więc, gdy mimo wszystko postanowiła zrobić... no właśnie, co takiego zrobiła? – Patrzył na mnie z udawanym zainteresowaniem.

– Chciała mnie obudzić.

– Więc chciała cię obudzić. – Spojrzył na zegarek. – To bardzo miłe z jej strony, zważając na fakt, że powinnaś być teraz na wykładzie.

– Być może, ale powiedziałam jej, że ma tego nie robić.

– Mimo wszystko ona zlekceważyła twoje ostrzeżenie, może o nim zapomniała. Wtedy ty wyrzuciłaś ją przez okno?

– Właściwie to nie.

– Chcesz powiedzieć, że wyleciała przez nie bez twojej pomocy?

– Nie do końca.

– Obawiam się, że nie nadążam za twoim tokiem rozumowania. – Dyrektor zaczynał się irytować.

– Postawiłam tarczę, która oddzielała moją część pokoju, od jej części – pospieszyłam z wyjaśnieniem. – Po tym jak obudziła mnie pierwszy raz i ostrzegłam ją, że jeżeli zrobi to znowu, wyleci przez okno, dodałam do niej odpowiednie zaklęcie. Naprawdę, nie myślałam, że będzie na tyle... nierozsądna, by znowu próbować mnie budzić – chciałam brzmieć przekonująco, ale niezbyt mi to wychodziło.

– Więc po raz kolejny użyłaś czarów na innych studentach, mimo że zaledwie miesiąc temu ostrzegałam cię, żebyś tego nie robiła.

– Nie użyłam na niej czarów, ja tylko... – Pod srogim spojrzeniem dyrektora zamilkłam. Przez dłuższą chwilę spoglądał na mnie ze swojego ogromnego fotela, kręcąc młynka palcami.

– Powiedz mi, co ja mam z tobą zrobić? Wyraźnie wykazujesz większy potencjał niż jakikolwiek inny uczeń, ale wykorzystujesz go w złych celach. Notorycznie opuszczasz zajęcia, ledwie zaliczasz egzaminy, dobre oceny masz tylko z praktyki zaklęć. Gdziekolwiek się nie pojawisz, dzieją się nieprzyjemne rzeczy i choć nie można ci niczego udowodnić, chyba nie myślisz, że nie wiem, czyja to sprawka? Jeżeli wydaje ci się, że w ten sposób utrzymasz się do ostatniego roku, i że w ogóle uda ci się zdać egzaminy i ukończyć Akademię, niestety muszę cię rozczarować. Prędzej czy później zostaniesz wyrzucona, a to mimo wszystko byłaby szkoda.

Siedziałam ze spuszczoną głową, pokornie słuchając tego kazania. W myślach zastanawiałam się, czy rzeczywiście byłaby to taka wielka szkoda, gdybym wyleciała. Ta szkoła mnie nie rozwija. Podniosłam wzrok i napotkałam bystre spojrzenie dyrektora.

– Może i masz potencjał, ale sama nie osiągniesz wiele, nie w dzisiejszych czasach.

Dlatego proponuję, byś wreszcie zaczęła przykladać się do nauki i chodziła na zajęcia. Od tej chwili osobiście będę nadzorował twoją obecność na wykładach. Jeśli opuścisz ich zbyt wiele, spotkamy się znowu, ale wtedy nie będę już taki uprzejmy – zagroził. – Zrozumiałaś?

– Tak.

– A teraz, wracając do twojej współlokatorki, jesteś absolutnie pewna, że nie rzuciłaś na nią żadnego uroku? Jej zachowanie nie jest do końca normalne. Radziłbym ci przyznać się w tej chwili, bo w skrzydle szpitalnym zbadają ją naprawdę dokładnie i jeżeli natrafią na jakiegokolwiek magiczne machinacje, będę wiedział, kogo podejrzewać.

Przełknęłam ślinę.

– Jestem pewna. Nic jej nie zrobiłam, ona w ogóle jest jakaś dziwna. Fanatyczka.

– Fanatyczka to może nie najważniejsze słowo, w każdym razie doszły mnie słuchy o jej dziwnym zachowaniu. Będę miał was na oku. Cokolwiek planujesz, żeby się jej pozbyć, nie radzę ci tego robić, bo to będzie twój ostatni wybryk. Nie chcę cię więcej oglądać w moim gabinecie. Możesz odejść – dyrektor zakończył rozmowę.

– Do widzenia.

– Żegnam, panno Webber.

Cholera. To brzmiało groźnie. Może i bym się przejęła gdyby nie fakt, że byłam absolutnie pewna swojego zaklęcia.

Zdecydowanie musiałam odreagować. Zajęcia jeszcze trwały, postanowiłam, że radę, a raczej rozkaz dyrektora, zacznę realizować od następnego wykładu. Wyszłam z głównego budynku i obeszłam go dookoła, zatrzymując się przy tylnej, wychodzącej na las ścianie, gdzie swój kącik mieli różnego rodzaju palacze. Dokonałam szybkiej transakcji z chłopakiem, który wyglądał na totalnie upalonego i usiadłam pod ścianą. Zwinęłam sobie skręta, zapaliłam i zaciągnęłam się dymem. Przytrzymałam go w płucach przez dłuższą chwilę. Mmm, całe napięcie od razu ze mnie opadło. Właściwie, Hutchinson z tym swoim „Będę miał was na oku” był całkiem śmieszny. Powoli na moje usta wkradł się uśmiech. Patrz dziadku, i podziwiaj, bo takich rzeczy jeszcze nie widziałeś.

Kiedy już zaliczyłam wszystkie przeraźliwie nudne wykłady, jako współlokatorka doskonała, postanowiłam spełnić życzenie Mandy i dostarczyć jej żabę. Posprzątałam jeszcze porozrzucane szkło, wstawiłam nową szybę (administracja internatu naprawdę nic nie robiła, liczyli na to, że studenci sami zajmą się *wszystkim*) i mogłam ruszać.

Profesor najwyraźniej rzucił jakieś zaklęcie na żabie zwłoki, bo choć upłynęło już

trochę czasu, nie zaczęły się jeszcze rozkładać. Zapakowałam je w reklamówkę, bo mimo szczerych chęci nie miałam ochoty na bliższy kontakt z martwą żabą i udałam się do skrzydła szpitalnego. Mandy o mało nie wyskoczyła z łóżka na mój widok.

– Powiedz, że przyniosłaś mi moją żabę, powiedz, że ją masz, albo chociaż powiedz, że jej nie pochowałaś, błagam – potok słów wylał się z jej ust.

– Spokojnie, dziewczyno. Mam ją tutaj. – Poklepałam swoją torbę.

– O matko, o matko, o matko! Daj mi ją, proszę, proszę, proszę. – Gdyby nie złamana ręka, pewnie podskakiwałyby na łóżku z wrażenia. Tak ładnej prośbie nie można było odmówić. Spełniłam ją więc i podałam jej żabę.

– Tak się cieszę, że nic jej nie jest! Nie masz pojęcia, jak bardzo się bałam, że coś jej się stanie! Malice, wariowałam z niepokoju! Wszyscy myśleli, że majaczę, że uderzyłam się w głowę i nie wiem, co mówię. Nikt nie brał na poważnie moich próśb. Jestem ci dozgonnie wdzięczna, Malice. Za to, że mi ją przyniosłaś i za to, że dopilnowałaś, by nic jej nie stało.

– Co mogłoby jej się stać? Jest martwa.

Spojrzenie, którym mnie obrzuciła, wyrażało czyste oburzenie.

– Jak możesz tak mówić?! Myślałam, że jesteś po mojej stronie. Obiecałaś, pamiętasz? Obiecałaś mi.

– Tak, tak, nie denerwuj się. W ogóle to ja już będę szła. – Zrobiłam szybki odwrót do drzwi.

– Zostań. – Mandy próbowała mnie zatrzymać. – Nudno tu strasznie. Robili mi jakieś dziwne badania, chyba znowu na mnie eksperymentowali. Ta Akademia zaczyna mnie przerażać, wiesz? Ale na szczęście, mam przy sobie moją żabcię. Wreszcie czuję się kompletna. Dziękuję ci jeszcze raz, Malice. Poza tym muszę ci powiedzieć, że nie gniewam się wcale o tą sprawę z oknem. Dobrze pamiętam twoje ostrzeżenie, żeby cię nie budzić. Cóż, moja wina, wiedz, że nie chowam urazy.

– Uhm, jasne. Nie będę ci dłużej przeszkadzać. Na razie.

Życzenia szybkiego powrotu do zdrowia sobie darowałam, aż tak obłudna nie jestem. Mandy wyraźnie była niepokieszona, ale już nie próbowała mnie zatrzymać, wszak miała swoją żabę, więcej do szczęścia nie potrzebowała.

Szłam korytarzem do wyjścia, kiedy zauważyłam dwie pielęgniarki. Plotkowały o czymś zawzięcie, dzięki czemu zdążyłam się schować, zanim mnie dostrzegły.

– Dziewczyna albo uszkodziła sobie głowę przy upadku, albo ma nierówno pod sufitem. O co jej w ogóle chodzi z tą żabą? – Usłyszałam, jak mówi jedna z nich.

– Masz świętą rację. Nic tylko „dajcie mi żabę” i „dajcie mi żabę”. Zwariować idzie. Nie dziwię się, że dyrektor Hutchinson zarządził przebadanie jej pod kątem magicznym.

– Tak, nie dziwota, ale rozmawiałam z Teresą, która wie co nieco o tym i powiedziała

mi, że dziewczyny nikt nie zaczarował. – W myślach odtańczyłam triumfalny taniec. – Ostatnią magią, którą na niej praktykowano, była ta, której używałyśmy, gdy zjawiała się tu półysa, z czarnymi zębami i czerwoną twarzą. Stawia nas to w niezbyt korzystnym świetle.

– Wolałabym, żeby dyrektor nie wyciągnął jakichś błędnych wniosków.

– Zdecydowanie, to byłoby nieprzyjemne. – Głosy pielęgniarek się oddalały. Oczekałam do momentu, aż ucichły zupełnie i wyszłam z ukrycia. Korytarz był pusty, czym prędzej pognałam więc do wyjścia.

Czekała na mnie cała sarta pracy domowej, włączając w to nudny jak kazanie tureckie referat z historii magii do napisania. Żeby nie wzbudzać podejrzeń dyrektora, jak również niepotrzebnego zainteresowania moją osobą, postanowiłam odrobić wszystko. Skończyłam o trzeciej. W całej swojej karierze studenta nie zdarzyło mi się spędzić tak długiego czasu na odrabianiu zadanych przez profesorów prac. Czułam się wyczerpana psychicznie i fizycznie tym, heroicznym jak na mnie, wysiłkiem. Dodatkowo poirytowana faktem, że jutrzejsze zajęcia rozpoczynają się o ósmej, przełożyłam mycie na rano i władowałam się do łóżka.

Obudziłam się niewyspana i w podłym humorze. Nawet zimny prysznic nie był w stanie mnie dobudzić. Powlekłam się na zajęcia. Przespałam praktycznie wszystkie wykłady, na co mogłam sobie pozwolić, bo każdy był zaskoczony faktem, że oddałam zadane X czasu temu prace. Profesor historii magii nie mógł się nadziwić, gdy wręczyłam mu referat.

– No, no, no. Widzę, że małe *tête-à-tête* z dyrektorem ma na ciebie zbawienny wpływ. W tym roku to pierwsza praca, jaką raczyłaś mi oddać. Trzymaj tak dalej, a może zdasz. – Jego usta wykrzywił złośliwy uśmieszek.

Swoim zwyczajem zignorowałam jego komentarze. Mały, biedny człowieczek, uwielbiał się mnie czepiać.

Po przerwie obiadowej miałam dwie godziny wolnego. Zaszyłam się w bibliotece i miałam zamiar wreszcie coś poczytać, ale jako że Dostojewski miał tendencje do nieco przydługich i nudnawych opisów, przysnęłam. Obudziła mnie bibliotekarka.

– Nie powinnaś czasem iść na zajęcia? – spytała, wisząc nade mną jak kat nad dobrą duszą.

– Yyy, no tak – powiedziałam, nie do końca przytomna. – Dzięki za obudzenie – rzuciłam i pognałam na wykład. Spóźniłam się tylko odrobinę, ale Orwik, który nauczał magii obronnej, nie tolerował spóźnialskich.

– Webber. – Fakt, że użył tylko nazwiska świadczył, że był wyjątkowo poirytowany. – Nasłuchałem się dzisiaj wiele o twojej cudownej przemianie, ale widzę, że to wszystko bajki wyssane z palca, nadal jesteś najgorszym studentem w historii Akademii. – Tak mówił, ale wiedział, że lepszego studenta ode mnie jeszcze nie miał.

– Muszę profesora rozczarować – powiedziałam, podając mu plik kartek

z odrobionymi zadaniami. Wyglądał na zaskoczzonego.

– Malice zaczęła odrabiać prace domowe. Oto stało się niemożliwe. – Zawsze miał skłonności do dramatyzmu. – Teraz nie pozostaje mi nic innego, jak zacząć wierzyć, że śwynie mogą latać.

Spojrzałam na niego bystro.

– Jeśli się je do tego zmusi, pewnie że będą latać.

– No, no, Webber, nie zapędzaj się. Nie chcemy tu żadnych fruujących prosiaków. Zajmij miejsce i notuj. – Profesor szybko sprowadził mnie z obłoków na ziemię.

Stosując swoją zwykłą taktykę, machałam piórem w powietrzu, udając, że pilnie zapisuję każde słowo profesora, który zerkał na mnie co jakiś czas, nie mogąc się nadziwić temu, co widział. Wyglądał, jakby miał ochotę przetrzeć sobie oczy.

Lepiej niech się nie przyzwyczajają.

Mandy nie spodziewałam się zobaczyć na oczy przed upływem tygodnia, moje zdziwienie, kiedy ujrzałam ją w pokoju, było więc ogromne. Ledwo przekroczyłam próg, zaczęła trąkotać.

– Część Malice, postanowiłam się wypisać. Te pielęgniarki są okropne. Ciągłe robiły mi jakieś dziwne badania, poza tym, ich reakcja na żabkę była karygodna. Zaczęły wrzeszczeć, jak mogę trzymać w łóżku martwą żabę, chciały mi ją odebrać podstępem, kiedy spałam, ogólnie były bardzo nieprzyjemne. Dlatego postanowiłam, że wolę dochodzić do zdrowia tutaj. Poza tym poskładali mi rękę magicznie, w gipsie powinnam chodzić tylko jakiś tydzień, także nie będzie tragedii. To się nawet dobrze składa, bo jutro są kolejne zajęcia z fizjologii zwierząt, na które chcę koniecznie iść. Muszę się upewnić, że nie będzie więcej niemoralnych eksperymentów.

– Yyy, no tak. Ja niestety mam mnóstwo głupich zadań do zrobienia.

– O, odkąd odrabiasz pracę domową? – Oczy Mandy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Z grubsza odtąd, jak wyleciałaś przez okno.

– Ojej, miałaś przez to jakieś nieprzyjemności? – Całą sobą wyrażała zdumienie.

– Ta, wizyta u dyrektora nie zalicza się do najprzyjemniejszych przeżyć. Spadam do biblioteki – oznajmiłam i skierowałam się w stronę drzwi.

– Nie możesz odrabiać lekcji tutaj? Myślałam, że pogadamy, że opowiesz mi, co się działo podczas mojej nieobecności. – Wypróbowała na mnie swoje spojrzenie spaniela.

– Niestety, potrzebuję książek. Cześć! – Uciekłam czym prędzej.

W bibliotece naprawdę miałam zamiar zająć się zadanymi wypracowaniami i referatami, ale skończyło się na tym, że czytałam *Idiotę* Dostojewskiego, dopóki bibliotekarka mnie nie pogoniła. Jakimś cudem zawsze udawało jej się mnie znaleźć. Po latach pracy znała bibliotekę jak własną kieszeń.

Wróciłam do internatu, ale widząc, że światło w naszym – nienawidziłam tego słowa – pokoju nadal się świeci, postanowiłam udać się na mały spacer. Wszystko lepsze, niż słuchanie paplaniny Mandy. Przypadkiem natknęłam się na grupę znajomych amatorów różnego rodzaju ziół.

– Ej mała, wyglądasz jakbyś potrzebowała zajarać. – Chłopak, który mnie zaczepił, był wychudzony i miał mętne spojrzenie. Musiał pisać pracę końcową, tylko studenci piątego roku mieli to charakterystyczne, zaszczute spojrzenie.

– Tak wyglądam?

– No. Masz.

Podał mi skręta.

Jak dają, to bierz, jak biją, to uciekaj – zwykła mawiać moja świętej pamięci babcia. Wzięłam sobie do serca jej radę.

Zaciągnęłam się głęboko, słodki dym wypełnił moje płuca.

– O tak, zdecydowanie tego było mi trzeba – powiedziałam z pełnym zadowolenia uśmiechem na twarzy.

Do internatu wróciłam kilka godzin później, kompletnie upalona. Mandy na szczęście już spała. Mnie za to daleko było do senności, dlatego postanowiłam zrobić sobie pedicure. Wybrałam dziesięć najbardziej jaskrawych kolorów z mojej kolekcji i pomalowałam każdy paznokieć innym, a potem ogrzałam powietrze wokół stóp, żeby lakier szybko wysechł. Po całej tej operacji nagle poczułam się skrajnie wyczerpana, padłam na łóżko i zasnęłam.

Obudziłam się, czując, że coś twardego wbija mi się w plecy. Lakier, no tak. Dokoła wałało się ich pełno. Spojrzałam na zegarek. No proszę, nawet nie zasnęłam. Moje paznokcie prezentowały się tak krzykliwie, że postanowiłam założyć japonki.

Z łazienki wyszła Mandy.

– O, wstałaś. To dobrze, chciałam, żebyś zdążyła na zajęcia z fizjologii zwierząt, ale wolałam cię nie budzić.

– Słusznie – powiedziałam, wymijając ją w drodze do łazienki.

Na zajęcia poszłyśmy razem. Miałam nadzieję, że wyjdzie sama, niestety czekała na

mnie, wierna niczym pies.

– Co tak śmierdzi? – skrzywiłam się.

– Śmierdzi? Chodzi ci o zapach żabci? No cóż, to całkiem naturalne, nie powinnaś się dziwić. I nie rób takiej miny, to nieuprzejme – upomniała mnie. Przyspieszyłam kroku. Polemika z fanatykami nie miała żadnego sensu.

Pierwsza weszłam do sali, kierując się od razu do ostatniego rzędu. Mandy natomiast zajęła miejsce w pierwszym. Położyła przed sobą martwą żabę, która w końcu zaczęła się rozkładać. Wydzielana przez nią charakterystyczna woń była wyraźnie wyczuwalna.

Do auli wszedł profesor, na widok Mandy i jej żaby zatrzymał się w pół kroku.

– Co to ma znaczyć? Natychmiast wyrzuc tę żabę! – powiedział zdenerwowany.

– Wyrzuc? Wyrzuc? Jak pan może tak mówić! Co za rażący brak szacunku, to jest niedopuszczalne, myślałam, że przemyślał pan to, co powiedziałam na ostatniej lekcji, ale teraz widzę, że pański brak szacunku do zwierząt pozostaje niezmienny. W taki przypadku, będę musiała złożyć na pana skargę!

– Zabierz swoje rzeczy i wyjdź. Malice, zaprowadź ją do naszego psychologa – polecił profesor.

Niechętnie podniosłam się z miejsca i ruszyłam w stronę Mandy. Blondynce najwyraźniej nie przypadło do gustu to polecenie, bo rozpoczęła kolejny monolog. Kiedy szłam, klapiąc japonkami, wszyscy gapili się na moje paznokcie. Rzucały się w oczy, nie ma co.

– Wstawaj, idziemy – powiedziałam do rzucającej groźbami Mandy. O dziwo posłusznie podniosła się i dała zaprowadzić do drzwi.

Na szczęście gabinet psychologa był w tym samym korytarzu. Odstawiłam ją pod drzwi i chciałam się ulotnić, kiedy pod moimi nogami zmaterializowała się koperta. Doskonale widziałam, co znajdę w środku, nie musiałam jej nawet otwierać. Zrezygnowana powlekłam się do gabinetu dyrektora. Powitał mnie skinieniem siwej głowy i wskazał fotel. Usiadłam, niepewna, czego się spodziewać.

– Ostatnio mówiłem, że nie chcę cię tu więcej widzieć i to miałem na myśli.

– Nic nie zrobiłam – powiedziałam pro forma.

– Tak, tak, zaczęłaś nawet chodzić na wykłady i oddawać prace zadawane przez profesorów. Wezwałem cię po to, by usłyszeć, co masz mi do powiedzenia o swojej współlokatorce.

Mentalnie odetchnęłam z ulgą.

– To wariatka – oznajmiłam bez chwili zwłoki.

– Cóż, mam podobne podejrzenie, psycholog również to potwierdza. Zastanawiający jest tylko fakt, że stała się wariatką po bliższym kontakcie z twoją osobą. – Mina dyrektora nie wróżyła niczego dobrego.

– Nie miałam z nią żadnych bliskich kontaktów. Ta dziewczyna jest jakąś fanatyczką, w dodatku cierpi na słowotok, ale nic z tego nie jest moją winą. Już wcześniej taka była.

– Nie przeczę, zrobiłem wywiad i rzeczywiście działała w różnych organizacjach praw zwierząt, ale chorobliwy wydzźwięk przybrało to dopiero po jej upadku z okna. – Głos Hutchinsona brzmiał oskarżycielsko.

– Cóż, uderzyła się w głowę, ale przecież doznała tylko lekkiego wstrząsu mózgu. Poza tym trafiła zaraz do skrzydła szpitalnego, a tam na pewno udzielono jej odpowiedniej pomocy – odbiłam piłeczkę.

– Skrzydło szpitalne to inna para kaloszy. Powiedz mi lepiej, co twoim zdaniem powinienem zrobić z taką studentką?

– Odesłać ją tam, skąd przysłała – powiedziałam natychmiast. – Ale dopiero po porządnej kuracji w jakimś przyjaznym szpitalu psychiatrycznym – dodałam po chwili, starając się pohamować złośliwy uśmiech.

– Tak, tak też planowałem. Możesz już iść. Nadal zamierzam mieć cię na oku – dodał na koniec.

Wyszłam z gabinetu i na następne zajęcia udałam się niemalże w podskokach. Długo wyczekiwana przeze mnie teoria zaklęć. Z nadzieją na poznanie jakiś przydatnych, potężnych czarów, zajęłam swoje miejsce i niecierpliwie oczekiwałam profesora.

– Poznaliście już i jak ufam, zapamiętaliście wszystkie najważniejsze prawa magii. Teraz możemy zacząć uczyć się o bardziej skomplikowanych zaklęciach. Otwórzcie książki na stronie dwieście dwudziestej.

Szybko wykonałam polecenie, ale to co ujrzałam – lista zwykłych zaklęć, rozczarowało mnie straszliwie.

– Przecież takich prostych czarów uczyliśmy się na pierwszym roku. Każdy głupi potrafi je rzucić – postanowiłam głośno wyrazić swoje niezadowolenie.

– Panno Webber, miło, że pamięta pani, co przerabialiśmy na pierwszym roku. I owszem, ma pani rację. Co jest w tym wszystkim nowego? Otóż nauczę was teraz, jak można wzmocnić zaklęcie, powodując zwielokrotnienie jego mocy, a tym samym, proporcjonalnie silniejszy efekt – mówił, ale ja już nie słuchałam. Dokładnie to samo zrobiłam, pracując nad zaklęciem Mandy i nie potrzebowałam do tego nauk profesora. Przypomniały mi się słowa dyrektora, który mówił, że sama nie osiągnę wiele. Najwyraźniej się mylił. Postanowiłam dać sobie spokój z pilnym odrabianiem prac domowych i chodzeniem na wszystkie nudne wykłady. Nie dam się zastraszyć, a jeżeli stary zdecyduje się wyrzucić mnie z Akademii – dam sobie radę i bez niej.

Powrót do pustego pokoju był bardzo przyjemny. Ktoś zdążył już zabrać wszystkie rzeczy Mandy i znowu miałam go tylko dla siebie. Doszłam do wniosku, że po traumatycznych przeżyciach minionego tygodnia koniecznie muszę udać się jutro do miasteczka na jakieś większe picie.

Tymczasem cieszyłam się ciszą i spokojem, które zapanowały wraz z odejściem nawiedzanej blondynki, i które miały panować przez najbliższy czas. Uśmiechnęłam się pod nosem, patrząc na puste łóżko po przeciwnej stronie pokoju.

Bo współlokator doskonały to taki, którego nie ma.



NIE CHODŹ DO LASU

*Życie studzi, kochasz zwierzęta
nienawidzisz ludzi.*

– PIH

Drogę na zajęcia pokonywałam w wyjątkowo paskudnym humorze, którego przyczyną były comiesięczne kobiece dolegliwości. Piękna pogoda i puchate chmurki przepływające nad moją głową bynajmniej mi go nie poprawiały. Przeciwnie, jeszcze bardziej działały mi na nerwy. Miałam ochotę udusić każdego radośnie ćwierkającego ptaszka, jednym dobrym zaklęciem zlikwidować beztróska bzykające pszczołki i wszystko inne, co śmiało mieć dobry humor.

Ci, którzy uczyli się dłuższy czas w Akademii Magii, choćby nawet mnie nie znali, wyczuwali emanującą ode mnie groźną aurę i odsuwali się bezwiednie. Zdarzały się jednak takie przypadki, że jacyś niedoświadczeni pierwszorocznicy nie mieli o tym pojęcia. Jak na przykład grupka szczebiocących w najlepsze dziewczyn, które stały na mojej drodze i nie wykazywały chęci usunięcia się z niej.

Użyłam prostego czaru czystej drogi, który odrzucił je na boki. Może włożyłam w to nieco więcej mocy, niż powinnam, bo poleciały dobre dwa metry do tyłu. Gdy tylko upadły, rozpoczął się jazgot, płacze i jęki, których nie miałam zamiaru słuchać. Rzuciłam jeszcze jedno proste zaklęcie zamkniętych ust i szłam dalej, w ciszy i spokoju, zostawiając za sobą ubrudzone trawą dziewczyny, poruszające ustami na wzór rybek wyjętych z akwarium, zdziwione, że nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Całe szczęście na zajęciach ze zwierząt magicznych i niemagicznych nie zajmowaliśmy się już krojeniem bezkręgowców. Mogłam spokojnie iść, nie obawiając się

o utrzymanie zawartości żołądka. Zajęłam miejsce na kilka minut przed rozpoczęciem wykładu, miałam więc czas na zlustrowanie sali. Profesor nie zostawił nic na naszych pulpitych, na jego katedrze znajdowało się jedynie kilka opasłych tomów, nastawiłam się więc na dwie godziny teorii, podczas których będę zdychać z nudów i bólu brzucha.

Profesor był niemłodym, jednak ciągle przystojnym mężczyzną. Niewysoki, ale postawny, z magnetycznymi, brązowymi oczami sprawiał, że serca studentek były szybciej na jego widok. Nie żebym się zaliczała. Owszem, miło było na niego popatrzeć, o wiele milej niż na irytującą twarz profesora od historii magii, nie oznaczało to jednak, że zaszczycałam jego wykłady częstszą obecnością niż inne. Dziś, mimo paskudnego samopoczucia, postanowiłam przyjść, bo nie byłam na pięciu ostatnich zajęciach, a żeby dopuścili mnie do egzaminów, moje nazwisko musiało figurować na przynajmniej kilku listach obecności. Zawdzięczałam to interwencji samego dyrektora, wolałam więc nie wychylać się zanadto.

Tak jak się spodziewałam, wykłady dotyczyły teorii.

– Na dzisiejszych zajęciach będziemy mówić o trzminorkach. Proszę o uwagę, ponieważ na koniec zajęć będę miał wam coś do ogłoszenia.

Zaczął opisywać ich wygląd i właściwości. Kiedy usłyszałam, że trzminorki to szare, włochate owady, straciłam zainteresowanie. Kogo mogły obchodzić duże najwyżej na kilka centymetrów, latające stworzonka, które zamieszkiwały tylko ciemne, chłodne jaskinie, w ostateczności dziuple drzew, opuszczone przez inne owady? Występowały w odpowiednich warunkach, tam, gdzie można był znaleźć rzadki gatunek pokrzyw, jakimi się żywiły – wiedziałam, że nigdy ich nie spotkam, nie miałam więc pojęcia, po co w ogóle profesor nam o nich opowiada.

Na chwilę odzyskałam zainteresowanie, gdy powiedział, że trzminorki wytwarzają syrop wywołujący melancholię, którego używa się jako antidotum na histerię. Nie wiedziałam, czym było spowodowane spojrzenie, które mi rzucił.

Po krótkim zastanowieniu doszłam jednak do wniosku, że wiedza ta do niczego mi się nie przyda i zapadłam w drzemkę. Po kilku latach w Akademii zdążyłam nabrać nawyku, że moje drzemki trwają od półtorej do dwóch godzin, idealnie wpasowując się w czas trwania wykładu. Ocknęłam się na krótko przed końcem zajęć. Zauważyłam, że siedzący przede mną studenci pakują książki. Rozprostowałam plecy i zajęłam się pakowaniem swojej, która po niewielkim udoskonaleniu odpowiednim zaklęciem całkiem dobrze służyła mi za poduszkę.

– Tak jak mówiłem na początku, pragnę wam coś ogłosić. Zdaję sobie sprawę, że zajęcia czysto teoretyczne nie należą do najciekawszych. W związku z tym, że w ostatnich czasach nasze zapasy owego antidotum na histerię zostały mocno uszczuplone – w tym momencie znowu popatrzył na mnie znacząco. Zaczynało mnie to irytować – ... postanowiłem, że zrobimy sobie małą wycieczką. Jak wiecie, tereny Akademii otoczone są lasem, który stanowi swego rodzaju barierę dla ludzi z zewnątrz. Niemniej, ze względu na

pewne zagięcia przestrzeni, jakie w nim występują, las ten jest o wiele większy, niż by się mogło wydawać. Pewnie nieraz kusiło was, by zbadać jego tajemnice.

Nigdy. Wycie i różne inne nieprzyjemne odgłosy, które dochodziły z niego nocą, sprawiały, że jakoś wcale nie miałam ochoty na wycieczki krajoznawcze. Tym razem nie było inaczej. Nigdy nie byłam entuzjastką przygód na łonie natury, las nie pociągał mnie ani trochę. Trybiki w moim mózgu pracowały na podwyższonych obrotach – musiałam wymyślić wiarygodną wymówkę.

– Z waszą grupą odbyłem kilka takich wypraw – ciągnął profesor – macie więc już pojęcie o tym, co może was spotkać. Poprzednie wycieczki były jednak bardzo krótkie. Większe skupiska trzminorków znajdują się w głębi lasu, głębiej niż zaszliśmy kiedykolwiek, dlatego wycieczka, na którą udamy się tym razem, będzie trwała dwa dni.

Deklaracja profesora wywołała poruszenie wśród studentów, zaczęli szeptać między sobą i obserwując ich twarze dostrzegłam, że nie wyrażają bynajmniej zadowolenia.

– Tak, oznacza to, że będziemy tam nocować. Ale bez obaw, jeśli tylko będziecie spełniać wszystkie moje polecenia, nic wam nie grozi. Lista rzeczy, które powinniście ze sobą zabrać, wraz z godziną wymarszu znajduje się na tablicy ogłoszeń. – Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe, równe zęby. – A więc do piątku, moi drodzy.

Odczekałam, aż wszyscy opuścili aulę i podeszłam do profesora. Nie zdążyłam nawet otworzyć ust.

– Wiem, co chcesz powiedzieć. Nie obchodzi mnie, jaką superwiarygodną wymówkę znalazłaś sobie tym razem. Od pierwszego roku nie byłaś na żadnej z naszych wypraw, jeżeli opuścisz i tę, nie dopuszczę cię do egzaminu, przykro mi. – Uśmiechnął się przeprasząco. Spojrzałam na niego spode łba.

– Chciałam tylko spytać, czy wrócimy przed niedzielą. Mam zawody.

– Oczywiście, powiedziałem przecież, że wycieczka będzie dwudniowa. – Obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem. – Jakie zawody?

– Boks – rzuciłam krótko, napawając się dezorientacją i zmieszaniem na twarzy profesora.

– Wszystkie informacje są na tablicy ogłoszeń. Mam nadzieję, że zobaczę cię w piątek, Malice.

– Oczywiście.

Na szczęście była dopiero środa. Zastanawiałam się, czy nie zachorować na jakąś zakaźną chorobę albo nie odnieść kontuzji – niewielkiej, lecz skutecznie unieruchamiającej na kilka dni. Nie miałam większej ochoty na łamanie sobie kości, ciągle pamiętałam nieprzyjemny wypadek z dzieciństwa, kiedy to skończyłam ze złamaniem otwartym. Choroba zakaźna była zdecydowanie lepszym rozwiązaniem. Wiedziałam, że sama się nie zarazę, moje magiczne tarcze broniły mnie również przed wszelkiego rodzaju drobnoustrojami. Potrzebowałam udać się do biblioteki. Zerknęłam na zegarek. Szlag. Jeśli

chciałam zdążyć na zajęcia z praktyki zaklęć, a to były jedyne zajęcia, na które miałam ochotę chodzić, musiałam przełożyć to na wieczór.

Książka nie zając – nie ucieknie – pomyślałam i w nieco lepszym, choć nadal niewesołym humorze, udałam się na kolejny wykład.

Czekała mnie miła niespodzianka. Na dzisiejszych zajęciach mieliśmy rozpocząć długo wyczekiwane zarówno przeze mnie, jak i przez innych studentów ćwiczenia z lewitacji. Niecierpliwie oczekiwałam na instrukcje, wodząc wzrokiem za przechadzającym się po sali profesorem.

– Lewitacja wymaga dużego skupienia. Można ją porównać do jazdy samochodem, z czasem stanie się dla was prostsza, aż będziecie mogli lewitować całkiem bezwiednie. Mimo tego, podobnie jak podczas jazdy samochodem, nie możecie się rozpraszać, bo grozi to upadkiem. Pół biedy jeżeli spadniecie z niewielkiej wysokości. Wtedy, możecie jedynie skończyć poobijani lub połamani. Jeżeli pozwolicie sobie na nieuwagę, gdy będziecie znajdować się na znacznej wysokości – skutki mogą być śmiertelne.

Dobra, dziadek, nie truj, tylko przechodź do konkretów.

– Niektórzy z was nauczą się szybciej, inni wolniej – kontynuował. – Potrzeba do tego szczególnego wyczucia i jeżeli ktoś od samego początku nie będzie przejawiał zdolności w tym kierunku, prawdopodobnie nigdy nie nauczy się lewitować na wysokość wyższą niż kilka metrów.

Przewróciłam oczami. Zawsze miał skłonności do przydługich, moralizatorskich pogadanek.

– Aula jest wystarczająco wysoka, ma około dziesięciu metrów, nie ma więc potrzeby wychodzenia na zewnątrz. Poza tym nie sądzę, by komukolwiek udało się za pierwszym razem oderwać od ziemi na więcej niż kilkadziesiąt centymetrów. Ustawcie ławki pod ścianą i będziemy mogli zaczynać.

Ludzie rzucili się spełnić polecenie profesora, najwyraźniej im również śpieszno było wznieść się w powietrze. Skupiłam się i sprawiłam, że moja ławka uniosła się i powędrowała pod ścianę. To samo uczyniłam z krzesłem. Telekinezę miałam opanowaną do perfekcji. Profesor zauważył moje poczynania i spojrzał na mnie z aprobatą.

– Lewitacja i telekineza to pokrewne pojęcia. Jeżeli nie opanowaliście jeszcze w zadawalającym stopniu tej drugiej, nie macie co liczyć na sukces w dniu dzisiejszym.

Kilku studentów wyraźnie zmarkotniało.

– Niech każdy wybierze sobie miejsce. Dla bezpieczeństwa ustawcie się w odległości kilku metrów od siebie. – Kiedy wszyscy wykonali jego polecenie, mówił dalej: – Teraz zamknijcie oczy i skupcie się na oddychaniu.

Po kilku minutach na sali słychać było tylko odgłosy głębokich oddechów.

– Bardzo dobrze. Musicie wyobrazić sobie, że jesteście lżejsi od powietrza. To pierwszy krok.

Oddychałam i oddychałam, mocno skupiając się na wyobrażaniu, że jestem równie lekka jak wodór, czy jakikolwiek gaz szlachetny, ale nic się nie działo.

– Nie myślcie, że to wystarczy. Musicie poczuć więź między duchem a ciałem. Skupcie się. Poczujcie, że wasz duch i ciało są jednością.

Okej, to już było głupie. Brzmiało, jak jakieś buddyjskie brednie. Poczułam się rozczarowana i oszukana. Otworzyłam jedno oko. Najwyraźniej nie tylko ja miałam wątpliwości. Jakoś nikt nie unosił się w powietrzu.

– Tak jak myślałem, do żadnego z was nie przemówiła ta metoda. Niewielu udaje się opanować sztukę lewitacji używając jedynie tego sposobu. Możecie sobie pomóc, sprężając powietrze u waszych stóp.

Ach! Trzeba było tak od razu!

Wyobraziłam sobie, że jestem leciutka niczym piórko, a na powietrze znajdujące się pod moimi nogami z trzech stron napierają niewidzialne tłoki. Kiedy nic się nie działo, dopomogłam sobie wizją ogromnych sprężarek, pracujących u moich stóp.

Poczułam, że tracę grunt pod nogami. Otworzyłam oczy. Unosiłam się jakieś dwadzieścia centymetrów nad ziemią. Z wrażenia aż spadłam.

Mina profesora wyrażała rozbawienie.

– Spodziewałem się, że tobie uda się jako pierwszej, gdy tylko wspomnę o sprężaniu powietrza.

Wyszczrzyłam zęby. Ta krótka chwila, kiedy znajdowałam się w powietrzu, wprowadziła mnie w stan euforii. Jeszcze raz zamknęłam oczy i skupiłam się na wrażeniu lekkości i wyobrażaniu sobie tłoków. Ponownie poczułam, że odrywam się od ziemi. Tym razem nie dałam się ponieść radości. Skupiłam się jeszcze bardziej, siłą umysłu napierając na otaczające mnie powietrze. Nabierałam wysokości.

Poczułam się lekka i niesamowicie z siebie zadowolona. Teraz już wszyscy porzucili ćwiczenia i gapili się na mnie, a ja unosiłam się coraz wyżej i wyżej. W końcu dotknęłam sufitu.

Cholera, o jednym nie pomyślałam.

– Jak mam wrócić? – krzyknęłam.

W tym samym momencie straciłam równowagę i runęłam w dół. Przygotowałam się na bolesny upadek. Przemknęło mi jeszcze przez myśl, że oto szykuje się idealna na okazję wycieczki kontuzja.

Zacisnęłam oczy i... poczułam, że ląduję na czymś miękkim. Odważyłam się otworzyć jedno oko. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że znajduję się kilkanaście centymetrów nad ziemią.

– Materac powietrzny – rzucił profesor. – Bardzo przydatna rzecz.

O tak, bardzo przydatna. Z godnością opadłam na ziemię.

– Nie ma się co gapić – powiedział profesor do reszty studentów. – Zabierajcie się do ćwiczeń.

Nie udało mi się już powtórzyć mojego wyczynu, zresztą niespecjalnie miałam na to ochotę. Najpierw musiałam dowiedzieć się czegoś więcej o wykorzystanym przez profesora materacu powietrznym. Do końca zajęć jeszcze tylko trzy osoby zdołały oderwać się od ziemi na kilka centymetrów. Jedyne, co osiągnęła reszta, to poczucie frustracji i rozczarowania.

– Nie zrażajcie się niepowodzeniem. Mało kto potrafi zrobić to przy pierwszej próbie. Ćwiczcie! To najlepsza recepta na sukces. Próbujcie w każdej wolnej chwili, w końcu wam się uda. Potem będzie już tylko z górki.

Studenci nie wyglądali na przekonanych. Z markotnymi minami opuszczali salę.

Po zajęciach udałam się wreszcie do biblioteki. Musiałam znaleźć informacje na temat uroków wywołujących choroby i coś o zaklęciu, którego użył profesor. Najpierw skierowałam się do działu nauk przyrodniczych. Poszukiwania odpowiedniej książki zafrasowały mnie do tego stopnia, że prawie wpadłam na Urkwę – profesorkę od magii leczniczej.

– Malice, czyżbyś wreszcie postanowiła zainteresować się moim przedmiotem? – zapytała obrzucając mnie uważnym spojrzeniem.

– Yyy, no tak – powiedziałam, nie patrząc jej w oczy. – Pomyślałam, że warto nadrobić zaległości...

– Całkiem słusznie, zważając, że widziałam cię ostatnio dwa tygodnie temu. Szukasz czegoś konkretnego?

– Hmm, właściwie to już znalazłam. – Chwyciłam najbliższą książkę, która okazała się zbiorem porad, jak magicznie pozbyć się szkodników i czmychnęłam czym prędzej.

Gdy upewniłam się, że Urkwa odeszła na bezpieczną odległość, odnalazłam właściwą książkę i zasiadłam w fotelu. Szybko znalazłam w indeksie hasło „choroby zakaźne” i otwierałam na wskazanej stronie. Pisali, że choroby wywołane magicznie mają nieprzewidywalny przebieg i dwa razy gorsze powikłania niż te, którymi zarazimy się drogą naturalną. Niech to szlag! Nie miałam zamiaru narażać się na utratę nosa, tylko po to, by nie iść na cholerną wycieczkę ze wszystkimi przygłupimi ludźmi z mojej grupy.

Byłam tak wkurzona, że postanowiłam zostawić niespodziankę dla następnego użytkownika tej książki. Wyczarowałam magiczne zarazki ospy i umieściłam je na kartach książki. Zatrasnęłam ją i jak gdyby nigdy nic, odniosłam na swoje miejsce.

W drodze do internatu przystanąłam przed tablicą ogłoszeń, która znajdowała się w głównym holu budynku, gdzie odbywała się większość zajęć. Wymarsz w piątek o godzinie trzynastej. Chociaż tyle, że się wyśpię. Lista potrzebnych rzeczy: prowiant na drogę, po który należy zgłosić się w dniu wycieczki na stołówkę; potrzebny sprzęt również mieli nam rozdać tego dnia. Sami mieliśmy zaopatrzyć się w ciepłe ubranie, bo mimo

wysokiej temperatury, w lesie jest chłodniej, a w nocy będzie zimno. Oprócz tego buty przystosowane do chodzenia po lesie.

No nie, czyli szpilki odpadają – pomyślałam. Ta lista była dla debili. Chyba każdy wie, że nie chodzi się na wycieczki do lasu w japonkach i kostiumie kąpielowym. Zdegustowana udałam się na stołówkę.

Doszłam do wniosku, że bez procentów tego nie zdzierzę. Niestety mój zapas trzymany pod łóżkiem wyczerpał się jakiś czas temu. Spojrzałam na plan lekcji. Historia magii. No tak, nikt nie będzie płakał, jeżeli sobie odpuszcze. Poszłam do znajdującego się nieopodal miasteczka, uzupełnić swoje zapasy.

Choć wypierałam to ze swojej świadomości, piątek jednak nadszedł. Wstałam o jedenastej i po szybkim prysznicu pobiegłam na stołówkę z nadzieją, że został jeszcze jakiś prowiant. Miałam szczęście. Wybrałam sobie paczkę sucharów, kilka kanapek, dwie butelki wody, butelkę mleka i tyle batoników, ile zdołałam zmieścić do kieszeni. Tak zaopatrzona wróciłam do pokoju.

Zastanawiałam się, czy zabrać wódkę ze sobą. Nie chciałam ryzykować, gdyby profesor przypadkiem ją odnalazł, miałabym dużo niepotrzebnych kłopotów. Przełałam około ćwierć litra do małej piersiówki, którą ukryłam w kieszeni i chwilę myślałam, co zrobić z resztą.

Dwa dni to mnóstwo czasu. Postanowiłam wlać pozostałą część do butelki z mlekiem. Upiłam kilka łyków i brak uzupełniłam wódką. To będzie mleko z prądem. Nigdy jeszcze takiego nie piłam, ale rozpaczliwe sytuacje wymagają rozpaczliwych rozwiązań. Spakowałam wszystko do torby, po czym podniosłam ją na próbę. A niech mnie, ciężka. Poszperałam chwilę w pamięci i wypowiedziałam odpowiednie zaklęcie, manipulując magią tak, by wpłynęła na ciężar torby. Poniosłam ją jeszcze raz. O wiele lepiej.

Z ponurym nastawieniem założyłam trampki, czarne jeansy, bluzkę z długim rękawem i cienką kurtkę z kapturem. Zbliżała się pierwsza, postanowiłam więc udać się na miejsce zbiórki. Jeszcze profesor pomyśli, że go olałam i mnie obleje, co byłoby niefortunne.

Zdążyłam w samą porę. Na skraju lasu zgromadzili się już prawie wszyscy. Stali w kilkusobowych grupkach, żartując między sobą, ale choć usiłowali sprawiać wrażenie wyluzowanych, dało się wyczuć wśród nich jakąś nerwowość. Co by nie mówić, większość wolała trzymać się z daleka od lasu.

– Już myślałem, że nie przyjdiesz – powiedział profesor, podając mi plecak, w którym znajdował się jednoosobowy namiot i inny potrzebny sprzęt. Większość z tego

widziałam na oczy po raz pierwszy i wolałam nie zastanawiać się, jak będę to wszystko składać razem do kupy. Miałam nadzieję, że gdzieś tam była jeszcze instrukcja obsługi. Najwyraźniej profesor rzucił to samo zaklęcie, którym potraktowałam swoją torbę, bo plecak prawie nic nie ważył. Kiedy go założyłam, doszłam do wniosku, że muszę wyglądać głupio z torbą i plecakiem, ale co zrobić, wycieczki mają to do siebie, że są głupie, jak i wszystko z nimi związane.

Obrzuciłam wzrokiem moją grupę. Lista, którą wywiesił profesor, niby była dla osób, które mają problemy z myśleniem, ale okazało się, że niektóre dziewczyny nawet mimo tego przyszły w szortach i klapkach. W końcu idziemy na plażę.

– Dziewczęta, czy w ogóle nie czytałyście mojej listy? – Dezaprobata, z którą profesor wypowiedział to pytanie, sprawiła, że oblały się rumieńcem. – Biegnijcie się przebrać, tylko szybko. Nie będziemy na was czekać.

Uwinęły się całkiem prędko, nie przeczę. Jak dla mnie zbyt prędko. Wróciły w przeciągu kilku minut i wyruszyliśmy z niewielkim poślizgiem. Temperatura w lesie była dobre kilka stopni niższa niż na błoniach. Na razie szliśmy całkiem szeroką ścieżką.

Profesor nie wziął sobie nikogo do pomocy. Szedł na początku grupy, naturalną kolejną rzeczą było więc dla mnie wybranie miejsca na samym końcu. Mimo wszystko jego głos słyszałam całkiem wyraźnie.

– Jak mówiłem na zajęciach, w lesie występują zagięcia przestrzeni, nie próbujcie więc zbaczać z drogi. Macie iść za mną i nigdzie nie odchodzić. Jeżeli będziecie chcieli postoiu, mówcie, jednak pierwszy przewidziany jest nie wcześniej niż za dwie godziny. Zrozumiano?

Grupa mruknęła potakująco.

– Świetnie. Ruszajmy więc na przygodę z trzminorkami! – zakomenderował, jego głos ociekał entuzjazmem.

Gdybym nie miała zajętych rąk, złapałabym się za głowę. To nawet brzmiało strasznie kiczowato. Przygoda z trzminorkami, a niech mnie, nigdy bym nie powiedziała, że wezmę udział w czymś takim.

Im dłużej szliśmy, tym mroczniejszy stawał się las. Robiło się chłodniej, cienie stawały się coraz dłuższe. Drzewa rosły bardzo gęsto, były tak wysokie, że wydawały się sięgać nieba. Ścieżka, którą szliśmy, nie przypominała już szerokiego traktu, mieściło się na niej najwyżej dwoje ludzi idących obok siebie.

Z ulgą powitałam decyzję profesora o postoiu. Zaprowadził nas na niewielką łączkę, świetnie ukrytą przed oczami niewtajemniczonych. Gdybym szła wtedy sama, na pewno bym jej nie zauważyła. Walnęłam się na trawę. Tuż obok usiadły owe mało rozgarnięte dziewczyny, które ubrały szorty.

– Myślicie, że mu się podobam? Puścił do mnie oczko. – Do moich uszu dobiegł jak na mój gust za wysoki przynajmniej o kilka tonów głos.

– No nie wiem, jak świecisz mu cycem przed nosem, co ma robić?

Usłyszałam prychnięcie.

– To, że ty nie masz czym świecić, nie znaczy, że musisz być uszczypliwa.

Zgrzytnęłam zębami i sięgnęłam po piersiówkę. Pociągnęłam łapczywie, czując, że zaraz potraktuje te pustogłowe panny jakimś zakłębciem. Po kilku chwilach rozluźniłam się i sięgnęłam po kanapkę. Przedtem rzuciłam niewielką iluzję.

– O mój Boże, żmija! – krzyknęła jedna z nich.

Minutę później wszystkie wyniosły się z piskiem na przeciwny kraniec łąki. Zadowolona w spokoju konsumowałam kanapkę z wołowiną. Potem zjadłam jeszcze batonika i popiłam wodą. Najedzona i rozluźniona wyciągnęłam się na trawie. Zaczęłam obserwować przepływające nad moją głową chmury. Kiedyś przeczytałam, że najczęściej kojarzą się ludziom ze zwierzętami i rzeczywiście, tak było. Bawiłam się dłuższą chwilę, rozróżniając poszczególne kształty. Wtem na moją twarz padł cień.

– Widzisz, Malice – usłyszałam głos profesora – nie jest tak źle.

– Na razie – rzuciłam na odczepnego.

Postał jeszcze przez chwilę, mając chyba nadzieję na dłuższą rozmowę, ale w końcu zorientował się, że nic z tego i odszedł. Leżałam tak przez kilkanaście minut, czując, jak trawią się zjedzone przez mnie rzeczy. Niestety wkrótce nadszedł moment podjęcia wędrówki.

– Starczy tego dobrego – powiedział profesor. – Czekają nas kolejne dwie godziny marszu, potem rozbijemy obóz.

Ludzie mruzcili niechętnie, ale posłusznie wstali i zaczęli zbierać się do drogi. Bez entuzjazmu podniosłam się ze swojego miejsca.

– Pamiętajcie, wszyscy idziecie za mną... – Bla bla bla, darowałyby sobie tę gadkę.

Opuściliśmy przytulną łączkę, po czym ponownie zagłębiliśmy się w las. Zrobiło się jeszcze zimniej. Zasupełam kurtkę i zaczęłam żwawiej maszerować. Pokonywaliśmy kolejne zakręty, a ja cieszyłam się, że nie muszę słuchać irytującego gadania tamtych idiotek, które najwyraźniej postanowiły spróbować szczęścia i wiernie towarzyszyły profesorowi na przodzie grupy. Gadanie chłopaków przede mną i ich nieudolne próby podrywu były niewiele lepsze, ale zawsze odrobinę mniej irytujące.

Zaczęło cisnąć mnie na pęcherz. Podczas postoju byłam zbyt zajęta leżeniem i odpoczywaniem, żeby się wysikać. Doszłam do wniosku, że nic się nie stanie, jeżeli pójdę w krzaki ulżyć potrzebie. Postawiłam plecak na drodze i wykonałam szybki skok w bok. Po opróżnieniu pęcherza, lżejsza i weselsza wyszłam z krzaków, gotowa kontynuować marsz. Czekala mnie jednak niemiła niespodzianka. Plecaka nie było.

Ha ha – pomyślałam. – Ktoś najwyraźniej miał ochotę zabawić się w dowcipnisia. Zła decyzja.

Ruszyłam biegiem, by dogonić grupę. Spodziewałam się ujrzeć ich za najbliższym zakrętem, w końcu cała sprawa nie zajęła mi więcej niż dwie minuty. Kolejna niemiła niespodzianka. Droga przede mną była prosta i dość długa. I zdecydowanie zbyt pusta.

Cholera. No to wpadałam jak śliwka w kompot. Niemożliwe, żeby cholerne zagięcia przestrzeni były akurat w miejscu krzaków, przy których się załatwiałam.

Zawróciłam. Spodziewałam się zobaczyć tę samą, szeroką ścieżkę. Moje zdziwienie, gdy jej nie ujrzałam, było ogromne.

O rzesz kurwa – powtarzałam to sobie w myślach jak mantrę. Zresztą, po co ograniczać się do myśli.

– O rzesz kurwa! – wykrzyknęłam na cały głos.

Odpowiedziało mi jedynie echo.

Urwa urwa urwa.

Ciarki przeszły mi po plecach. Siadłam na środku drogi i sięgnęłam po piersiówkę. Wypiłam połowę zawartości za jednym razem. Utknęłam w środku cholernie przerażającego lasu, w którym czają się pewnie jakieś krwiożercze bestie – żeby sobie z tym poradzić, potrzebowałam większej ilości alkoholu.

Próbowałam myśleć racjonalnie. Co mogłam zrobić? Zbliżał się wieczór i robiło się coraz ciemniej. Odgłosy, które wydawał las, bynajmniej nie dodawały mi odwagi. Pomyślałam, że miło byłoby znaleźć jakąś przestronną łączkę, na której mogłabym przenocować. Tylko jak? Drzewa były cholernie wysokie, sięgały samego nieba. Nie miałam pewności, czy po jednej lekcji z lewitacji dam radę wznieść się na taką wysokość. Dodatkowo zapomniałam sprawdzić zaklęcie profesora, którym zamortyzował mój upadek.

Doszłam jednak do wniosku, że drzewa rosną tu na tyle gęsto, że nawet jeśli spadnę, nie rozbiję się o ziemię, tylko zawisnę na jakiejś gałęzi.

Ciągle nie wiedziałam, w jaki sposób opuszczać się na ziemię. Jedyne, co byłam w stanie wymyślić, to rozprężanie powietrza. Postanowiłam wykonać małą próbę. Uniosłam się na wysokość kilkunastu centymetrów i zaczęłam powoli rozpręzać powietrze, znajdujące się pod moimi nogami.

To działało! Opadałam na ziemię!

Wylądowałam z wdziękiem i nie tracąc czasu na dalsze próby, skupiłam się maksymalnie, wyrzucając z głowy wszystkie myśli o moim marnym końcu, krwiożerczych bestiach czających się za drzewami, brudzie i oddalającej się grupie.

Oderwałam się od ziemi i stopniowo zaczęłam nabierać wysokości. Unosiłam się coraz wyżej i wyżej. Ścieżka w dole stawała się coraz mniej wyraźna, a ja ciągle nie wzniosłam się ponad wierzchołki drzew. Kiedy wreszcie udało mi się to osiągnąć, byłam przekonana, że znajduję się dobry kilometr od ziemi. To, co zobaczyłam, sprawiło, że o mało nie runęłam w dół.

Byłam otoczona przez las. Drzewa ciągnęły się nieprzerwanie w zasięgu mojego

wzroku. Nieważne, w którą stronę patrzyłam, w prawo czy w lewo, w przód czy do tyłu, widziałam tylko drzewa. Całą masę cholernych drzew.

Lewitacja pochłaniała zbyt wiele sił, bym była w stanie pokonać tak wielką odległość. Właściwie już w tym momencie z trudem utrzymywałam równowagę. Postanowiłam przelecieć się choć kawałek w poszukiwaniu jakiejś przyjaznej łączki. Nic z tego. W żadnym miejscu, nie zauważyłam przerzedzenia drzew. Kompletnie wyczerpana, zaczęłam opadać na ziemię.

Nagle tuż przed moim nosem przeleciała wielka, biała sowa. Jej żółte oczy jarzyły się własnym światłem. Przeżona straciłam równowagę i zaczęłam spadać. Gałęzie, które napotykałam po drodze, drapały mnie boleśnie, ale konsekwentnie spowalniały upadek. Na kilka metrów przed ziemią zdołałam się chwycić dość solidnego konaru. Zawisłam na chwilę i natychmiast zaczęłam wyobrażać sobie powietrze pod stopami. Puściłam gałąź, a potem wolno opadłam na ziemię.

Byłam cała brudna, kurtkę miałam w strzępach, a na rękach i twarzy mnóstwo zadrapań. Czułam się wyczerpana, ale skupiłam się, by przyspieszyć gojenie niewielkich ranek, które piekły mnie niemiłosiernie. Nie chciałam, by wdało się zakażenie, a nie miałam nic oprócz niewielkiej ilości wódki, którą wolałam raczej wypić, niż zużyć na odkażanie ran.

Padłam na ziemię, gdy poczułam, że zasklepiła się ostatnia rana. Ostatkiem sił sięgnęłam do torby i wyjęłam kanapki.

Po zjedzeniu czterech poczułam się odrobinę lepiej. Popiłam je resztą wody z pierwszej butelki i doszłam do wniosku, że lepiej jej nie wyrzucać, przy najbliższym strumyku będę mogła się zaopatrzyć.

Tymczasem, noc prawie zapadła. Musiałam coś wymyślić. Przecież nie będę leżała tu jak jakaś przekąska.

Skoro nie znalazłam łąki, doszłam do wniosku, że czeka mnie noc na drzewie. Zaczęłam rozglądać się za odpowiednim. Niestety przeważały drzewa iglaste, które mają to do siebie, że gałęzie rosnące bliżej ziemi są bardzo cienkie, a grubsze zaczynają się zbyt wysoko, bym zdołała się na nie wdrapać. Szlachetny dąb – tego mi było trzeba. Jak na złość, dookoła rosły same przerośnięte jodły.

W momencie, w którym pomyślałam, że to wszystko na nic i skończę jednak jako kolacja dla jakiegoś wilczka, usłyszałam piszczenie. Nie był to ludzki odgłos, kojarzył mi się raczej z jakimś niewyrośniętym zwierzątkiem. Zaintrygowana podążyłam w stronę, z której dochodził. Miałam nadzieję, że nie jest to jakaś przemyślna taktyka zwierząt na zwabienie sobie kolacji.

Kwilenie dochodziło spod wielkiej jodły. Jej gałęzie sięgały samej ziemi, ukrywając przed moim wzrokiem nieszczęśliwą istotę, która je wydawała. Zachowując wszelką ostrożność, podeszłam bliżej. Wzmocniłam jeszcze swoje magiczne tarcze.

Wtem spod jodły wyskoczyło małe, czarne zwierzątko i zaczęło biec w moim kierunku, potykając się przy tym i zataczając we wszystkie strony. Było już prawie całkowicie ciemno, ale widziałam na tyle dobrze, że z miejsca się zakochałam. Zwierzak podbiegł do mnie i zaczął trącać moją nogę nosem, piszcząc przy tym nieszczęśliwie.

– Ojej, mój malutki, chyba jesteś głodny – przemówiłam do niego uspakajającym głosem. – Poczekaj, zaraz ci coś dam.

Ślepią, którymi na mnie spojrział, były wielkie, szare i absolutnie cudowne, a malowała się w nich taka rozpacz, że czym prędzej sięgnęłam do torby. Niestety, zjadłam wszystkie kanapki, zostało mi jedynie kilka batoników. Otwarłam jeden i podstawiłam mu pod nos. Mały obwąchał go ochoczo, ale najwyraźniej to, co poczuł, go nie zachwyciło, bo pokręcił nosem i piszczał dalej. Serce mi się krajało na ten dźwięk.

– No już, już, spokojnie. – Pogłaskałam go po malutkiej, czarnej główce. – Mam tu mleko, specjalnie dla ciebie.

Nie byłam pewna, jak zareaguje na mleko z prądem, ale byłam zdesperowana. Nawet nie pomyślałam o odparowaniu alkoholu, to zajęłoby zbyt dużo czasu i energii, której zresztą nie miałam. Zwierzak spoglądał na mnie tak rozpaczliwie, w jego pięknych oczach malowała się niemal ludzka prośba. Gdy odkręciłam butelkę, oszalał. Zaczął trącać mnie ochoczo łapką, usiłując wsadzić nos do butelki. Najwyraźniej nie przeszkadzała mu wódka. Powiedziałabym „swój chłop”, ale przecież nie był człowiekiem.

Rzuciłam czar na butelkę i zmieniłam ją w niewielką miseczkę. Zaczął pić z takim entuzjazmem, aż trzęsły się jego malutkie uszka. Machał przy tym szaleńczo swoim długim, czarnym ogonkiem. Przyglądałam mu się uważnie. Wyglądał trochę jak pies, ale łapy miał kocie, kształt pyska również mi nie pasował. Ręki bym sobie uciąć nie dała, ale stawiałam, że to malutki jaguar.

Wypił wszystko i spojrział na mnie z niemą nadzieją w wielkich ślepiach.

– Przykro mi, kotek, ale to wszystko co mam – najwyraźniej zrozumiał, bo – mogłabym przysiąc – westchnął cichutko, po czym wdrapał mi się na kolana. Był wielkości niezbyt wyrosniętego psa.

– No mały, jak się tu znalazłeś? – spytałam, drapiąc go za uszami. Wyraźnie przypadła mu do gustu ta pieszczota, bo zaczął rozkosznie mruzczyć.

Tymczasem zrobiło się zupełnie ciemno. Czas spać. Zrezygnowałam z szukania drzewa, nie mogłam zostawić tego maleńkiego jaguara samego. Zaczęłam się zastanawiać, co powiedzieliby w Akademii na zwierzątko domowe. Wiedziałam, że niektórzy mają koty, parę osób trzymało chyba nawet psa. Gdybym rzuciła na niego iluzję, wyglądałby jak kot i może mogłabym go zatrzymać.

– To co, mały, idziemy spać?

Wpełzłam pod gałęzie wielkiej jodły. Kotek podążył za mną. Rzuciłam zaklęcie na ziemię, oczyszczając ją z gałązek, kamieni i wszelkiego innego ustrojstwa. Położyłam torbę

pod głową i zwinęłam się w kłębek. Jaguar poszedł za moim przykładem i ułożył się tuż obok. Promieniujące od niego ciepło sprawiało, że mimo ponurej ciemności otaczającej nas ze wszystkich stron, było całkiem przyjemnie.

Dla pewności postawiłam jeszcze kilka dodatkowych barier. Miałam nadzieję, że dzięki nim żadne dzikie zwierzęta nie będą nas niepokoić. Przytuliłam się do kotka i zasnęłam, mimo całej tej parszywej sytuacji – z błogim uśmiechem na twarzy.

Zbudził mnie ryk. Przerażona poderwałam się z ziemi, uderzając głową w gałęzie. Posypały się igły. Jaguar również się obudził, wyraźnie chciał wyjść spod drzewa, nie pozwalały mu jednak moje bariery.

– Mały, chodźże tu. Chcesz zostać pożarty? – syknęłam na niego z naganą. On jednak nie ustępował, podobnie jak ryk na zewnątrz. Wokół panowały egipskie ciemności, noc była pochmurna i bezksiężycowa. Jedyne, co byłam w stanie zobaczyć, to żółte, przerażające ślepie. Podczas kolejnego ryku błysnęły mi również białe, wielkie kły.

Jak nic zjawiała się wkurzona mamusia.

Spojrzałam z żalem na uroczonego kociaka, kręcącego się u moich stóp.

– Chyba musisz wrócić do mamy.

Nie chciałam się z nim rozstawać, ale wiedziałam, że czarny potwór na zewnątrz nie ustąpi. Jaguar najwyraźniej wyczuł mój smutek, bo trącił mnie noskiem i polizał po ręce różowym języczkiem.

Żegnał się.

Opuściłam bariery i pozwoliłam mu wyjść. Stworzyłam również kulę światła, chciałam zobaczyć, co się stanie. Jak przewidywałam, pod drzewem stał wielki czarny jaguar, wkurzony jak cholera. Kiedy zobaczył, że spod drzewa wybiega w podskokach jego młody, wyraźnie się uspokoił. Przestał ryczeć, zaczął obwąchiwać i lizać małego kotka. Chyba niezbyt spodobał mu się jego nowy zapach, bo warknął z niezadowoleniem. Wbił we mnie żółte ślepie i ryknął raz jeszcze.

A potem zakręcił ogonem, odwrócił się i odszedł, zabierając ze sobą moje niedoszłe zwierzątko domowe. Czułam się niepokieszona. To niesprawiedliwe, dopiero zaczęliśmy się zaprzyjaźniać.

Westchnęłam. Odgłosy lasu były przerażające. Nocne życie toczyło się pełną parą, słyszałam to wyraźnie. Miałam tylko nadzieję, że nikt nie zainteresuje się moją skromną osobą.

Pozbawiona ciepła, którego dostarczał mi leżący obok mały jaguar, nie mogłam

zasnąć. Było mi zimno, każdy odgłos sprawiał, że dodatkowo drżałam ze zdenerwowania.

To będzie ciężka noc.

Rano obudziłam się tak niewyspana, że czułam się bardziej, jakbym była na kacu. Od leżenia na niewygodnej, twardej ziemi bolało mnie całe ciało. Przeciągnęłam się, próbując rozprostować zeszywniałe kończyny. Zrobiłam jeszcze kilka skłonów i zabrałam się do śniadania. Niestety zostały mi jedynie dwa batony i paczka sucharów. Batony postanowiłam zostawić na później. Zjadłam kilka sucharów i popiłam resztką wódki.

Nie ma to jak konkretne śniadanie.

Nie wiedziałam, co robić. Mogłam wędrować po tym lesie w nieskończoność i nie znaleźć wyjścia. Postanowiłam, że zdam się na instynkt. W końcu powinnam jakiś mieć, byłam wszakże wiedźmą. A jeśli nie, to nadal powinna działać kobieca intuicja.

Stałam tak i zastanawiałam się, w którą stronę pójść, gdy zauważyłam, że do mojej torby skrada się zwierzę wyglądem przypominające rysia. Miało olbrzymie uszy, które wieńczyły urocze pędzelki. Jeśli mnie pamięć nie myliła, mówiliśmy o nim na zajęciach ze zwierząt magicznych i niemagicznych. Wytężyłam pamięć. Łaciate futro, przypomina kota, a na uszach ma pędzelki niczym ryś.

Mam! Do mojej torby zakradał się kuguchar!

– Hej – powiedziałam do niego. Zwrócił na mnie inteligentne ślepia. – Masz ochotę na suchara?

Wyjęłam paczkę i poczęstowałam go jednym. Obwąchał, ale nie zjadł.

– Czekaj, on jest przecież za suchy. – W myślach skarciłam się za głupotę. Połałam go wodą i położyłam na ziemi. Zrobiła się chyba nieco miększy, bo kuguchar zaczął go pałaszować z wyraźnym apetytem.

A niech mnie – pomyślałam. – Dokarmię chyba połowę zwierząt z tego lasu, a potem sama umrę z głodu. Zwierzak skończył jeść i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Jeszcze?

Wyjęłam kolejnego suchara, ale on pokręcił nosem. Wstał i zaczął iść. Po chwili przystanął i wlepił we mnie ślepia.

– Chcesz, żebym szła za tobą?

Nie mając nic do stracenia, wstałam i ruszyłam za nim. Najwyraźniej o to mu chodziło, bo wyglądał na całkiem ukontentowanego.

I nagle mnie oświeciło! No jasne, kuguchar potrafi doprowadzić czarodzieja do domu,

jeśli ten zabłądzi! Byłam uratowana! Przypomniałam sobie również, że kuguchary są inteligentne, ale bywają agresywne. Na szczęście dla mnie, ten był amatorem sucharów.

Podążałam za jego łaciatym ogonem, który co jakiś czas znikał mi z oczu. Zastanawiałam się, czy wyprowadzi mnie z lasu od strony miasteczka, czy Akademii. Miałam nadzieję na to drugie, bo w tym momencie jedyną rzeczą, o której potrafiłam myśleć, była długa, gorąca kąpiel. W końcu zorientowałam się, że idę znajomą, szeroką ścieżką. Kuguchar odwrócił się, jego wzrok zdawał się mówić: *A teraz radź sobie sama.*

– Hej, poczekaj – powiedziałam do niego. – Przecież ja nadal nie wiem, w którą stronę mam iść.

Machnął ogonem do przodu i przysięgłabym, wyglądał przy tym na poirytowanego.

– Okej. Do przodu. Dziękuję ci bardzo. – Trochę głupio się czułam, gadając tak do kota, ale na szczęście nikt mnie nie widział.

Zbliżyłam się do niego i leciutko trąciłam pędzelki, które miał na uszach. W odpowiedzi pacnął mnie łapką, tylko odrobinę zahaczając pazurami o skórę, odwrócił się i znikł za krzakami.

Czy to aby nie te krzaki, za którymi się załatwiałam? Pognałam do przodu, a ulga, którą poczułam, w momencie gdy zobaczyłam swój plecak stojący na drodze, była niewysłowiona. Słyszałam znikające w oddali głosy.

Moje oczy rozszerzyły się ze zdumienia, gdy zrozumiałam, co to oznacza. Najwyraźniej w tym przeklętym lesie występują nie tylko zagięcia przestrzeni, czas także się zaginał!

Chwyciłam plecak i pognałam w ich kierunku. Zdążyłam jeszcze rzucić na siebie iluzję, wyglądałam przecież jak nieboskie stworzenie i wybiegłam z za zakrętu. Chyba nigdy nie cieszyłam się tak na widok swojej grupy. Miałam wręcz ochotę odtańczyć dziki taniec radości. Opanowałam się jednak i jakby nigdy nic dołączyłam do nich.

Chyba jednak ktoś zauważył moją nieobecność.

– Malice! – to krzyknął profesor. – Gdzieś ty była?

– W krzakach za potrzebą – powiedziałam, siląc się na niewinny ton.

– Masz w ogóle pojęcie, jak to się mogło skończyć? Przecież mówiłem wyraźnie, że macie się nigdzie nie oddalać.

– Przepraszam, to się więcej nie powtórzy – obiecałam i miałam zamiar dotrzymać obietnicy. Wolałam już zlać się w gacie, niż zaliczyć kolejną taką przerażającą przygodę.

Przypomniałam sobie słowa profesora. Przygoda z trzminorkami, dobre sobie!

Reszta wycieczki upłynęła nudnawo. Niedługo potem zrobiliśmy postój, a ja mogłam doprowadzić się do porządku. Było za późno na poszukiwanie jaskiń, w których mieszkały trzminorki, więc urządziliśmy sobie wielkie ognisko. Po północy położyliśmy się spać, a następnego dnia rozpoczęliśmy poszukiwania trzminorków. Tak właściwie szukaliśmy pokrzyw, nie ich. Kiedy udało nam się namierzyć rzadką odmianę pokrzywy, zwaną świetlaną, znalezienie trzminorków było już banalnym zadaniem. Zebraliśmy całkiem pokaźne zapasy ich syropu. Patrząc na pękate fiołki wypełnione gęstym, zielonkawym płynem, myślałam, że starczyłoby tego na uspokojenie całej szkoły. Co z kolei przywodziło mi na myśl wiele innych pomysłów. Niektóre z nich sprawiały, że uśmiechałam się nieznacznie, patrząc na swoich kolegów.

Dotrzymałam swojej obietnicy i nie oddalałam się od grupy na więcej niż kilka kroków. Kiedy po dwóch dniach wróciliśmy, z ulgą powitałam znajome mury Akademii.

Moja świętej pamięci babcia zwykła mawiać: „Nie chodź do lasu”. Prorocze słowa. Babcia zawsze dawała dobre rady.



PRZEDSTAWIENIE MUSI TRWAĆ

Jedynym niemagicznym przedmiotem, którego uczyli nas w Akademii Magii, była historia literatury. Wydawać by się mogło, że powinno mnie to cieszyć, biorąc pod uwagę moje zamiłowanie do książek. Nic bardziej mylnego.

Profesor Wyka swoje stanowisko musiał zawdzięczać protekcji, bo miał zerowe pojęcie tak o książkach, jak o samej literaturze. Jako że nikt nie stawiał nam ocen z tego przedmiotu, większość studentów zwyczajnie go sobie odpuszczała, ze mną na czele. Kilka razy w roku wypadało się jednak pokazać. Nie wiem, co mnie podkusiło, żeby iść akurat tamtej środy. Licho czuwało, to pewne.

Swoim zwyczajem zajęłam miejsce z tyłu sali i wyjęłam sobie coś do czytania. Rozsiadłam się wygodnie, co z uwagi na twarde siedzenia (w tej sali akurat wyjątkowo odporne na magię) nie było wcale takie proste. Otworzyłam książkę na zaznaczonej stronie i zagłębiłam się w lekturze do tego stopnia, że przegapiłam wejście profesora. Był wyjątkowo podekscytowany, więc moja nieświadomość nie trwała długo.

– Dziś będziemy rozmawiać o Szekspirze – ogłosił radośnie, spodziewając się chyba jakiejś reakcji, ale jedyne czego się doczekał, to obojętne spojrzenia studentów. Tylko ja odłożyłam na chwilę książkę i spozjrzałam na niego z zainteresowaniem, ale nie mógł tego dostrzec z końca sali.

– No, dzieciaczki, nie mówcie mi, że nie znacie Szekspira! – Brzmiał komicznie, gdy mówił do nas „dzieciaczki”. Sam wyglądał jak wyrostek – chudy, z kilkoma czerwonymi pryszczami na wąskiej twarzy z marnym wąsikiem. Odpowiedziało mu potakujące mruknięcie. W zasadzie miałam wątpliwości, czemu przytakiwali.

– Świetnie! – Zaklaskał w ręce, najwyraźniej interpretując ten pomruk tak, jak było mu wygodnie. – Zajmiemy się jego najslynniejszą tragedią... – nie dokończył, czekając aż

sami odgadniemy tytuł.

– *Hamletem?* – Coś podkusiło mnie, żeby się odezwać, najpewniej moje zamiłowanie do duńskiego księcia.

Wyka zrobił dziwną minę i pokręcił głową.

– Nie, dzieciaczki. Miałem na myśli *Romea i Julię*.

Z miejsca straciłam zainteresowanie. Z całym szacunkiem dla geniuszu Szekspira, ale wizja nastoletnich kochanków, którzy w ciągu kilku dni zakochują się w sobie tak bardzo, że zabijają się, gdy nie mogą być ze sobą, zupełnie do mnie nie przemawiała. Profesorowi udało się wreszcie wzbudzić jakieś zainteresowanie, choć tylko u żeńskiej części studentów. Rozdał nam wystrzępione egzemplarze sztuki i zadał podchwytliwe pytanie.

– Ktoś z was może czytał?

W tym samym momencie gwar ucichł, wszyscy odwracali wzrok, nagle bardzo zainteresowani swoimi paznokciami. Wyka potoczył wzrokiem po naszych twarzach i westchnął rozczarowany.

– Nikt? Naprawdę?

Wtedy dostrzegł mnie.

– Malice, nawet ty?

Podniosłam wzrok znad książki, słysząc swoje imię.

– Ja czytałam.

Jego oblicze rozjaśniło się, jakbym co najmniej powiedziała mu, że wygrał właśnie tygodniowy pobyt na Wyspach Kanaryjskich.

– Cudownie! Dlaczego nic nie mówisz?

Wzruszyłam ramionami, uznając to za pytanie retoryczne. Przez kolejne półtorej godziny katował nas różnymi cytatami, rozwodząc się nad tym, jak szalenie romantyczna była ta sztuka. Im bardziej starałam się go ignorować, tym wyraźniej docierał do mnie jego irytujący głos. W końcu nie wytrzymałam.

Romeo! Czemu ty jesteś Romeo?

Zaprzyj się ojca i wyrzecz imienia!

Lub, jeśli chcesz, miłość mi przysięgnij,

A ja wyrzeknę się krwi Kapuletów¹

Zacytowałam przed całą grupą Julię, mój przepojony ironią głos był parodią miłosnego bełkotu. – Rzeczywiście, strasznie romantyczne. – Mój ton sugerował coś zupełnie innego.

– Tak! – profesor zgodził się ze mną, jakby umknęła mu cała moja intonacja. – Cieszę

się, że ktoś podziela moje zdanie.

Zgrzytnęłam zębami i już więcej nie zabierałam głosu. Do końca wykładu zostało jeszcze dziesięć minut, zaczęłam więc pakować książki, nie starając się wcale robić tego dyskretnie. Gdy skończyłam, usiadłam w pozycji pełnej gotowości, by móc zerwać się natychmiast i wybiec z auli, gdy tylko wybije odpowiednia godzina.

– Na koniec mam dla was radosną nowinę! – Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę, że brzmiał jak żywcem wyjęty z Biblii. – W Akademii brak kulturalnych rozrywek. Za zgodą dyrektora postanowiłem więc je zapewnić. W przyszłym miesiącu wystawimy *Romea i Julię*! – Brak reakcji wyraźnie go rozczarował. – Wiem już nawet, kto zagra Julię – powiedział tajemniczo, na co wszystkie dziewczyny zwróciły twarze w jego stronę. Wszystkie oprócz mnie. Ja, gnana złym przeczuciem, chyłkiem przemieszczałam się w kierunku drzwi.

– Malice Webber. – Zastygłam, gdy usłyszałam swoje nazwisko. Wszystkie oczy zwróciły się w moim kierunku. Przybrałam nonszalancka pozę.

– Nie ma mowy – rzuciłam. – Mam napięty grafik. – Niemal biegiem ruszyłam w stronę drzwi i niczym huragan wypadłam na korytarz. Nic z tego. Nie dam się zrobić w szkolne przedstawienie.

Na resztę dnia zaszyłam się w bibliotece, na wypadek, gdyby ktoś mnie szukał. Już po zmroku ukradkiem przemknęłam do swojego pokoju. Przed drzwiami zobaczyłam białą kopertę. A niech mnie, nienawidziłam tego. Spodziewając się najgorszego, zajrzałam do środka. Na szczęście to tylko Wyka postanowił wysłać mi liścik, gdyby zrobił to sam dyrektor, znalazłabym się w dużo gorszej sytuacji.

Uprzejmie proszę, by jak najszybciej zgłosiła się Pani do mojego gabinetu.

Z poważaniem,

Profesor Wyka

Spojrzałam na zegarek. Minęła już dziesiąta, zgłoszenie się do jego gabinetu o takiej godzinie byłoby nieodpowiednie, zresztą, przecież nie miałam zamiaru spełniać jego polecenia. Przejmowałam się jedynie wezwaniem dyrektora.

Zmieniłam list i wrzuciłam do kosza. Tyle dziewczyn chciało zagrać Julię... nie sądziłam, by Wyce chciało się przekonywać mnie, skoro mógł przebierać w chętnych. Nicco uspokojona tą myślą poszłam pod prysznic.

Zanim znalazłam się w łóżku, myśli o szkolnym przedstawieniu dawno przestały zaprzętać mi głowę.

Następnego dnia jak gdyby nigdy nic poszłam na śniadanie. Tematem numer jeden na stołówce była oczywiście sztuka, którą mieli wystawić w przyszłym miesiącu. Nie pomyliłam się – chętnych do zagrania Juli było na pęczki. Na mój widok milkły, nie miały jednak problemów z rzucaniem niechętnych spojrzeń w moim kierunku. Widać wieść, że miałam zagrać główną rolę, rozniosła się lotem błyskawicy. Chciałam wyprowadzić je z błędu, ale widząc te wszystkie pełne zawiści spojrzenia, postanowiłam utrzymywać je w niepewności.

Wyka przydybał mnie, gdy po śniadaniu szłam na wykład.

– Malice, tu jesteś! Nie dostałaś mojego listu?

Zrobiłam zdezorientowaną minę.

– Jakiego listu?

– Nieważne. – Machnął ręką. – Idziesz ze mną, mamy wiele do omówienia.

– Zaraz mam wykład – oznajmiłam ze zwodniczo słodkim uśmiechem.

– Napiszę ci usprawiedliwienie.

Gdyby to było cokolwiek innego niż historia magii, z pewnością bym odmówiła, ale w tym przypadku wolałam słuchać tego, co miał do powiedzenia Wyka.

– Więc, o co chodzi? – zapytałam, gdy ruszyliśmy korytarzem.

– Jak to o co chodzi? – wydawał się autentycznie zaskoczony. – O szczegóły twojej roli oczywiście!

– Myślałam, że wczoraj wyraziłam się jasno, ale na wszelki wypadek powtórzę jeszcze raz. – Zatrzymałam się i spojrzałam na niego twardo. – Nie zagram Julii.

– Zostałaś wybrana, twoja odmowa nie ma nic do rzeczy. – Uparcie nie przyjmował do wiadomości moich słów.

– Jestem beznadziejną aktorką – postanowiłam chwycić się ostatniej deski ratunku.

– Kłamiesz. Słyszałem cię wczoraj.

– Świetnie, więc wracamy do punktu wyjścia – powiedziałam, gdy stanęliśmy pod drzwiami sali do literatury. – Nie zagram. Mam teraz dużo nauki i nie mam czasu uczyć się roli – kłamałam jak najęta.

– Kogo chcesz nabrać? Wszyscy wiedzą, jaką pilną studentką jesteś. – Był zadziwiająco dobrze poinformowany.

– Nie zmusi mnie pan. – Spojrzałam na niego z otwartym wyzwaniem w oczach. Wreszcie stracił pewność siebie. Mierzyliśmy się spojrzeniami przez długą chwilę. Zgadnijcie, kto pierwszy odwrócił wzrok?

– Jeśli nie zagrasz...

– To co? – Kpina w moim głosie była niemal namacalna.

– Będziesz musiała iść do naszego psychologa – zagroził. Jakby coś takiego miało mnie wystraszyć.

Roześmiałam się.

– Świetnie, pójdę już teraz, żeby nie tracić czasu.

Odwrociłam się na pięcie i ruszyłam prosto w kierunku gabinetu psychologa. Musiałam przyznać, że jakkolwiek wiele osób z mojej przyczyny go odwiedzało, ja nigdy nie miałam tej przyjemności. Zdarzało się, że jako ostoja uprzejmości odprowadzałam znerwicowane studentki pod same drzwi, nigdy jednak nie przekroczyłam progu tego pomieszczenia. Mimowolnie zaczęłam zastanawiać się, jak wygląda. Nie byłam specjalnie wyspana i z chęcią zdrzemnęłabym się na wygodnej, skórzanej kozetce.

Zatrzymałam się przed prostymi, białymi drzwiami z tabliczką głoszącą: A. Najder, psycholog. Nie chcąc przedłużać, zapukałam dwa razy. Ze środka dobiegło mnie „Proszę”, stłumione przez drzwi do tego stopnia, że nie byłam w stanie stwierdzić, czy wypowiedziane przez kobietę, czy mężczyznę. Weszłam do środka, pierwszym, co rzuciło mi się w oczy, była kozetka, na której widok autentycznie się ucieszyłam. Dopiero później zarejestrowałam wielkie, mahoniowe biurko i siedzącą za nim kobietę. Ciężko było określić jej wiek – równie dobrze mogła mieć trzydzieści jak i pięćdziesiąt lat. Włosy miała krótkie, ufarbowane na platynowy blond o odcieniu tak jasnym, że niemal białym. Nosila okulary w solidnych, czarnych oprawkach. Kierując się w stronę kozetki pomyślałam, że wyglądają dość stereotypowo.

– Usiądź, proszę. – Wskazała mi krzesło po drugiej stronie biurka.

– Nie mogę się położyć?

Pokręciła głową, a ja rozczarowana zajęłam wskazane miejsce. Siedziałyśmy w milczeniu, nie patrzyłam na psycholożkę, wodziłam wzrokiem po ścianach. W końcu zorientowałam się, że najwyraźniej czekała, aż zacznę rozmowę.

– Przysłał mnie profesor Wyka.

– Ach tak. – Przypatrywała mi się uważnie, z miną, która mówiła „kontynuuj”.

– Odmówiłam zagrania w szkolnym przedstawieniu.

– Więc jesteś Malice Webber – powiedziała nagle.

– No tak.

– Wiele zostało o tobie powiedziane w tym gabinecie. – Zatoczyła ręką szeroki łuk, obejmując kilka regałów z książkami, obrazki z uspokajającymi widoczkami i stojącą w rogu kozetkę.

– Naprawdę? – zapytałam ze szczerym zdziwieniem.

– Owszem, ale nie o tym będziemy rozmawiać. Dlaczego nie chcesz zagrać Julii?

– Nie rozumiem, dlaczego profesor Wyka uparł się, żebym to ja ją grała. Jest tyle

chętnych, o co w ogóle chodzi? Chyba... chyba poczuje się nękana – powiedziałam, w myślach rozważając nowy pomysł.

– Malice. – Psycholożka zsunęła okulary na nos i spojrzała na mnie znad krawędzi plastikowych oprawek. – Jesteś skrajnie aspołeczna, może profesor chciał wyświadczyć ci przysługę?

Prychnęłam.

– Więc co, powinnam być wdzięczna? – spytałam rozbawiona.

– Owszem, powinnaś.

– Świetnie. Doceniam to, naprawdę – powiedziałam, wstając. – Ale nie zagram w tym przedstawieniu. Mogę już iść?

– Nic z tego, moja panno. Siadaj.

Z powrotem klapnęłam na krzesło. Wkurzona zasznurowałam usta i wpatrywałam się w nią wrogo.

– Albo zagrasz, albo będziemy musieli znaleźć jakiś inny sposób, byś zintegrowała się z rówieśnikami.

Więc taka była ich taktyka? Podstępem próbowali zmusić mnie do... integracji?

– Nie zagram – oznajmiłam kategorycznie.

– Malice. – Psycholożka westchnęła. – Czego potrzeba, żebyś się przede mną otworzyła?

– Łomu.

Zaczęłam kontemplować jeden z wiszących na ścianach obrazków, przedstawiający spadającego Ikara. To musiała być reprodukcja znanego pejzażu Bruegla. Przez myśl przeszło mi pytanie, czy to aby odpowiednie do gabinetu psychologicznego? Nie żebym była ekspertem, ale miał raczej pesymistyczny wydźwięk.

– Dobrze więc – moje rozważanie przerwał głos psycholożki – zrobimy tak: od jutra możesz zacząć chodzić na próby, albo na godzinne sesje do mojego gabinetu, które będą trwały do momentu, aż uznam, że twoja socjopatia nie jest już tak rażąca.

Obrzuciłam ja pogardliwym spojrzeniem i wyszłam bez słowa. Czy to znaczyło, że byłam socjopatką, czy może po prostu odzywały się braki w wychowaniu?

Byłam zmuszona dokonać wyboru między złym a jeszcze gorszym. Jeśli wybrałabym szkolne przedstawienie, po miesiącu (pewnie prędzej) miałabym spokój. Wtedy musiałabym jednak wymyślić coś, dzięki czemu występ nie doszedłby do skutku. Sesje

u psychologa wydawały się relatywnie łatwiejsze – godzinna drzemka na kozetce, ale – i tu gigantyczny minus – do odwołania. Nie miałam zamiaru do końca swoich dni w Akademii chadzać do psychologa. Z drugiej strony, nie miałam też zamiaru brać udziału w przedstawieniu.

Byłam rozdarta. Zniszczyć psycholożkę czy występ? Z tego niezdecydowania zaczęłam obgryzać paznokcie, co nigdy mi się nie zdarzało. Na podjęcie decyzji miałam czas do jutra, postanowiłam więc przespać się z problemem.

Następnego dnia wstałam z gotową odpowiedzią w głowie. Kogo obchodziła jakaś nawiedzona, nic nie znacząca psycholożka? Zniszczenie przedstawienia da mi więcej satysfakcji. Poza tym motor nienawiści wszystkich dziewczyn w szkole straciłby swoje paliwo. Nie mogłam im tego zrobić. Za to skoro Wyka tak bardzo chciał, żebym zagrała, mogłam postarać się, żeby zaczął przeklinać ten pomysł. Byłam ciekawa, ile czasu zajmie mi przekonanie go, że to był najgorszy wybór w jego życiu.

Z bojowym nastawieniem wyszłam z pokoju i udałam się na zajęcia. Tak jak się spodziewałam, nie zdążyłam nawet dojść do auli, gdy przydybał mnie profesor.

– Malice, cieszę się, że cię widzę! – powitał mnie tak głośno, że pewnie słyszał go cały budynek. – Wiesz, o której zaczyna się próba?

Pomijając fakt, że był irytujący do granic możliwości, za samozaparcie go podziwiałam. Zwyczajnie nie przyjmował odmowy.

– Yyy, nie? – Nie wiedziałam, bo i skąd?

– Dzisiaj o piątej pierwsza próba. Przyjdź koniecznie, będziemy wybierać Romea.

– Chwila. O piątej? Pan chyba nie sądzi, że poświęcę na to swój wolny czas?

Profesor spojrział na mnie zakłopotany.

– Dlaczego nie?

– Nie mam mowy, mam inne zajęcia. Albo robi pan tę próbę o dwunastej i przychodzę, albo może się pan pożegnać ze mną w roli Julii – postawiłam mu ultimatum, ciekawa, jak bardzo był zdesperowany.

– W takim razie... do zobaczenia o dwunastej – powiedział i odszedł, nim zdążyłam się rozmyślić. Uśmiechnęłam się pod nosem. Pierwsze ustępstwo dało mi pewność, że bez większych problemów będę mogła owinać go sobie wokół małego palca. Zerknęłam na zegarek. Musiałam zaliczyć tylko jeden wykład tego dnia, później będę zbyt zajęta graniem najtragiczniejszej kochanki wszechczasów, by zjawić się na zajęciach.

Przesłuchanie miało się zacząć o dwunastej, ale bynajmniej mi się nie spieszyło. Jako

odtwórczyni głównej roli miałam prawo, a wręcz obowiązek, spóźnić się chociażby te dwadzieścia minut. Gdy weszłam na salę, z niemiłym zaskoczeniem odkryłam, że kręciło się po niej pełno ludzi, z zatrważającą przewagą dziewcząt. Chyba miały nadzieję, że mimo wszystko się nie pojawię.

– Jest nasza Julia – ucieszył się Wyka. – W takim razie możemy zaczynać.

Poczułam się mile połączona, że czekali na mnie z rozpoczęciem. Usiadłam obok profesora.

– Dawajcie tych Romeów – rozkazałam.

Jak się okazało, chętnych nie było wielu. Albo faceci zwyczajnie nie byli zainteresowani, albo – co bardziej prawdopodobne, bali się zagrać mojego kochanka. Na scenę wyszedł niski chłopaczek w okularach z drucianymi oprawkami, dzierżąc w dłoni wymiętą kartkę papieru. Nie patrząc na nas, wlepił w nią wzrok i wyjąkał:

– *Lecz żaden smutek nie przeważa radości, którą niesie krótka chwila spędzona przy niej.* – Zerknął w moim kierunku i napotkawszy moje spojrzenie, zmieszał się do tego stopnia, że nie był już w stanie wykrztusić nic więcej.

– *Czy nie lepiej żartować niż jęczeć z miłości?* – odpowiedziałam cytatem. – Następny!

Kolejny chłopak sprawiał wrażenie nieco pewniejszego siebie, nie kojarzyłam go z zajęć, ale musiał być z mojego roku. Pewnym krokiem wszedł na scenę i zaczął deklamować:

Niebo jest tam, gdzie Julia.

Pies każdy, kot każdy

I mała myszka, najlichsze istoty

Żyją tu w niebie, mogąc patrzeć na nią,

Lecz nie Romeo.

Szło mu całkiem dobrze, zbyt dobrze jak na mój gust. Musiałam jakoś wspomóc jego grę. Użyłam prostego czaru, dosłownie wpychając strumień magii do jego gardła. Beknął potężnie i zarumienił się, natychmiast tracąc pewność siebie. Mimo wszystko kontynuował:

Większą wartość bowiem,

Godność i możliwość szlachetnego życia

Ma mucha, która na ciało opada,

Niżli Romeo²

Kolejne rozdzierające beknięcia wywołało głośne chichoty na widowni i pograżyło chłopaka. Cały spłoszony zbiegł ze sceny i uciekł z sali.

– Następny!

Ochotników było jeszcze trzech. Pierwszego nawet nie braliśmy pod uwagę, dyskwalifikowała go pokryta czerwonymi pryszczami twarz. Drugi radził sobie całkiem nieźle, dopóki nie zaczęłam mu pomagać, wtedy jego głos uderzył w piskliwe tony, co w sumie brzmiało dość śmiesznie, bo wyobraźcie sobie chłopaka, który z przejęciem woła: „*Ach, najdroższa Julio, Czemu tak piękna jesteś, Czy mam wierzyć, że bezcielesna śmierć jest zakochana i ów wychudły, przeraźliwy potwór ukrył cię w mroku jako swą kochankę?*”³, przy słowie „śmierć” brzmiąc odrobinę piskliwie, by przy słowie „kochanka” wydobyć z siebie dźwięk przypominający odgłos paznokci trących o tablicę.

Nasz ostatni Romeo musiał być amatorem szeroko pojętych ziół. Wyszedł na scenę ubrany w luźne, dresowe spodnie i rozciągnięty podkoszulek. Posiłkując się kartką zaczął recytować, choć w zasadzie „recytować” było zbyt wielkim słowem w jego przypadku.

– *Miłość* – jego głos był rozwlekły, wypowiedział to słowo i zamilkł na dłuższą chwilę. Nie wiedziałam, czy taki był jego styl, czy zgubił się w tekście. – *To ona mnie tutaj przywiodła.* – Kolejna długa przerwa. – *Ona mi dała siły*⁴. – Gdy cisza się przedłużała, ziewnęłam rozdzierająco, choć zrobiłam to bardziej na pokaz, bo jeśli mam być szczerą, bawiłam się całkiem nieźle.

– Naprawdę, dlaczego nie mogliśmy wystawiać innej sztuki Szekspira? Choćby takiego *Króla Leara*, cytaty byłyby o wiele ciekawsze – powiedziałam głośno, swoje słowa kierując jednak do profesora. Potem z błyskiem w oku zacytowałam: – *Prawda jest jak pies, musi iść do budy, wygnana batem, podczas gdy kłamliwa Pani Suka może wylegiwać się przy kominku i cuchnąć*⁵.

Wyka spojrzał na mnie zmieszany, wyraźnie nie mając pojęcia, czy rzeczywiście cytowałam Szekspira, czy pozwalałam sobie na przekleństwa w obecności profesora. Niedoszły Romeo patrzył na mnie bez wyrazu, zapewne nie wiedząc, o co mi w ogóle chodziło.

– To mam kontynuować, czy jak?

– Myślę, że usłyszeliśmy już dość – profesor postanowił zabrać głos. – Dziękujemy za zainteresowanie.

Gdy kołyszącym krokiem zszedł ze sceny, wyciągnęłam się na krześle z błogim zadowoleniem.

– Ciężko będzie mi grać Julię bez Romea. – Nawet nie siliłam się na udawanie zmartwienia.

– Nie przejmuj się, dopóki nie znajdziemy odpowiedniego kandydata, ja będę grał Romea.

O mało nie spadłam z krzesła, gdy usłyszałam tę rewelację.

– A co jeśli odpowiedni kandydat się nie znajdzie?

– Wtedy zagram w przedstawieniu – powiedział, jakby to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem.

Miałabym pocałować własnego profesora? Sama myśl wywoływała u mnie odruch wymiotny. Spojrzałam na zegarek, zbliżała się trzecia.

– Z wyborem reszty obsady da pan sobie radę beze mnie – orzekłam i nie czekając na jego odpowiedź, zabrałam się i wyszłam.

To przedstawienie nie mogło dojść do skutku – tyle wiedziałam. Nie musiałam się spieszyć, miałam ponad miesiąc na poprowadzenie szanownego profesora literatury prosto do sromotnej porażki.

Ze znalezieniem pozostałych aktorów Wyka nie miał wielu problemów. W obsadzie brakowało jedynie Romea. Korytarze aż huczały od plotek, gdybym tylko mogła, ryczałabym ze śmiechu, słysząc wszystkie te głupoty, które wymyślali ludzie. Najbardziej rozbawił mnie pomysł, jakoby nad rolą Romea ciążyła klątwa. Gdy usłyszałam o tym po raz pierwszy, parsknęłam śmiechem i poszłam dalej, ale myśl o klątwie uparcie tłukła mi się po głowie, zupełnie jakby podświadomość wysyłała mi sygnały. To mogło być to! Klątwy oczywiście nie było, ale kto powiedział, że nie mogła powstać? Sama nie wymyśliłabym lepszego rozwiązania. Zaraz po zajęciach pognałam do biblioteki, by zaczerpnąć wiedzy u źródła. Książki o klątwach należały oczywiście do tych starannie ukrytych, ale ja wiedziałam, gdzie szukać. Upewniłam się, że nikt mnie nie obserwuje i z dyskretnej skrytki wyjęłam grubą, zakurzoną księgę. Zaszyłam się między regałami w miejscu, gdzie mogła mnie znaleźć jedynie bibliotekarka, a i to dopiero wtedy, gdy minęłyby godziny otwarcia.

Rozłożyłam książkę na kolanach i zaczęłam kartkować. Nie miałam bladego pojęcia o rzucaniu klątw, tego rodzaju wiedzy nie przekazywano nam na zajęciach. Po dłuższej lekturze zdołałam zorientować się, że klątwy działają na podobnej zasadzie co uroki, są jednak jeszcze silniejsze i bardziej nieobliczalne. Raz rzucona klątwa może trwać przez całe pokolenia, dlatego trzeba wyjątkowo uważnie dobierać słowa, by czasem nie zwróciła się przeciwko twórcy (w przypadku klątw szóste prawo magii nie miało zastosowania).

Wyjęłam notatnik i zaczęłam notować najbardziej przydatne rzeczy. Wszystko wskazywało na to, że będę musiała poświęcić swój egzemplarz *Romea i Julii*, ale jeśli to oznaczało, że nie będzie przedstawienia, byłam w stanie rozstać się z nim bez żalu.

W zasadzie nie trzeba mieć wielkich umiejętności, by rzucić kłutwę. Wystarczy zgromadzić kilka niezbędnych przedmiotów do pomocy. Najważniejsze są jednak emocje. Moja niechęć do uczestniczenia w przedstawieniu była tak silna, że bez wątplenia uda mi się wprowadzić w życie swój zamiar.

Zabrałam notatnik, odłożyłam książkę na swoje miejsce i opuściłam bibliotekę. Zgromadzenie kilku drobiazgów, których potrzebowałam, nie było trudne. W koszu ciągle leżał liścik, który dostałam od Wyki, a podwędzenie rekwizytu potrzebnego do przedstawienia zajęło mi dokładnie dwie minuty.

Najważniejsza i tak była sztuka. Późną nocą, gdy odgłosy w internacie powoli zaczynały cichnąć, rozłożyłam wszystko na podłodze i zabrałam się za rzucanie kłutwy. Gdy wypowiedziałam ostatnie słowa, książka stanęła w płomieniach. Teraz mogłam jedynie obserwować, jak cały świat sprzysięgnie się przeciwko profesorowi, by jego przedstawienie nie doszło do skutku.

Na pierwszy ogień poszła sala. Zdyszany profesor dopadł mnie na korytarzu, gdy niespiesznym krokiem zmierzałam na zajęcia.

– Malice, niestety nie będzie dzisiaj próby.

– Dlaczego? – spytałam ze szczerym zainteresowaniem.

– Chwilowo sala teatralna jest poza naszym zasięgiem. Mieliśmy w Akademii jakąś inspekcję. Znaczący od siedmiu boleści orzekli, że istnieje jakieś tam zagrożenie i że nie mogą się w niej odbywać próby. – Ton profesora sugerował, że miał odmienne zdanie na ten temat, a jego zdanie o kompetencjach owych fachowców nie było najlepsze, ale najwyraźniej nic nie mógł zrobić. Pokiwałam głową w sposób, który wyrażał więcej niż tysiąc słów. Wyka nie był jednak biegły w odczytywaniu moich gestów, bo odebrał to jako wyraz rozczarowania.

– Głowa do góry, najpóźniej jutro wznovimy próby. Czasu do premiery jest coraz mniej, a mamy tak wiele do zrobienia. Nie możemy pozwolić sobie na wolne.

– Oczywiście. Będę czekała na informacje, profesorze. – Nawet nie skłamałam. Naprawdę byłam ciekawa, co się stanie.

Więści nadeszły następnego dnia i trochę mnie rozczarowały. Wyka znalazł inną, tymczasową salę, w której mieliśmy ćwiczyć i wzywał wszystkich aktorów na próbę. Chcąc nie chcąc, musiałam iść. Humor szybko mi się poprawił, gdy dotarłam na miejsce. To, co zastałam, było podręcznikowym przykładem totalnego chaosu. Profesor nie potrafił zapanować nad swoimi studentami, którzy przypominali raczej przekupki na targu niż

aktorów.

– Malice, jesteście wreszcie. – Wyraźnie ucieszył się na mój widok. Spodziewał się pewnie, że moje przybycie wpłynie jakoś na rozwydrzony tłum. I rzeczywiście, ludzie umilkli, zaczęli szeptać za moimi plecami. Coś podpowiadało mi, że wcale nie zachwalali mojego wątpliwego talentu aktorskiego.

– Zaczynamy! – krzyknął profesor i na scenę wyszedł chłopak, który dostał rolę narratora. Posiłkując się kartką, mruczał pod nosem swoją kwestię. Docierały do mnie jedynie pojedyncze słowa, zdołałam wyłapać coś o „historii nieszczęśliwych kochanków” i „miłości, której nie pokonała nawet śmierć”. Reszta słów utonęła w zgiełku. Potem na scenę weszli słudzy. Żaden z nich nie znał swojej roli na pamięć, wszyscy co chwila spoglądali na wymięte skrypty. Profesor grający Romea był jedynym, który zdawał się pamiętać tekst. Choć, jak zauważyłam, i on zacinał się, usiłując przypomnieć sobie swoje kwestie.

Nie byłam nigdy na przedstawieniu w wykonaniu dzieci ze szkoły podstawowej, ale musieliśmy prezentować podobny poziom. Najwyraźniej nie tylko ja doszłam do tego wniosku, bo nim zdążyłam wejść na scenę, profesor złapał się za głowę i niemalże zaczął rwać włosy z rozpacz.

– Nie, nie, nie! Jesteście do niczego. Czy naprawdę tak trudno nauczyć się na pamięć kilku kwestii? Jeśli na jutrzejszej próbie nadal będziecie tak beznadziejni, wyrzucę was wszystkich – zagroził.

Pomyślałam, że to byłby niegłupi sposób na zakończenie tej farsy. Bez aktorów nie ma przedstawienia, prawda? Zniechęcony profesor zarządził koniec próby i ogłosił, że jeżeli do jutra nie nauczymy się swoich ról, będziemy mogli pożegnać się z udziałem w przedstawieniu. Wracałam do pokoju w całkiem pogodnym nastroju. Miałam szczerą nadzieję, że ludzie będą mieli tego wieczora lepsze zajęcie niż uczenie się na pamięć roli.

Mijały kolejne dni, a ja musiałam oddać honor profesorowi. Z uporem godnym lepszej sprawy ignorował wszystkie wysyłane mu przez otoczenie sygnały. Przedstawienie nie mogło się odbyć, wiedziałam to doskonale, bo sama rzuciłam na nie klątwę. Tym większy był mój podziw dla Wyki. Stawiał czoła własnemu przeznaczeniu. Czekałam na chwilę, w której owo przeznaczenie da mu po pysku tak mocno, że już się nie podniesie. Czekałam cierpliwie i zostałam wynagrodzona. Znacie to przysłowie, że nieudana próba generalna wróży dobrą premierę? Otóż w naszym przypadku zupełnie się to nie sprawdziło, bo do premiery nawet nie doszło.

Już od jakiegoś czasu robiliśmy próby kostiumowe, które bez wyjątku kończyły się

w ten sam sposób. Wyka z rozpaczyny rwał włosy z głowy, aż zaczęłam się zastanawiać, jak to się dzieje, że nie łysieje. Bywały dni, że całe garście lądowały na podłodze. Wyczuwałam w tym jakiś czar, ale kim byłam, żeby osądzać? Jedni dbali o fryzurę, inni rzucali klątwy...

Tak się złożyło, że sam dyrektor zapragnął zobaczyć próbę generalną. Przyznam szczerze, że nawet mnie to zestresowało. Jeśli ktoś mógł wykryć mój czar, to tylko on. Po raz pierwszy poczułam nieprzyjemne klucie w żołądku, gdy wychodziłam na scenę. Czy to była trema? Jakkolwiek nazywa się to uczucie, znienawidziłam je w tej samej chwili, w której mnie dopadło.

Romeo i Julia to tragedia, toteż cała próba, ba, cała idea wystawienia przedstawienia, zmierzała cały czas do tragicznego finału. Zaczęło się niepozornie. Zapomniane kwestie, słowa wypowiedane nie w tym momencie, co trzeba, komicznie wyglądający taniec.

Niewdzięczna rola Romea przypadła profesorowi. Choć na poprzednich próbach została mi oszczędzona wątpliwa przyjemność pocałunków, na próbie generalnej te sceny nie mogły zostać pominięte. Zgodziłam się na nie, bo wiedziałam, że nie istniała fizyczna możliwość, by koniec końców doszło do czegokolwiek. Profesor ignorował wszystkie przykre sygnały, uparcie prąc do krwawego finału. Wydawał się nie zauważać reflektora, który z hukiem spadł na scenę, odlatujących dekoracji, ani zepsutej maszyny do produkowania mgły, która zamiast tego wyrzucała z siebie sporą ilość śmierdzącego zgniłymi jajami dymu.

Wstrzymałam oddech, gdy wskoczył na balkon i wychylił się, by mnie pocałować. Nasze twarze dzieliły milimetry. Pomyślałam, że zrzucę go, jeśli zaraz coś się nie wydarzy. Na szczęście dla mnie (tym razem!), karma czuwała. Noga mu się omsknęła i z hukiem spadł na ziemię. Wychyliłam się przez barierkę, włosy powiewały mi na sztucznym wietrze, który był zasługą pracującego wentylatora. Musiałam wyglądać w tamtym momencie jak prawdziwa, tragiczna kochanka. Wizerunek psuła moja twarz, na której malowało się... zaciekawienie.

Profesor się nie podnosił. Dyrektor, z twarzą całą czerwoną, nie wiedziałam, czy ze złości, czy po prostu tak bardzo nie podobało mu się nasze przedstawienie, wpadł na scenę. Zaczął krzyczeć gromkim głosem, dopadł profesora i chwycił jego rękę w poszukiwaniu pulsu. Przez krótką chwilę, która wydawała się wiecznością, trzymał jego bezwładną dłoń, potem podniósł głowę i rzucił mi jedno, ale jakże wymowne spojrzenie.

Doszłam już do tego stopnia wtajemniczenia, że czarowałam ostrożnie. Nikt nie mógł mi niczego udowodnić, dyrektor jednak patrzył podejrzliwie. W końcu podniósł się, wypuszczając ciężką rękę profesora, która opadła na podłogę. Wszyscy spoglądali na niego z trwogą, wyczekując jego słów.

– Przedstawienia nie będzie – ogłosił.

Gdyby nie cokolwiek niezręczna sytuacja, odańczyłabym taniec radości. Zamiast tego

zeszłam z balkonu i ruszyłam do garderoby, żeby zrzucić z siebie kostium Julii. Delikatny uśmiech zdobił moją twarz, ale ukrywałam go starannie za kurtyną rozpuszczonych włosów.

Od początku wiedziałam, że wystawianie tragedii Szekspira mogło się dla profesora skończyć tylko w jeden sposób – tragiczny.

Kolejne kilka dni spędziłam na nerwowym oczekiwaniu. Lada chwila spodziewałam się ujrzeć pod drzwiami niepozorną, białą kopertę, która byłaby moim wyrokiem. Dni mijały, listu jednak nie było. Najwyraźniej doszłam już do takiej wprawy, że moje czary były niewykrywalne... a przynajmniej nikt nie mógł mi nic udowodnić.

Minał tydzień, a ja pozwoliłam sobie wreszcie odetchnąć z ulgą. Brak wiadomości był w tym wypadku dobrą wiadomością.

¹ *Romeo i Julia*, akt II, scena II, tłum. Maciej Słomczyński.

² *Romeo i Julia*, akt III, scena III, tłum. Maciej Słomczyński.

³ *Romeo i Julia*, akt V, scena II, tłum. Maciej Słomczyński.

⁴ *Romeo i Julia*, akt II, scena I, tłum. Maciej Słomczyński.

⁵ *Król Lear*, tłum. Maciej Słomczyński.



KONIEC STARYCH CZASÓW

Sesja. Zmora ludzkości. Sesja letnia – czyste zło. Prawdopodobnie gdybym uczyła się choć odrobinę, nie byłabym teraz w tak podłym nastroju. Ale kto potrafiłby się cieszyć, podczas gdy System Eliminacji Studentów Jest Aktywny? Nikt.

Pozostał mi tydzień na nadrobienie zaległości z całego roku. Nie liczyłam na fart, podpadłam zbyt wielu profesorom i byłam boleśnie świadoma tego, że każdy obleje mnie z wielką przyjemnością. Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie machnąć ręką na to wszystko i iść na żywioł. Wywałą mnie tak czy inaczej, po co marnować tydzień życia na naukę? Potem pomyślałam o powrocie do domu, kolejnym rozczarowaniu rodziców. Tym jeszcze nie przejmowałabym się specjalnie, ale myśl, że mieszkałabym z nimi albo musiała rozejrzeć się za własnym mieszkaniem i pracą, nie była zbyt kusząca. Prawdę mówiąc, nie pociągała mnie ani odrobinę. Musiałam dać z siebie wszystko i zaliczyć tę sesję, a to było prawdziwym wyzwaniem. W tym semestrze nawet nie tknęłam podręczników. Leżały zakurzone w kącie pokoju. Nie byłam na większości wykładów, nie miałam notatek, nie miałam niczego. Chociaż to ostatnie nie było do końca prawdą – miałam motywację.

Przejrzałam listę wykładów i tematów zrealizowanych w tym roku. Było ich tak dużo, że pomyślałam, że nawet nie zaczynać, wydawał mi się całkiem rozsądny. Siedziałam niezdecydowana, dzierżąc w ręku długą listę.

W końcu postanowiłam zdać się na ślepy los. Jeśli w ciągu minuty za oknem przeleci jakiś ptak – idę do biblioteki, jeśli nie – idę się opalać.

Zaczęłam liczyć. Gdy doszłam do ostatniej dziesiątki, wypuściłam listę i z uśmiechem odliczałam ostatnie sekundy. Zostało mi pięć, gdy na moim oknie z niemiłym chrupnięciem rozpląszczył się ptak. Dostrzegłam jeszcze jego przerażone spojrzenie, nim zsunął się po szybie.

Uch, to chyba miało znaczyć, że powinnam się pouczyć.

Pokonana, posłusznie udałam się do biblioteki. Ilość książek, których potrzebowałam, była przerażająca. Bibliotekarka, słynąca ze swej nieustępliwości, nie chciała wypożyczyć mi nawet połowy. Musiałam zniżyć się do próśb i błagania.

– Jeśli nie chce mnie tu pani więcej oglądać, to dobra taktyka. Bez tych książek w życiu nie zaliczę sesji. – Do unizonego tonu dodałam jeszcze rozpaczliwe spojrzenie.

Ostre rysy bibliotekarki jakby się wygładziły. Byłam jej najlepszą czytelniczką i doskonale o tym wiedziała.

– No dobrze, niech stracę. Nie muszę ci chyba mówić, że nikt nie może się o tym dowiedzieć?

Spojrzałam na nią rozbawiona.

– Bez obaw, będę milczeć jak grób. Bardzo dziękuję – rzuciłam jeszcze i wyszłam czym prędzej, zanim zdążyła się rozmyślić.

Miałam niemały problem z przetransportowaniem tych książek do pokoju. Było ich zwyczajnie za dużo. Myślałam przez chwilę, po czym ułożyłam je w pięć schludnych stosików i siłą woli uniosłam w powietrze. Dryfowały przede mną, ograniczając mi widoczność. Miałam nadzieję, że żaden idiota nie wejdzie mi w drogę, bo zabiłabym go na miejscu, a potem bibliotekarka zabiłaby mnie. Na szczęście udało mi się dotrzeć do pokoju bez większych kolizji. Tylko kilku nierozgarniętych studentów z pierwszego roku przeżyło bliższe spotkanie z moim łokciem.

Obrzuciłam wzrokiem stertę książek, którą położyłam na podłodze. Oszacowałam, że razem mają jakieś trzy tysiące stron. Czytałam bardzo szybko, potrafiłam rozwinąć prędkość stu stron na godzinę, ale opasłe tomy, które leżały przede mną, były zapewne śmiertelnie nudne, więc nie sądziłam, bym dała radę przeczytać więcej niż sześćdziesiąt stron w godzinę. Nie mówiąc o zapamiętaniu.

Szybko policzyłam, że gdybym chciała przeczytać wszystkie od deski do deski, zajęłoby mi to około trzech tygodni. Gdybym tylko czytała, bez spania, jedzenia i załatwiania potrzeb fizjologicznych. Zdecydowanie niewykonalne.

Słońce za oknem świeciło wysoko, niebo było czyste, nie szpeciła go nawet najmniejsza chmurka. Wyjrzałam na błonia. Pusto. Wszyscy zakuwali.

Obliczyłam, że muszę poradzić sobie z dziesięcioma książkami dziennie. Wtedy zostaną mi jeszcze dwa dni na obmyślenie jakiejś porządnej taktyki ściągania. Profesorzy byli starzy i o wiele bardziej doświadczeni niż studenci, ich zabezpieczenia przeciwko ściąganiu były niemal nie do złamania. Niemal – to słowo klucz. Już nieraz udało mi się ich przechytrzyć. Tym razem potrzebowałam jednak czegoś silniejszego. Ale o tym będę myślała w weekend. Teraz musiałam zmierzyć się z pierwszą dziesiątką. Postanowiłam, że zacznę od magii leczniczej.

Czułam, dosłownie czułam, jak przyzywa mnie słońce za oknem. Miałam słabą wolę.

Zabrałam pięć książek, koc oraz przekąski i wyszłam na zewnątrz. Cały kram rozłożyłam na trawie. Rzuciłam na siebie to samo zaklęcie, które otaczało Akademię. Stałam się niewidoczna dla oczu studentów i profesorów, jednocześnie nikt nie czuł potrzeby, by udać się na miejsce, w którym leżałam. Zdjęłam ubranie i w samym kostiumie położyłam się na kocu. Wzięłam do ręki pierwszą książkę: *Krwotoki. Magiczne sposoby tamowania*. Fuj. Wyjęłam notes i pióro, które zaczarowałam tak, by pisało za mnie. Nadszedł czas na mniej przyjemną część.

Gdy zamknęłam ostatnią książkę słońce już dawno zaszło, a ja byłam spieczona na raka. Pomyślałam, że jutro będę musiała opalać się na leżaku, żeby to wyrównać. Niemniej przebrnęłam przez pięć ksiąg i zrobiłam całe mnóstwo notatek. Teraz czekała mnie długa noc.

Kolejne dni wyglądały podobnie. Wstawałam wcześniej, jadłam porządne śniadanie, leżałam z książkami na słońcu, jadłam obiad, potem siedziałam do trzeciej, albo czwartej nad ranem, brnąc przez kolejne stare, nudne tomy. Byłam niewyspana, przeuczona i miałam tak zły humor, że ktokolwiek zbliżył się do mnie na odległość mniejszą niż metr, był traktowany zaklęciem, po którym uciekał z krzykiem.

Zdecydowanie zbyt duża ilość porażająco nudnych i kompletnie nieprzydatnych informacji źle na mnie wpływała. Z ulgą powitałam piątek. Kiedy o trzeciej w nocy zamknęłam ostatnią książkę, dosłownie padłam na twarz. Podjęłam ostatni wysiłek, wstałam od biurka i walnęłam się do łóżka.

Przespałam dziesięć godzin. Obudziłam się przed drugą, nieco przerażona, bo do godziny zero nie pozostało mi zbyt wiele czasu. Udałam się prosto na stołówkę i po porządnym posiłku, w miarę wyspana, z werwą zabrałam się do robienia ściąg. Przeczytałam wszystkie swoje notatki i wyrzuciłam rzeczy, o których mniej więcej pamiętałam. To co zostało, moje pióro przepisywało w pomniejszeniu na długie paski papieru. Podczas gdy ono skrobało zawzięcie, ja mogłam wreszcie pomyśleć nad przemyceniem swoich ściąg. Wniesienie ich na salę było najtrudniejszą częścią. Potem wystarczyło tylko nie zwracać na siebie uwagi. Miałam opracowany patent, rzucałam na nie zaklęcie, dzięki któremu były widzialne tylko dla mnie, kładłam na ławce i bez żenady spisywałam wszystko. Cały problem tkwił w przemyceniu ich na salę. Przed wejściem profesorzy zawsze rzucali na nas czar, który wykrywał wszystkie pomoce naukowe. Jeżeli student wnosił ze sobą coś, z czego zamierzał korzystać, żeby ściągać, natychmiast zostawało to wykrywane. Sztuka tkwiła w tym, żeby uwierzyć, że przedmiot, który wnosimy ze sobą, wcale nie przyda nam się do ściągnięcia, ba, że wcale nie mamy zamiaru

oszukiwać, że zdamy się wyłącznie na swoją wiedzę. Wielu studentów miało z tym problem. Ja sama nigdy nie praktykowałam tego na tak ogromną skalę, na jaką planowałam zrobić to tym razem. Łatwo wmówić sobie, że kilka niewielkich ściąg do niczego się nie przyda, gorzej jeżeli od nich zależy, czy zdasz. Musiałam przekonać samą siebie. Jeżeli mi się uda, żadna kontrola profesorów nie będzie mi straszna.

Wylecę z Akademii? Wielkie rzeczy. I tak się tu męczę. Zamieszkać z rodzicami? Tym będę się martwiła dopiero, gdy do tego dojdzie. Olać sesję. Sesja jest dla maluczkich, ja jestem ponad nią. Po co uczyłam się przez całe pięć dni? Dobrze pytane. Coś padło mi na mózg. A raczej na okno. Trudno, robiłam głębsze rzeczy. Zdam to zdam, w przeciwnym razie nie będę płakać. Po co myśleć o sesji? Po co się nią przejmować? Jest sobota, na zewnątrz piękna pogoda. Dorobiłam się całkiem niezłej opalenizny; założę jakieś skąpe ciuszki i ruszam zdobywać pobliskie kluby.

Założyłam kusą, białą bluzeczkę z koronki, która świetnie eksponowała moją świeżo nabytą opaleniznę, do tego króciutką spódniczkę i złote sandałki. Włosy wreszcie sięgały mi do pasa, rozpuściłam je i pozwoliłam, by opadły na plecy. Same układały się w fale, poczochrałam je jeszcze, by sprawiały wrażenie artystycznego nieładu. Użyłam ciemnych, błyszczących cieni do powiek i transparentnego błyszczyka. Dodałam kilka złotych, okrągłych bransoletek i oceniłam swoje odbicie w lustrze. Wyglądałam gorąco. Nikt mi się nie oprze.

Zadowolona, z lekką głową udałam się na podbój klubów. Gdy przechodziłam przez błonia, rozległy się gwizdy.

– Ej, mała! Po co się fatygujesz do miasteczka? Zostań z nami, zapewnimy ci zabawę, której nie zapomnisz.

Rzuciłam na nich okiem. Dwaj starsi ode mnie studenci, chyba z przedostatniego roku. Nawet nie wyglądali najgorzej, ale nie miałam ochotę na żadne przygody z innymi magami. Posłałam im spojrzenie mówiące: „Nie dla psa kiełbasa” i nie zaszczycając ich żadną odzywką, poszłam dalej. Krzyczeli coś jeszcze, ale nie zwracałam na nich uwagi.

Tak jak się spodziewałam, kluby padły przede mną na kolana. Wypiłam morze drinków, z czego za większość nawet nie zapłaciłam, przetańczyłam kilka godzin, paru facetów się o mnie pobiło. To było całkiem przyjemne. Doszłam do wniosku, że nie mam ochoty wracać na noc do internatu. Spojrzałam na mężczyznę, z którym aktualnie tańczyłam. Prezentował się nieźle. O wiele wyższy ode mnie, miał uroczą, brązową czuprynę i miłe, orzechowe oczy. Jego delikatna opalenizna była naturalna, nie był tym typem, który chodzi na solarium, czy siłownię. Był dobrze zbudowany, ale nie napakowany.

Zaczęłam poruszać się bardziej prowokująco. Ocierałam się o niego, doprowadzając go na skraj wytrzymałości. Rzucił mi rozpalone spojrzenie.

– Może wyjdziemy?

Skinęłam głową. Okazało się, że mieszka niedaleko. Droga była krótka, ale jej

pokonanie zajęło nam dłuższą chwilę, bo przystawaliśmy przy każdej bramie, by całować się do upadłego. Wyraźnie czułam, że jest zwarty i gotowy, ale nie byłam ekshibicjonistką. Dopiero gdy dostaliśmy do jego mieszkania i padliśmy na łóżko, pozwoliłam, by nasza żądza znalazła ujście.

Bawiliśmy się tak całą noc. Gość był dobry, musiałam to przyznać. Zasnęliśmy dopiero nad ranem, po kilku rundach, zbyt wyczerpani, by sprostać kolejnej.

Obudził mnie zapach naleśników. Miałam lekkiego kaca, ale uśmiechnęłam się na myśl o wczorajszej nocy. Musiałam robić trochę hałasu, bo nagle zjawił się mój zeszlonočný kochanek.

– Widzę, że się obudziłaś. – Pojawił się nagle w drzwiach pokoju jak nieproszony gość. Ale chwila, to ja byłam gościem, on znajdował się we własnym mieszkaniu. – Tak w ogóle, jestem Will – przedstawił się i wyraźnie czekał na rewanż.

– Malice.

Patrzył na mnie, a w jego oczach czaił się śmiech.

– Masz ochotę na naleśniki?

Zwykle nie zostawałam na śniadanie po takich nocach, ale Will wyglądał na miłego, poza tym głośno zaburczało mi w brzuchu.

– Rozumiem, że to odpowiedź twierdząca. – Teraz już bez żenady szczyrzył zęby.

Zaczęłam szukać wzrokiem swoich ubrań. Były porozrzucane po całej sypialni. Cholera. Will ciągle stał i obserwował mnie. A co mi tam – pomyślałam. Naga wyskoczyłam spod kołdry i zaczęłam zbierać ubrania. Nie mogłam znaleźć majtek. Przypomniałam sobie, jak zniecierpliwiony Will porwał mi je zeszłej nocy. Całe szczęście, że nosiłam zapasowe w torebce.

– Gdzie jest łazienka? – spytałam Willa, który gapił się na mnie głodnym wzrokiem.

– A może odłożysz na chwilę łazienkę? – zaproponował ochryplym głosem.

Spojrzałam na niego z rozbawieniem. Łatwo go było podniecić. Ale w sumie, czemu nie? Wzruszyłam ramionami i posłałam mu zawadiacki uśmiech. Najwyraźniej odczytał to jak zgodę, bo natychmiast znalazł się przy mnie i rozpoczęliśmy kolejną rundę.

Naleśniki były pyszne. Leciutkie i chrupiące, z czekoladową polewą. Zawsze byłam fanką dobrego jedzenia, dlatego nie odmówiłam żadnej dokładki. Kuchnia Willa, pomalowana na jasny kolor, sprawiała przytulne wrażenie. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, gdy powiedziałam:

– Muszę już iść.

Will skinął głową.

– Dasz mi swój numer?

Spodziewałam się tego pytania. Nie miałam komórki, na terenie Akademii nie działały żadne urządzenia elektroniczne, ale zapewne by nie uwierzył, gdybym mu tak powiedziała.

Podaliśmy mu więc zmyślony numer, cmoknęłam w policzek na pożegnanie i udałam się z powrotem do Akademii.

Kolejne kilometry pokonywałam lekkim krokiem, nucąc pod nosem. Nim dotarłam do internatu, słońce zaszło zupełnie. Zmyłam z siebie makijaż i szalone doznania z zeszłej nocy. Nastawiłam budzik (to ustrojstwo niestety działało nad wyraz dobrze) i udałam się prosto do łóżka.

Następnego dnia obudziłam się i przypomniałam sobie, że to już dziś. Godzina zero wybiła. Rozpoczęła się sesja. Czy byłam przejęta? Ani trochę.

Wstałam i wykonałam kilka ćwiczeń rozciągających. Ciągle miałam dobry humor w związku z sobotnią nocą i niedzielnym popołudniem. Skoczyłam pod prysznic, potem na śniadanie. Ubrałam się starannie. Brak wiedzy trzeba nadrabiać dobrym wizerunkiem. Ściagi, które przygotowałam, chwyciłam w ostatniej chwili. Na egzamin poszłam pewnym krokiem, rozmyślając o sprawnych ustach Willa. Właśnie takie myśli towarzyszyły mi, gdy przeskanowano mnie czarem zapobiegającym wniesieniu ściąg. Bez problemów weszłam na salę, profesorzy patrzyli tylko na mnie z pewną dozą niedowierzania. Nie widzieli żadnych oznak stresu i pewnie nie wiedzieli, jak to interpretować.

Egzamin poszedł mi dość dobrze. Mniej więcej dwie trzecie tego co było, miałam na ściadze, trochę pamiętałam. Wystarczy żeby zdać.

Byłam pewna, że udało mi się zaliczyć wszystkie egzaminy pisemne. Teraz miały zacząć się schody – egzaminy ustne. Tu nie mogłam już liczyć na żadne pomoce naukowe, pozostawała jedynie moja inteligencja, której w tym momencie nie byłam taka pewna. Wiedziałam, że jestem inteligentniejsza od większości przygłupich studentów, ale zdawałam sobie również sprawę z tego, jak wielu profesorom podpadłam oraz jak złośliwi i upierdliwi potrafili być. Zdążyłam się już o tym przekonać. Niemniej, nadal byłam zdania, że nawet jeśli wylecę, nie będzie żadnej tragedii. Akademia tak czy inaczej nie była miejscem, w którym miałam ochotę spędzić jeszcze najbliższe kilka lat.

Na luzie poszłam więc na resztę egzaminów. Nie popisałam się, fakt, ale nie czułam potrzeby posiadania samych piątek w indeksie. Trójki satysfakcjonowały mnie w zupełności. Oczywiście oprócz praktyki zaklęć, z tego nigdy nie miałam niższej oceny niż pięć.

Historię magii oczywiście oblałam. Nie byłam przygotowana bardziej niż na inne przedmioty, ale profesor od zawsze był na mnie wyjątkowo cięty i wyraźnie odczuwał chorą satysfakcję z tego, że mnie udupił. Trudno, z jedną marną historią magii mogę sobie poradzić. Do sesji poprawkowej dam radę nawet się nauczyć. A z profesorem jeszcze

zdażę się policzyć. W tym roku wymyślę mu coś superwrednego, może wtedy odechce mu się dręczyć mnie głupimi traktatami, rozprawkami i innym nudziarstwem.

Po kilku dniach na tablicy ogłoszeń pojawiły się wyniki z egzaminów pisemnych. Z zadowoleniem odkryłam, że zdałam wszystkie, nawet ten z historii magii, choć miałam najniższy wynik z możliwych. Czułam się jak kot, który najadł się śmietanki. Byłam niesamowicie z siebie zadowolona.

Te trzy tygodnie stresów (no dobra, z tym stresem może trochę przesadziłam) koniecznie należało oblać! I to nie żadnymi drinkami – taka okazja wymagała czystej wódki!

– Hej, mała – znowu zaczepili mnie dwaj studenci, którzy krzyczeli za mną, gdy szłam do miasteczka. – Wpadnij na naszą imprezę, oblewamy zdaną sesję.

Zlustrowałam ich wzrokiem. Ostatnio zachowali się prostacko, ale dziś miałam dobry humor i słabość do gatunku ludzkiego.

– No dobra, wpadnę – zgodziłam się łaskawie. – Gdzie i kiedy?

– Dziś wieczorem. To dość poważna impreza, będziemy się bawić na całym pierwszym piętrze męskiego internatu.

– Przynieść coś?

– Wszelkie alkohole mile widziane. – Wyższy z nich mrugnął do mnie. Obaj wyszczerzyli się i odeszli zadowoleni z siebie.

Miałam pod łóżkiem butelkę 0,7 l – czekała na odpowiednią okazję. Zdanie tej sesji bez wątplenia można było za taką uznać.

Na zabawę z resztą studentów nie zamierzałam się stroić. Zostałam w czarnych, obcisłych spodniach. Zmieniłam tylko koszulkę na białą, luźną bluzkę z rękawami trzy czwarte. Dodałam wisiołek na długim łańcuszku, zrobiłam delikatny makijaż, związałam włosy w koka na czubku głowy i byłam gotowa. Spojrzałam w lustro. Nie było źle, jak na taką okazję nawet za dobrze.

Wydobyłam spod łóżka zakurzoną butelkę, wzniecając przy tym tumany kurzu. Kichnęłam kilka razy. Wypadałoby czasem pod nim zetrzeć, ale jakoś nigdy nie miałam do tego odpowiedniej motywacji.

Przez otwarte okno słyszałam krzyki dochodzące z męskiego internatu. Najwyraźniej impreza się zaczęła. Dzierżąc w dłoni butelkę, udałam się na oblewanie sesji.

Impreza trwała w najlepsze. Wybrałam najmniej zatłoczony pokój, położyłam butelkę na stole i zajęłam miejsce na czyimś łóżku. Dookoła walały się puste puszki po piwie, na

stole było jednak sporo przekąsek, za które ochoczo się zabrałam. Razem z ludźmi, którzy tam siedzieli, wychyliłam kilka kolejek. W głowie zaczynało mi przyjemnie szumieć.

Ktoś dokonał rzeczy niemożliwej – puścił muzykę, pulsujący rytm gangsta rapu wypełniał teraz cały budynek. Moim towarzyszom udało się nawet wciągnąć mnie do rozmowy. Prowadziliśmy ożywioną dyskusję o wyższości Eminema nad Tupac’iem. Naiwniacy sądzili, że Tupac jest lepszy, musiałam wyprowadzić ich z błędu. Zaczynałam przeciągać ich na swoją stronę, gdy do pokoju wpadli owi dwaj studenci, od których dostałam zaproszenie.

– Ben, szukają was wszędzie – rzucił ten niższy do mojego rozmówcy.

Nie wiedziałam, kim byli wszyscy, ale Ben i dwójka jego przyjaciół wstali i chwiejnym krokiem opuścili pokój.

– Tak w ogóle, jestem Adam – przedstawił się wyższy. – A to Steven – powiedział, wskazując na kolegę.

– Cześć.

Czekali chwilę, ale widząc, że nie zamierzam się przedstawiać, zaczęli nawijać dalej.

– Jesteś Malice, prawda?

– Taa.

– A więc, Malice, masz ochotę na drinka? – zaproponował Adam z olśniewającym uśmiechem.

Na drinki miałam ochotę zawsze. Skinęłam głową.

– Steven, przynieś koleżance drinka.

Niższy chłopak posłusznie wyszedł, by spełnić polecenie kolegi.

– Dobrze się bawisz?

Zastanowiłam się chwilę nad odpowiedzią.

– Znośnie.

– Może wypijemy kolejkę zanim wróci Steven?

– Jasne.

Piliśmy z plastikowych kubków. Wódka była rzadka, najwyraźniej wyprodukował ją któryś ze studentów. Ale miała moc, do tego nie można się było przyczepić.

– Uch – sapnął Adam i zaczął rozglądać się za przepoją. – Nie ma nic do popicia?

Spojrzałam na niego złośliwie.

– Nie.

Miał niepokojoną minę, ale nic więcej nie powiedział. Nie chciał wyjść na słabeusza. Za późno. Chwilę później wrócił Steven, niosąc trzy kubki z pomarańczowym napojem w środku.

– Co to? – spytałam.

– Poncz. Zrobiliśmy go sami.

Adam spojrział na niego spode łba.

– Spróbuj i oceń.

Wzruszyłam ramionami i uniosłam plastikowy kubek do ust.

– Ujdzie – orzekłam, po skosztowaniu kilku łyków.

– Nie jest za słaby?

– Nie, wódki nie poskapiliście.

Popijaliśmy w milczeniu. Chłopaki usiłowali wciągnąć mnie w rozmowę, ale średnio im wychodziło. Nie mieli nic ciekawego do powiedzenia. Opróżniłam kubek.

– Masz ochotę na jeszcze? – zapytał niższy.

Aż tak mi nie smakowało.

– Nie, dzięki. Mamy przecież wódkę – powiedziałam, wskazując na stół, gdzie stało kilka butelek.

– O czym dyskutowałaś tak zawzięcie z Benem i resztą? – zapytał Steven, chcąc nawiązać rozmowę.

– O wyższości Eminema nad Tupac’iem – powiedziałam tonem, który nie zdradzał niczego. – Naiwniacy sądzą, że... – urwałam nagle. – A wy co myślicie? Który z nich jest lepszy? – spytałam, czując, że język zaczyna mi się plątać.

Popatrzyli po sobie, wyczuwając, że od odpowiedzi zależy, w jakim świetle będę na nich patrzeć.

– Zasadniczo to nie mam zdania – odezwał się niższy. Chciał być dyplomatyczny, ale brak zdania jest nawet gorszy. Prychnęłam.

– Zła odpowiedź.

– Steven, zamiast mleć niepotrzebnie ozorem, skocz po więcej ponczu.

Kiedy wyszedł, obrzuciłam Adama uważnym spojrzeniem. Przynajmniej starałam się, żeby było uważne, bo wszystko trochę mi się rozmywało.

– A ty? Też nie masz zdania? – spytałam, unosząc w górę jedną brew.

– Oczywiście, że Eminem jest lepszy – oznajmił bez chwili namysłu. Nie wiedziałam, czy strzelał na ślepo, czy naprawdę tak uważał. Niemniej, odpowiedź była prawidłowa.

– Dlaczego tak sądzisz? – nie zamierzałam odpuścić.

Jego argumenty nie były najgorsze, ale podobnie jak on sam – dość prostackie i daleko im było do moich. Tak czy inaczej podążał dobrym tropem, dlatego obdarzyłam go łaskawym uśmiechem.

Wrócił Steven z kolejną porcją ponczu. Tym razem smakował lepiej. Uporałam się z nim w kilka chwil.

Czułam, że odpływam. Szybko mi dało radę, nie ma co. Zazwyczaj miałam mocniejszą

głowę. Spróbowałam wstać, ale zatoczyłam się i z powrotem klapnęłam na kanapę.

– Ja się już będę zbierać – wybełkotałam.

Poczułam na ramieniu rękę Adama.

– W tym stanie? Lepiej zostań z nami.

Siedział zdecydowanie zbyt blisko. Dawno naruszył moją przestrzeń osobistą, a czegoś takiego nie znosiłam nawet po pijaku.

– Odwal się. – Zrzuciłam jego rękę i ponownie spróbowałam wstać. Szarpnął mnie za bluzkę, opadłam prosto na niego.

– Mówiłem, że lepiej żebyś została – powiedział mi prosto do ucha. Jego oddech był gorący i nieprzyjemny.

– Steven, zamknij drzwi – rozkazał koledze. To mnie otrzeźwiło. Walnęłam go łokciem w brzuch i zerwałam się z kanapy. Zataczając się, ruszyłam do drzwi. Steven, choć mniejszy od Adama, nadal stanowił poważną przeszkodę.

– Odsuń się – warknęłam.

Stał niewzruszony, ani myśląc wykonać moje polecenie.

Zamachnęłam się, markując uderzenie w twarz i kopnęłam go w jaja. Osunął się na podłogę, jęcząc z bólu. Chwyciłam za klamkę, ale w tym samym momencie dopadł mnie Adam.

– Nigdzie nie pójdziesz, suko.

Zaciągnął mnie z powrotem na łóżko i przygwoździł własnym, o wiele cięższym od mojego ciałem. Nie mogłam się ruszać. Najwyraźniej w ich ponczu były jakieś narkotyki, bo czułam się otępiała i niezdolna do obrony. Adam zaczął zdejmować moją bluzkę, ale nagle syknął i oderwał gwałtownie rękę.

– Co jest kurwa?

Może i ja nie mogłam się ruszyć, ale moje bariery ciągle działały. Martwiłam się tylko, jak długo wytrzymają. Próbowałam się skupić i wzmocnić je maksymalnie. Steven najwyraźniej otrząsnął się już po kopniaku, bo pojawił się w moim polu widzenia. Złapał mnie za ręce i przytrzymał je, a Adam próbował ściągnąć bluzkę.

Skup się, skup się.

Zawsze miałam mocną głowę, ale nie eksperymentowałam często z narkotykami. Ze skutkami alkoholu uporałam się szybko, blokowało mnie teraz jedynie to, co dodali mi do ponczu. Próbowałam odsunąć to jak najdalej i skupić się na swojej mocy. Trochę pomogło.

Otaczała mnie magia. Wypełniała każdą cząstkę materii, Akademia była nią przesycona. Wezwałam ją na pomoc. Nie wiedziałam, jak zareaguje przez narkotyki, ale nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Wszystko, co udało mi się pochwycić, wysłałam w stronę chroniących mnie barier, a potem straciłam przytomność.

Obudziłam się z przerażającym bólem głowy. Przez chwilę nie wiedziałam, gdzie się znajduję. Potem powróciło do mnie wspomnienie poprzedniego wieczora.

Byłam sama w pokoju. Ubranie miałam na swoim miejscu, ale to o niczym nie świadczyło. Nie wiedziałam, czy tym bydlakom udało się zrealizować swój zamiar. Nie pamiętałam nic od momentu, kiedy usiłowałam wzmocnić swoje tarcze. Podniosłam się i chwiejnie ruszyłam w stronę drzwi. Potrzebowałam znaleźć się w swoim pokoju.

Gdy tam dotarłam, zrzuciłam ubranie i poszłam pod prysznic. Długo stałam pod gorącym strumieniem. Powoli przechodził mi ból głowy i zaczynałam odzyskiwać jasność myśli. Nie wiedziałam, czy mnie wykorzystali, czy nie, ale jednego byłam pewna – zapłacą za to słono. Z tą myślą zakręciłam wodę i wyszłam spod prysznica. Byłam gotowa na dokonanie zemsty stulecia.

Żeby wprowadzić swój zamiar w życie, udałam się oczywiście do biblioteki. Wyciągnęłam z ukrycia najstarsze księgi, o najstraszniejszych tytułach, zaszyłam się w miejscu, gdzie nikt nie powinien mnie odnaleźć i zaczęłam je przeglądać.

Po godzinie poczułam się rozczarowana. Przyznawałam to niechętnie, ale nie miałam ani tyle mocy, ani umiejętności, by rzucić którekolwiek z tych zaklęć. Jeśli nawet dałabym radę, pisali o jakichś straszliwych konsekwencjach, z którymi nie miałam ochoty się mierzyć.

Byłam zdeterminowana, a to dodaje sił. Chciałam zmienić tą dwójkę w przebrzydłe ropuchy, ale to było za trudne, wiązało się ze zbyt wielką zmianą masy ciała. Miałam nadzieję, że dam radę przemienić ich w świnię. Nie byli niczym więcej, a ta przemiana byłaby jedynie uzewnętrznieniem ich prawdziwych charakterów.

Przepisałam zaklęcie. Było skomplikowane i miało wiele obwarowań, ale wierzyłam, że sobie z nim poradzę. W końcu odpowiednie nastawienie to połowa sukcesu. Los mi sprzyjał, nawet księżyc znajdował się we właściwej kwadrze.

Z biblioteki poszłam na stołówkę. Wszyscy mówili o jednym – Adam i Steven znaleźli się w szpitalu. To oznaczało, że moje bariery zgotowały im niezłą niespodziankę, podczas gdy ja leżałam nieprzytomna.

Bynajmniej nie zmieniało to moich planów. Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, gdy udam się do skrzydła szpitalnego nocą. Cała ta sprawa wzbudzała zbyt wielkie zainteresowanie i zapewne w godzinach odwiedzin będą u nich tłumy. Zresztą, nie miałam zamiaru dać się przyłapać.

Wchodzę, robię co mam do zrobienia i wychodzę. Czysta-brudna robota.

Odczekałam, aż zapadł zmrok, potem jeszcze kilka godzin, żeby mieć pewność, że nikt mi nie przeszkodzi. Gdy minęła godzina, od której zaczynała się cisza nocna, wymknęłam

się cicho z pokoju. Rzuciłam na siebie zaklęcie niewidzialności. Tak naprawdę, choć tak się nazywało, nie sprawiało wcale, że człowiek był niewidzialny. Kątem oka nadal można go było zauważyć. Ale jeżeli ktoś patrzył centralnie na ciebie, nie mógł cię dostrzec, a im bardziej skupiał się na rozpoznaniu kształtu, który dostrzegał, tym mniej wyraźnie go widział.

Na nogach miałam trampki, w których stapałam bezszelestnie. W skrzydle szpitalnym przemknęłam niezauważona obok dyżurki pielęgniarek, które rozmawiały o czymś zaaferowane; pewnie udałoby mi się to nawet bez zaklęcia niewidzialności.

Na stołówce słyszałam, że Adam i Steven znajdują się w pokoju nr 128, tam też skierowałam swoje kroki. Wśliznęłam się do środka i odczekałam chwilę, aż moje oczy przywykły do panującego tam półmroku.

Księżyc (na moje szczęście) był dopiero w pierwszej kwadrze, jego słabe światło sączyło się przez okno, pozwalając mi rozróżnić twarze moich stręczycieli. Spali słodko jak dzieci, ich postawy wyrażały niczym nieskażoną niewinność.

Uśmiechnęłam się złośliwie, wyjęłam z kieszeni zmiętą kartkę i zaczęłam czarować. Skupienie przyszło mi naturalnie, determinacja sprawiła, że nie zawahałam się nawet na moment.

W którymś momencie musieli się obudzić. Nie powiem, żeby ucieszyli się na mój widok. Widziałam, że mieli ochotę wrzeszczeć. Zapobiegliwie rzuciłam na nich zaklęcie zamkniętych ust, zanim zaczęłam czarować. Nie wiedziałam, w jakim są stanie, ale dla pewności potraktowałam ich jeszcze zaklęciem, które nie pozwoliło im na opuszczenie łóżek. Wpatrywali się we mnie szeroko otwartymi oczami. Wiedzieli, że rzucam na nich jakiś paskudny urok, ale nie mieli pojęcia, jaki. Mogli tylko czekać na efekt. Na ich obliczach malowało się zwierzęce przerażenie.

Co koledzy, już nie jest tak zabawnie jak wczoraj?

Moja twarz musiała wyrażać złośliwą satysfakcję. Ich strach tylko mnie napędzał. Byłam pewna, że mi się uda. Zrobiłam wszystko, co opisali w księdze i czekałam na efekt.

Nic się nie działo.

Poczułam żądzę mordy.

Jeśli mój czar nie podziałał, może po prostu zrezygnuje z subtelności i rozwalę im głowy? Tak byłoby uczciwie. Już miałam się za to zabrać, gdy ujrzałam, że najpierw Steven, a potem Adam chwytają się za krocze. Zaciekawiona podeszłam bliżej. Odsunęłam kołdrę Adam, potem jednym szarpnięciem ściągnęłam mu spodnie od piżamy wraz z bokserkami. Widok, który ukazał się moim oczom, sprawił, że poczułam się wreszcie ukontentowana. Adam ścisnął w rękę... zakręcony, świński ogonek. Gdy Steven zobaczył to, co ja, z oczu pociekły mu łzy, mimo zaklęcia usilnie starał się coś powiedzieć. Do strachu malującego się na ich twarzach, dołączyło jeszcze jedno uczucie. Rozpacz.

Tak, to mnie satysfakcjonowało.

Usłyszałam hałas na korytarzu. Cholera, pielęgniarki robiły obchód. Nie miałam czasu nacieszyć się swoim triumfem, ich głosy były bardzo blisko.

Nie zdążyłabym się wymknąć. Rzuciłam okiem na okno. Pierwsze piętro. Przeżyję. Jeszcze raz spojrzałam na twarze Adama i Stevena, sycąc się ich łzami, ich przerażeniem. Utrwaliłam ten obraz w myślach, po czym weszłam na parapet i skoczyłam. Spadając, wyobraziłam sobie powietrze pod moimi nogami i sprężyłam je, dzięki czemu wylądowałam miękko i bezboleśnie. Puściłam się biegiem do internatu.

Spocona, ale zadowolona padłam na łóżko. We wszystkich oknach skrzydła szpitalnego paliły się teraz światła. Najwyraźniej mieli tam małą sensację. Ja tymczasem w spokoju ducha położyłam się spać.

Rano pod drzwiami zastałam dokładnie to, czego się spodziewałam. Biała koperta z moim nazwiskiem.

Malice Webber ma się NATYCHMIAST zgłosić do gabinetu dyrektora.

Abraham Hutchinson

Napisał „natychmiast” drukowanymi literami. To oznaczało, że miałam kłopoty większe niż zwykle. Nie mogłam stawić im czoła z pustym żołądkiem, zignorowałam więc wielkie litery i udałam się na śniadanie. Zanim dotarłam do gabinetu dyrektora, minęła dobra godzina.

Na jego dobrotliwie wyglądającej twarzy gościła irytacja i jakieś inne uczucie, którego wolałam nie nazywać. Ściągnął brwi i chmurnie zmarszczył czoło, gdy zobaczył mnie w progu swojego gabinetu. Poczułam, że śniadanie przewraca mi się w żołądku.

– Webber, zamknij drzwi i siadaj – rozkazał suchym tonem. – Długo kazałaś mi na siebie czekać.

Był sens przeproszać? Nie. Posłusznie usiadłam, ale nie odezwałam się nawet słowem, pomijając wymamrotane na wstępie „dzień dobry”.

– Jeszcze zanim cię przyjęliśmy, miałaś bogatą kartotekę. W zwyczajnych, ludzkich szkołach rozrabiałaś równie często. Wiedziałem o tym, ale postanowiłem dać ci szansę, bo do Akademii zapisała cię osobą, którą bardzo ceniłem. Jak się okazuje, to była zła decyzja. Zawiodłaś Webber, zawiodłaś na całej linii. Nie minęło kilka miesięcy, a już widziałem cię w swoim gabinecie. Ładna z ciebie dziewczyna, ale nie aż tak, żebym miał ochotę oglądać cię co chwila. Myślałem, że dość jasno dałem ci to do zrozumienia. Twoje

poprzednie wybryki, choć uciążliwe, były dozniesienia. To, co zrobiłaś tym razem, jest absolutnie niedopuszczalne! Zdajesz sobie sprawę z konsekwencji tego czaru? Masz pojęcie, co on oznacza dla tych młodych mężczyzn? Przez ciebie ich życie już nigdy nie będzie normalne. Pozbawiłaś ich możliwości założenia rodziny, spłodzenia potomstwa, prowadzenia normalnego życia seksualnego.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie udać głupiej i nie zapytać, o co chodzi, ale to pewnie rozsierdziłoby go jeszcze bardziej.

– Nie myśl, że ujdzie ci to na sucho – dyrektor kontynuował, a jego twarz robiła się coraz bardziej czerwona. – Ostrzegałem cię wielokrotnie, Webber. Tym razem przekroczyłaś granicę. Zostaniesz wydalona z Akademii.

Cholera. Po tym jak udało mi się zaliczyć sesję?

– Ale... – zaczęłam.

– Żadnych ale, Webber, milcz, nie udzieliłem ci głosu. Rozczarowałaś mnie. Masz potencjał i dobrze o tym wiesz. Jak go wykorzystywałaś? Przez te kilka lat, co zrobiłaś, oprócz złośliwych kawałów, żeby go doskonalić? Nic. Nie raczyłaś nawet chodzić na wykłady. Twoje podejście jest wręcz godne podziwu. Jestem tu dyrektorem od trzydziestu lat i widziałem różne ciężkie przypadki, ale cięższego od ciebie nigdy. Powinnaś się wstydzić, Webber. Gdybyś przyłożyła się do nauki, mogłabyś być kimś. Kimś ważnym, znasz swoje możliwości. Ale nie, ty wolałaś gwizdać na wszystko, jakbyś rzeczywiście wierzyła, że nic, czego tu nauczamy, nie jest warte twojej uwagi. Teraz masz konsekwencje. Po tym, co zrobiłaś wczoraj, wylatujesz w trybie natychmiastowym i nic nie zmieni mojej decyzji. – Dla podkreślenia swoich słów uderzył pięścią w stół. – Teraz możesz powiedzieć, jaki błahy powód sprowokował cię do rzucenia tego czaru? Nadepnęli ci na nogę? Pociągnęli za włosy?

– Niezupełnie. Zna mnie pan, dyrektorze. Jestem złośliwa, nie przeczę, ale w granicach rozsądku. Cenię sobie święty spokój i jeśli ktoś nie wchodzi mi w drogę, nie rzuca się za bardzo w oczy, nie musi się niczego obawiać z mojej strony. Ci dwaj zrobili coś, za co powinnam przemienić ich w ropuchy, a nie tylko zamienić ich przyrodzenie w świńskie ogonki.

Dyrektor rzucił mi groźne spojrzenie.

– Doprawdy, Malice? Cóż takiego uczynili?

Opowiedziałam mu o ponczu i o tym co usiłowali, a być może nawet mi zrobili. Kiedy skończyłam, dyrektor nie patrzył już na mnie z takim potępieniem, niemniej z jego twarzy ciągle można było wyczytać rozczarowanie.

– To nie zmieni mojej decyzji. Mogłaś komuś powiedzieć. Któremuś z profesorów albo nawet mnie. W żadnym wypadku nie powinnaś brać się za samodzielne wymierzanie sprawiedliwości. Tamci dwaj faktycznie zachowali się jak świnie i również zostaną wydalen z Akademii, ty razem z nimi. Przykro mi, Malice. Nie mogę nic zrobić, sama się

postawiłaś w takiej sytuacji.

– Rozumiem – powiedziałam krótko.

– Daję ci dwa dni. Zrób, co masz do zrobienia, spakuj się, pożegnaj z przyjaciółmi. Nie uśmiechaj się ironicznie. Powinnaś się pożegnać, bo już nigdy tu nie wrócisz. W poniedziałek ma cię tu już nie być.

– Oczywiście.

– Więc skoro wszystko jasne, możesz wyjść. Żegnam, Malice, bo tym razem naprawdę wiedzę cię tu po raz ostatni.

Mimo że mówił surowym głosem, w wyrazie jego twarzy dostrzegłam pewien rodzaj smutku. Chyba jednak lubił na mnie popatrzeć bardziej, niż chciał przyznać. Wymamrotałam pożegnanie, po raz ostatni rzuciłam wzrokiem na jego przytulnie urządzone gabinet i wyszłam.

A więc wreszcie nastąpiła ta chwila. Wiedziałam, że prędzej czy później do tego dojdzie, ale żeby po zdanej sesji? Cholera, to się nazywał pech. Prawie tydzień zmarnowałam na naukę i co mi z tego przyszło? Czułam się oszukana, wykiwana przez ślepy los. Nie do wiary, że jeszcze kilkanaście godzin temu wierzyłam, że mi sprzyja. Ale mogłam się spodziewać takiego zakończenia bratania się z resztą studentów.

Hutchinson dał mi dwa dni. Wystarczająco dużo, żebym zdążyła zostawić po sobie kilka niemiłych niespodzianek. Przemierzałam korytarze Akademii z tysiącem pomysłów w głowie. Upewniając się, że nikt na mnie nie patrzy, wyczarowałam kilka wirusów i umieściłam je w pojemniku z wodą, który znajdował się na korytarzu. Idąc wyjątkowo krętymi i stromymi schodami, wpadłam na genialną myśl. Wyjrzałam za okno. Pogoda była piękna i powinna utrzymać się do mojego wyjazdu. Rzuciłam więc urok na schody – w deszczowe dni miały stawać się wyjątkowo śliskie i zdradliwe. Byłam subtelna, nie chciałam, żeby ktoś wykrył moje czary. Rzuciłam jeszcze kilka podobnych zaklęć nim dotarłam do biblioteki. Dyrektor miał rację – musiałam się pożegnać.

Chodziłam między wysokimi regałami, wodząc palcami po grzbietach opasłych tomów i szepcząc słowa pożegnania. Jedynym niezaprzeczalnym plusem Akademii była biblioteka z imponującym księgozbiorem – za nią będę tęsknić. Zostawiłam jeszcze kilka złośliwych uroków między kartami przypadkowych ksiąg i ruszyłam do wyjścia. Zatrzymałam się przed biurkiem bibliotekarki. Podniosła na mnie wzrok znad gazety.

– Sesja zdana? – spytała szorstkim głosem.

– Zdana.

– To dobrze.

Stałam tak przez chwilę, zastanawiając się, czy powiedzieć jej o mojej małej

przygodzie. W końcu doszłam do wniosku, że jeżeli jakkolwiek osoba w murach Akademii zasługuje, bym osobiście powiadomiła ją o swoim odejściu, to jest nią właśnie owa nieuprzejma i niemiła bibliotekarka, budząca postrach u reszty studentów.

– Wylali mnie – wypaliłam.

Zsunęła z nosa okulary i spojrzała na mnie małymi, bystrymi oczkami.

– Jak to cię wylali? Powiedziałaś, że zaliczyłaś sesję.

– Bo zaliczyłam. Ale miałam pewien incydent, może pani słyszała, głośno o nim było na skrzydle szpitalnym, i zostałam wydalona w trybie natychmiastowym, bez prawa do odwołania – poinformowałam ją, cytując dyrektora.

– Słyszałam o nim. Myślałam, że jesteś mądrzejsza. – Zrobiło mi się głupio, bo ona również wydawała się być rozczarowana.

– Tak, no cóż, jak się okazuje – nie bardzo. Tak czy inaczej, chciałam się tylko pożegnać.

Skinęła mi głową.

– A więc żegnaj, Malice.

Opuściłam bibliotekę w dość ponurym nastroju.

W pokoju od razu wzięłam się za pakowanie. Teoretycznie miałam jeszcze cały jutrzejszy dzień do dyspozycji, ale nie chciałam zostawać tu dłużej, niż było to konieczne. Postanowiłam, że jutro z rana opuszczę mury Akademii. Pod koniec dnia byłam już spakowana, w pokoju nie pozostał żaden ślad mojej obecności.

Doszłam do wniosku, że nie będę informowała rodziców. Zrobię im (nie)miłą niespodziankę. Powrót córki marnotrawnej.

Mimo wszystko zasypiałam z uśmiechem na ustach. Jakby nie patrzeć, już jutro pierwszy dzień najdłuższych wakacji mojego życia.



KOSZMARNY KOT

Zawsze wiedziałam, że samodzielne mieszkanie pochłania ogromną ilość gotówki, nigdy jednak nie sądziłam, że tak wielką. Przez kilka lat pobytu w Akademii, gdzie nie płaciłam niemal za nic, przyzwyczałam się, że nie potrzebuję zbyt wielu pieniędzy, by przeżyć. Powrót do rzeczywistości był jak kubeł zimnej wody na głowę. W moim rodzinnym mieście za darmo można było jedynie dostać w twarz. Domek, w którym zamieszkałam, był niewielki, ale zachowany w całkiem dobrym stanie. Jego poprzedni właściciel desperacko starał się go sprzedać, dlatego udało mi się przehandlować go za dwupokojowe mieszkanie na jednym z największych osiedli. Nie wahałam się długo z podjęciem decyzji. Do centrum miałam jedynie pół godziny drogi, jednocześnie dom znajdował się w miejscu, które stwarzało pozory prywatności. Miał ogromny ogród, dzięki któremu dystans do najbliższego sąsiada zwiększał się znacząco. A biorąc pod uwagę, że tych kilku, którzy usiłowali się ze mną zapoznać, odstraszyłam dość skutecznie, mogłam z powodzeniem wyobrazić sobie, że jestem tu sama.

Problem stanowiły pieniądze. Skąd miałam je wziąć? Nie mogłam pracować ani w społeczności ludzi (bo praca kategorii sprzątaczkki czy kelnerki nie była dla mnie), ani w społeczności czarodziejów. Wykształcenie, które pobierałam przez ostatnie kilka lat, było zbyt niepełne, więc nie mogłam wykonywać pracy magicznej, dla ludzi z kolei zupełnie nie miało znaczenia. Przecież nie mogłam wpisać sobie w rubryczkę „wykształcenie” w CV „Akademia Magii”, w dodatku z dopiskiem, że zostałam z niej wyrzucona. Przez kilka miesięcy korzystałam z pieniędzy, które zostawili mi w spadku John i Maria, niestety i to źródło wyschło szybko. Zaczęłam nawet przeglądać gazety z ogłoszeniami o pracę, ale sprawa była beznadziejna. Tamte pieniądze skończyły mi się

dokładnie tydzień temu i od kilku dni ciągnęłam na resztkach jedzenia.

Sięgnęłam po portfel, w którym znajdowało się zaledwie kilka drobniaków. Przeliczyłam je szybko i doszłam do wniosku, że na drinka mi wystarczy. Jednego, potem być może znajdzie się ktoś, kto postawi mi kolejnego. Z tą myślą przebrałam się w ładniejsze ubrania, założyłam szpilki i zrobiłam makijaż. Przetrzęsnęłam cały salon w poszukiwaniu kluczy i znalazłam je oczywiście w kuchni. Wyszłam z domu, zamykając za sobą drzwi na trzy zamki. Zrezygnowałam z ochrony magicznej, miałam do wyboru – albo magia, albo technika, a że bez mikrofalówki i dobrego sprzętu stereo bym nie wytrzymała, mój dom był chroniony zaklęciami jedynie na wysokości siatki otaczającej ogród. Drzwi musiały chronić się same. Z drugiej strony nie sądziłam, by ktoś miał ochotę włamywać się do mojego domku. Potencjalnego złodzieja spotkałoby wielkie rozczarowanie, bo oprócz dużej ilości książek i wspomnianego sprzętu stereo nie miałam w nim nic wartościowego. Gdyby było inaczej, pewnie poszłabym zastawić coś do lombardu i nie martwiłabym się wtedy o pieniądze.

Przeszłam kilka przecznic i znalazłam się w dość ponurej dzielnicy. W większości domów światła były pogaszone, tylko jeden rozświetlały światła, dochodziły z niego krzyki, śmiechy i głośna muzyka. Impreza.

Z ciekawością zajrzałam przez ogromne okno. Ujrzałam kilku facetów siedzących przy jednym stoliku i dzierżących karty w rękę. Wokół kręciły się panienki w wydekolowanych sukienkach. Ale, co mnie zainteresowało najbardziej – na środku stolika znajdowało się kilkanaście grubych plików banknotów, dostrzegłam też błysk złota. Moje spojrzenie podchwycił jeden z mężczyzn, siedzący twarzą do okna. Uniósł w górę karty, które trzymał w ręce i wskazał na mnie zapraszającym gestem. Czy miałam ochotę zagrać? Oczywiście. Mężczyzna wstał i zniknął na chwilę.

Metalowa furtka otwarła się z cichym pyknięciem. Przekroczyłam ją, a chwilę później stanęły otworem drzwi domu. Na zewnątrz wylała się fala dźwięków. W progu stał ów mężczyzna – wysoki, z potarganą ciemną czupryną, uśmiechał się do mnie. Wyciągnął rękę.

– Jestem Martin.

– Malice.

– Masz ochotę zagrać razem z nami? – spytał z krzywym uśmiechem na twarzy. Spojrzałam na niego bystro.

– Chętnie, ale obawiam się, że nie mam pieniędzy – wyznałam.

– To żaden problem, z przyjemnością pożyczę takiej pięknej dziewczynie.

– Co jeśli je przegram?

– Wtedy znajdziemy jakiś inny sposób na zadośćuczynienie. – Mrugnął do mnie, nie pozostawiając wątpliwości, co do natury tego sposobu. Wzruszyłam ramionami. Dawno nie grałam w karty, ale swego czasu byłam całkiem niezłą. Znałam sporo trików i całkiem nieźle oszukiwałam.

Martin wyciągnął z kieszeni gruby plik nowiutkich banknotów i podał mi go z czarującym uśmiechem.

– A teraz chodź, przedstawię cię naszej kompanii. – Wziął mnie za rękę i poprowadził przez wysoki, wyłożony boazerią korytarz do pokoju, z którego dochodził największy hałas.

– Panowie – powiedział, stając przed stolikiem – mamy nową partnerkę do gry.

Siedzący przy stole faceci obrzucili mnie obojętnym wzrokiem. Znałam ten wzrok. Dla nich liczyła się tylko gra i kasa leżąca na stole. Ale kim byłam, żeby osądzać? Dla mnie liczyło się dokładnie to samo.

– Ma forszę? – rzucił barczysty brunet ze szramą na pociągłej twarzy. Wyciągnęłam przed siebie plik, który przed chwilą dostałam od Martina.

– To siadaj – burknął inny, tym razem niewielki, łysawy facet po lewej. Martin mrugnął do mnie i odsunął mi krzesło.

– Powodzenia.

Obrzuciłam stół uważnym wzrokiem. Jednak co nieco jeszcze pamiętałam; grali w pokera. Poczekałam do kolejnego rozdania i włączyłam się do gry. Na samym początku straciłam połowę pożyczonych pieniędzy, ale w miarę jak graliśmy, odświeżałam sobie pamięć i szło mi coraz lepiej. Zastosowałam kilka trików, moja kupka banknotów powiększała się z każdą godziną. Odzyskałam stracone na początku pieniądze, co rozochociło mnie do tego stopnia, że zaczęłam oszukiwać w każdy możliwy sposób, którego była pewna. Szybko zauważyłam, że robię to nie tylko ja. Oszukiwali wszyscy i najwyraźniej doskonale zdawali sobie z tego sprawę. Sztuka polegała na tym, żeby nie dać się przyłapać. Obrzucaliśmy się kompletnie obojętnymi i pozbawionymi wyrazu spojrzeniami. Pierwszy pękł ten łysawy. Przegrał zbyt wiele.

– Oszuści! – krzyknął, a jego twarz momentalnie przybrała czerwony kolor. – Co z was za przyjaciele? Zawsze musicie mnie tak orznać?

– Bill – rzucił uspakajająco Martin. – Jeśli skończyłeś na dzisiaj, wyjdź i nie rób awantur.

To rozżłościło go bardziej. Jego twarz miała teraz wściekle czerwony kolor.

– Nie wrócę tu więcej! – krzyczał. – Albo wrócę, ale z bronią. Pozabijam was wszystkich!

Obserwowałam go, kiedy pluł i warczał, rozrzucając ze złością swoje karty. Choć znałam go zaledwie od kilku godzin, wiedziałam, że wróci. Był uzależniony, to było silniejsze od niego. Wróci, choćby miał to zrobić z bronią w ręku.

Dziewczyny, które znajdowały się w pokoju, patrzyły na niego z niesmakiem. Nie umknął mi również wzrok, którym na mnie spoglądały. Najwyraźniej ich zdaniem powinnam stać w jednym rzędzie razem z nimi, kręcąc tyłkiem w rytm muzyki wyływającej z głośników. Kilka razy nasze spojrzenia się skrzyżowały, z ich twarzy

mogłam wyczytać nieskrywaną niechęć. Jak zwykle budziłam same pozytywne uczucia.

Bill wreszcie się wyniósł, z niewielką pomocą kilku ubranych na czarno osiłków, którzy pojawili się znikąd. Graliśmy dalej. Szczęście (wspomagane aktywnie przeze mnie) dopisywało mi do tego stopnia, że w ostatnim rozdaniu postanowiłam zaryzykować wszystko, oprócz pieniędzy pożyczonych mi przez Martina. Przesunęłam wysoką kupkę pieniędzy na środek i potoczyłam spojrzeniem po twarzach mężczyzn siedzących dookoła.

Nagle poczułam, że coś nie gra. Spojrzałam na swoje karty i zimny supeł zacisnął mi się w żołądku. Planowali mnie oszukać. Na to nie mogłam pozwolić. Nie zważając na mnóstwo techniki znajdującej się w pobliżu, skupiłam się, wykorzystując magię, która tkwiła *we mnie* i rysunki na kartach, które trzymałam, zmieniły się. Teraz miałam fula, nie mogli mi nic zrobić. Odkryliśmy karty. Wygrałam. Faceci zaczęli kląć i rzucać się ze złością.

Żarówka nad nami pękła, obsypując nas drobnym deszczem gorących odłamków. Jeden z nich wbił mi się w rękę. Zakląłam, ale jeżeli taka była cena za użycie magii i wygranie całej tej kasy, nie zamierzałam narzekać. Osilki w czarnym znowu musiały interweniować. Wyprowadzili wkurzonych facetów na zewnątrz, słyszałam jak z piskiem opon odjeżdżają spod domu swoimi wypasionymi furami. Zostaliśmy tylko ja i Martin.

– A więc to twój dom? – zapytałam.

– Tak jakby – odpowiedział niejasno. – Gratuluję spektakularnej wygranej.

– Jak to mówią, szczęście sprzyja początkującym.

– Nie wyglądałaś na początkującą. – Martin obrzucił mnie kpiącym i nieco podejrzliwym spojrzeniem spod uniesionych brwi.

– Cóż, nie powiem, że nigdy nie trzymałam kart w ręku. Ale to było dobrych parę lat temu, potrzebowałam chwili, żeby sobie to i owo przypomnieć – powiedziałam, wspominając początkową utratę pieniędzy. – A właśnie. – Wyciągnęłam plik, który pożyczył mi na początku. – Dziękuję bardzo.

– Nie ma za co, zawsze służę pomocą pięknym paniom. – Mrugnął do mnie. – Choć szczerze mówiąc, przez chwilę miałem nadzieję, że jednak przegrasz – powiedział, obrzucając mnie przy tym sugestywnym spojrzeniem. – Liczyłem na jakiegoś buziaka.

Ponownie mrugnął. Zaczynałam myśleć, że ma jakiś tik.

Skończyłam liczyć pieniądze. Było tego kilkanaście tysięcy, co wprawiło mnie w taką radość, że wstałam ze swojego krzesła i usiadłam Martinowi na kolanach.

– Buziaka mogę ci dać, nie ma sprawy – powiedziałam, uśmiechając się zalotnie.

– Nie śmiałem liczyć...

Przerwałam mu. Rozpierała mnie radość z wygranej i pocałowałam go z wielkim zapalem.

Kiedy się odsunęłam, oboje z trudem łapaliśmy oddech. Martin patrzył na mnie

rozpalonym wzrokiem, wyraźnie licząc, że będę kontynuowała.

– Jest szansa, żebyś została na noc? – spytał ochryłym głosem.

Wyrzałam przez ogromne okno. Właściwie, zbliżał się poranek. Martin zauważył moje spojrzenie. Wstałam i zebrałam pieniądze, które w schludnych kupkach ułożyłam na stole.

– Może innym razem.

– Tak, innym razem. Koniecznie musisz przyjść za tydzień.

– Na kolejny karciany wieczorek?

– Tak, będziemy w mniej więcej podobnym składzie. Przyjdź jakąś godzinę wcześniej niż dziś, to zagrasz od początku.

– Przyjdę na pewno – obiecałam i ruszyłam do wyjścia.

W drodze powrotnej otoczyłam się kilkoma zakłęciami. Nie chciałam, by któryś z tych facetów dowiedział się, gdzie mieszkam. Nim dotarłam do domu, zaczęło świtać. Postanowiłam, że połowę z tych pieniędzy wpłacę na swoje konto, a drugą połowę zostawię na kolejną taką sobotę. Byłam z siebie bardzo zadowolona. Wszystko wskazywało na to, że wreszcie odkryłam doskonały sposób na zdobywanie pieniędzy.

Tydzień upłynął mi szybko. Miałam wreszcie na tyle gotówki, że mogłam pozwolić sobie na kontynuowanie umeblowania domu. Piękne, drewniane regały na książki nabyłam oczywiście jako pierwsze. Teraz dokupiłam do nich najwygodniejsze fotele, jakie udało mi się znaleźć. W kawowym kolorze, idealnie komponowały się z kupionymi wcześniej regałami. Kupiłam jeszcze niski stolik i miałam wreszcie pokój, w którym mogłam przesiadywać całymi dniami. W rogach ustawiłam wysokie głośniki, z których sączyła się cicho muzyka. Właściwie na tym mogłabym skończyć, ale czekało mnie jeszcze kilka pokoi do umeblowania. Niestety pieniędzy wystarczyło mi już tylko na ogromne łóżko, które wstawiłam do sypialni zamiast mojej starej, poczciwej kanapy.

Zbliżała się zima i z radością odkryłam, że w domu zainstalowane jest centralne ogrzewanie. Gdybym musiała codziennie palić w piecu, chyba bym się załamała. Jedna sprawa to raz na jakiś czas rozpaścić sobie ogień w kominku, ale schodzić codziennie do piwnicy, to już nie było dla mnie. Gdybym obudziła się jakiegoś mroźnego, zimowego poranka, zapewne zostałabym w łóżku przez cały dzień, ukryta pod ciepłą kołdrą. Żadna siła nie wygoniła by mnie do piwnicy, więc kolejny plus.

Zaczęłam myśleć, że ten dom był najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła. Zmarkotniałam, gdy tylko ta myśl przysłała mi do głowy. Wracając z Akademii, okryta

nieślawą, wiedziałam, że po raz kolejny niemile zaskoczę rodziców. Tymczasem to oni zgotowali mi paskudną niespodziankę. List o tym, że zginęli w wypadku, minął się z listem informującym o moim wydaleniu z Akademii. Wróciłam do pustego mieszkania, które jak odkryłam, należało już tylko do mnie.

John i Maria nie byli złymi ludźmi, kochali się bardzo, miłością, która mogłaby posłużyć za materiał na wzruszający romans. Ja zupełnie nie pasowałam do ich wyobrażeń. Chcieli, bym była dzieckiem idealnym, a ja już od małego nie wykazywałam ku temu żadnych chęci. Pamiętam sytuację z dzieciństwa, kiedy Maria ubrała mnie w śliczne, dziecięce ciuszki, dała zabawki, które wzbudzały zazdrość u wszystkich dzieci i wysłała na plac zabaw. Miała nadzieję, że zaraz stanę się królową dziecięcego towarzystwa. Ja tymczasem udałam się prosto do piaskownicy i oddałam mojemu ulubionemu w tym czasie zajęciu. Spokojnie budowałam domki z piasku, gdy zaczęły zaczepiać mnie inne dzieci. Rzuciłam wtedy spojrzenie w stronę okna naszego mieszkania i przez szybę dostrzegłam rozanieloną twarz Marii. Ale ja nie chciałam, by mi przeszkadzano. Chciałam bawić się sama. One były uparte, nie dawały mi spokoju. Wtedy jak myślę, po raz pierwszy dał o sobie znać mój potencjał magiczny. Szybko załatwiłam je tak, że z płaczem pobiegły do swoich rodziców, a ja mogłam spokojnie bawić się dalej. Jeszcze raz spojrzałam w stronę okna, ale nie dojrzałam w nim twarzy Marii. Po tym wydarzeniu inne dzieci nauczyły się omijać mnie szerokim łukiem i nie przeszkadzać mi w zabawach, ale moi rodzice najwyraźniej stracili we mnie wiarę. Próbowali jeszcze wielokrotnie, szczególnie John, ale za którymś razem pogodzili się z porażką.

Miałam wszystko, co małe dziecko mogło sobie wymarzyć, ale oni też wydawali się mnie omijać. Odsuwali się ode mnie coraz bardziej, niezdolni po prostu zaakceptować mnie taką, jaka byłam. Nim skończyłam osiem lat, nie mieliśmy już ze sobą nic wspólnego. O istnieniu córki przypominały im tylko wysyłane z dużą częstotliwością upomnienia dyrektorów coraz to nowszych placówek.

Kiedy wróciłam i zastałam puste mieszkanie, nie bardzo wiedziałam, jak się zachować. Pogrzeb już się odbył, ich adwokat zgłosił się do mnie i wyjaśnił mi wszystko. Potem trafiłam na tę ofertę, zamieniłam mieszkanie Johna i Marii na domek i zajęłam się jego urządzaniem. Nie myślałam wiele o ich śmierci, a na ich grób poszłam tylko raz. Leżeli we wspólnej mogile, razem do samego końca.

Jedyną osobą w rodzinie, która zdawała się rozumieć mnie doskonale, była babcia. Matka Johna budziła postrach u reszty rodziny. Była niewielką, ale niezwykle silną kobietą. Choć nasze spotkania mogłam policzyć na palcach obu rąk, bo mieszkała daleko, a nikt nigdy nie kwapił się, żeby ją odwiedzić, nauczyła mnie więcej, niż moi rodzice przez całe życie i była jedyną osobą, której słowa brałam sobie do serca. To ona jako pierwsza pochwaliła moje bokserskie zapędy, to ona wydawała się w pełni rozumieć moją niechęć do gatunku ludzkiego, to ona nie wykazywała zdziwienia, gdy opowiadałam jej o moich nieprawdopodobnych wyczynach i wreszcie, to ona zapisała mnie do Akademii Magii.

Zrobiła to na długo przed tym, jak w końcu do niej trafiłam, umarła bowiem, gdy miałam zaledwie dwanaście lat. Z perspektywy czasu mogłam stwierdzić, że zapewne wiedziała o magii i czarach, nie zdziwiłabym się, gdyby sama była wyrzuconą z Akademii wiedźmą. Nigdy o tym nie wspominała i nie dała mi najmniejszego powodu, dla którego miałabym ją o to podejrzewać. Jakież więc było moje zdziwienie, gdy ten sam adwokat, który zajmował się sprawami majątkowymi naszej rodziny, po śmierci moich rodziców oznajmił, że ma dla mnie również pewien pakunek, który kazała mi przekazać Alice Webber. Babcia nie zostawiła testamentu, wszystkie jej rzeczy odziedziczył John – jej jedyny syn. Adwokat wydobył z sejfu długą, podłużny pakunek i podał mi go.

– Alice Webber wyraźnie życzyła sobie, bym ci to przekazał, w razie gdybyś została wydalona z... eee, szkoły, do której uczęszczałaś.

– Uczęszczałam do wielu szkół.

– Wiem o tym, pani Webber chodziło jednak o tę jedną konkretną, z której zostałam wyrzucona w zeszłym miesiącu.

Spojrzałam na niego podejrzliwie. Ile wiedział?

Zabrałam pakunek, pożegnałam się i szybko ruszyłam w stronę domu. Mimo wszystko byłam niezwykle ciekawa, co też babcia kazała mi przekazać. Przez chwilę rozważałam, czy nie rozedrzeć papieru natychmiast, ale doszłam do wniosku, że wolę zrobić to na osobności.

Kiedy wreszcie dotarłam na miejsce, zniecierpliwiona zaczęłam rozrywać papier. Gdy w strzępach opadł na podłogę, moim oczom ukazał się miecz. Długi, ostry miecz, z piękną rękojeścią i klingą ozdobioną różnymi, niewątpliwie magicznymi symbolami.

Kim była babcia?

Dostrzegłam jeszcze dwa długie sztylety o niezbyt szerokich ostrzach, eleganckie w swej prostocie. Zupełnie nie wiedziałam, co o tym myśleć. Po co mi miecz? Dla sztyletów mogłam znaleźć zastosowanie choćby w kuchni, ale miecz? I to nie byle jaki. Piękny, ostry i niewątpliwie zabójczy. Dlaczego babcia chciała, żebym go odziedziczyła? I dlaczego akurat po tym, jak wyrzucą mnie z Akademii, do której sama mnie zapisała? Nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi na te pytania.

Schowałam miecz, a sztylety położyłam na stole w kuchni i przyglądałam im się przez dłuższy czas. Mój wzrok przyciągnął wielki pajak chodzący po ścianie. Niewiele myśląc, chwyciłam jeden ze sztyletów. Idealnie pasował do mojej dłoni. Rzuciłam. Wbił się w ścianę, nie trafiając pajaka. Następnego dnia kupiłam przez Internet dziesięć podobnych, czym poważnie nadwyrężyłam swoje fundusze i zaczęłam ćwiczyć rzucanie do celu. Szło mi raczej topornie, ale nie poddawałam się. Miecz ciągle leżał tam, gdzie go zostawiłam. Wolałam go nie dotykać, za bardzo potrzebowałam wszystkich dziesięciu palców.

Oderwałam się od ponurych rozmyślań. Słońce za oknem już dawno zaszło, musiałam się zbierać, w końcu w złym tonie byłoby się spóźnić. Szłam różnymi okrężnymi drogami,

upewniając się, że nikt nie idzie za mną.

Pod dom Martina podjeżdżały drogie, często stuningowane samochody, czułam się trochę głupio, jako jedyna przyszłam na piechotę. Niestety nie było mnie stać na najgorszego rżęcha, a nawet jeśli, nie posiadałam prawa jazdy, a nie miałam ochoty zawracać sobie głowy wyrabianiem. Postanowiłam wspierać komunikację miejską. Choć może raczej okradać, bo notorycznie jeździłam bez biletu. Poznać kanara nie było trudno, wszyscy mieli charakterystyczne fizjonomie. O ile ja mogłam uchodzić za złośliwą, oni byli zwyczajnie wredni.

Do środka wpuścił mnie sam gospodarz, przy okazji całując mnie siarczyście w policzki. Wieczór dopiero się zaczynał, przy stoliku było jeszcze kilka pustych miejsc. Nie widziałam Billa, który uniósł się tydzień temu, najwyraźniej jeszcze nie dojrzał do decyzji, by tu wrócić – z bronią czy bez. Poznałam bruneta z charakterystyczną blizną na twarzy, zaaferowany szeptał coś do swojego sąsiada. Naprzeciwko mnie siedział natomiast mężczyzna, którego nie rozpoznawałam. Na pewno nie było go tu tydzień temu. Miał półdługie, jasne włosy, był jeszcze bardziej postawny niż brunet ze szramą na twarzy i mimo że zbliżała się zima, miał idealną opaleniznę, co sprawiło, że natychmiast go zniechęciłam. Zauważył moje uważne spojrzenie i błysnął białymi zębami w uśmiechu. Nie odwzajemniłam go, odwróciłam głowę i skierowałam swój wzrok na Martina, który podszedł do stolika.

– Niektórzy się już znają, niektórzy jeszcze nie. – W tym momencie skinął lekko głową w moją stronę. – Poznaj mojego kolegę Toma. Tom, to nasz najnowszy nabytek – Malice – powiedział, wskazując na mnie.

Nie miałam większego wyboru, uniosłam wzrok na opalonego blondyna.

– Cześć – powiedziałam niechętnie.

Na moje niemiłe powitanie odpowiedział szerokim uśmiechem.

– Witaj, Malice.

– A teraz panowie – Martin spojrzał na mnie – i panie, skoro formalności stało się zadość, możemy zaczynać. Chyba, że panowie zamierzają przeplotkować cały wieczór – powiedział do dwóch gości, którzy od początku dyskutowali o czymś zawzięcie.

– Wybacz, Martin – powiedział ten ze szramą. – Ale alp znowu się pojawił.

– Doprawdy, Bruce, ty też wierzysz w te brednie?

Na twarzy Martina malowała się dezaprobata.

– Nie wierzyłem, dopóki nie zobaczyłem tego przeklętego demona na piersi swojej żony – odburknął.

Na słowo „demon” uniosłam głowę i przyjrzałam się Bruce’owi z zainteresowaniem.

– Jakiego demona? Kim jest alp? – Coś świtało mi w głowie, wspominali o tym w Akademii, ale ja oczywiście nie słuchałam.

– Ano demona. Alp to krwiożercza bestia, która powoduje przerażające koszmary. Wyobraźcie sobie, dwa dni temu wróciłem do domu nieco zawiany, moja żona już spała. Udałem się do sypialni, nie zapalałem światła, żeby jej nie obudzić. Zobaczyłem tylko jego jarzące się, żółte oczy. Wyglądem przypominał jakiegoś demonicznego kota. Cały czarny, jedynie białe, ostre kły odcinały się na tle pyska. Niewiele myśląc, zamachnąłem się na niego butem. Uciekł skurczybyk, a moja żona w tym samym momencie zaczęła krzyczeć. Powiedziała, że nie spała, obudziła się, a on siedział jej na piersi, sprawiając, że nie mogła oddychać. Wcześniej miała jakiś straszny sen. Była przerażona, pół nocy straciłem, żeby ją uspokoić. – Bruce zakończył swoją opowieść i wpatrywał się w nas, czekając, że ktoś powie „niemożliwe”, ale nikt się nie odezwał. W końcu głos zabrał przystojny, niebieskooki mężczyzna, z którym rozmawiał Bruce.

– To prawda, moją żonę spotkała identyczna sytuacja. Z tym że ja zdążyłem zauważyć, w którą stronę ucieka ta poczwara. Kojarzycie ten stary rozwalający się dom na końcu mojej ulicy? – Wszyscy oprócz mnie skinęli głowami. – Wydawało mi się, że zniknął w środku. I to dosłownie. W jednym momencie jeszcze tam był, a w następnym już go nie widziałem.

– To zwykły kot – głos zabrał Martin. – Panowie, rozumiem, że wasze kobiety mogą mieć skłonności do hysterii, ale was o to nie podejrzewałem. No dajcie spokój. Alp – krwiożercza bestia, która robi właściwie co?

– Ugryzł moją żonę! – Twarz Bruce’a była blada. – Zostawił znak na jej szyi i to przekonało mnie ostatecznie. To nie wymysł chorej fantazji, to nie kobieca histeria. Ten potwór istnieje naprawdę.

Myślałam przez chwilę, usiłując wygrzebać z pamięci jakieś przydatne informacje.

– Może to rodzaj inkuba? – rzuciłam. Wszyscy prócz Toma spojrzeli na mnie z niezrozumieniem.

– No wiecie – inkub, istota, która żywi się ludzkimi snami, krwią również nie pogardzi.

– No dobra, Bruce, Alan, dość tego. I ty Malice. Przestańcie. Przyszliśmy tu grać w karty, a nie straszyć się jakimiś niestworzonymi historiami – zgromił nas Martin. – Jeśli macie ochotę kontynuować te pogaduszki, możecie robić to na zewnątrz.

Zamilkliśmy. Nie wiem jak oni, ale ja przyszedłam tu grać i wygrywać. Potrzebowałam pieniędzy. W milczeniu rozpoczęliśmy grę. Szybko popadłam w swoistą rutynę. Jeden trik, drugi trik. Kilka razy dyskretnie podmieniłam karty, co było nie lada wyzwaniem, bo Tom przez cały czas obserwował mnie uważnie. Zaczynało mnie to irytować, ale ani na moment nie zmieniałam kamiennego wyrazu twarzy.

Wkurzały mnie panienki, które znowu obrzucały mnie nieprzyjawnymi spojrzeniami, konsekwentnie kręcąc przy tym tyłkami. Zdecydowałam się zrobić im niewielkiego psikusa. Skupiłam się na jednej, która chwiała się na niebotycznych obcasach. To

właściwie nie wymagało magii, wystarczyła odrobina perswazji. Straciła równowagę i runęła jak długa, pociągając za sobą trzy kręcące się obok dziewczyny. Rozległ się huk, pisk i wrzask głośniejszy od muzyki, która dudniła w głośnikach. Spojrzenia wszystkich mężczyzn siedzących przy stole powędrowały w ich stronę. Na ich twarzach pojawiły się kpiące uśmiešky.

– Wybaczcie – powiedział Martin, podnosząc się. – Ktoś musi pospieszyć tym paniom na ratunek. – W jego głosie usłyszałam nutkę zniecierpliwienia. – Na razie zrobmy sobie krótką przerwę.

Odłożyliśmy karty i sięgnęliśmy po drinki. Wybrałam zwykłą margaritę i popijając, obliczałam w myślach, ile wygrałam do tej pory. Gdybym skończyła w tej chwili, wystarczyłoby mi na resztę wyposażenia i mebli do sypialni, ale nie chciałam przerywać gry.

Bruce i Alan podjęli przerwany temat. Przysłuchiwałam im się przez dłuższą chwilę i zauważyłam, że Tom również to robi. Ich opowieści stawały się coraz bardziej niewiarygodne, aż byłam skłonna przychylić się do stwierdzenia Martina, że nie istniał żaden alp. Istota, o której mówili, była po prostu kotem, choć nie do końca zwykłym. Zaintrygowali mnie jednak. Od kilku miesięcy nie miałam styczności z żadną magią oprócz tej, której sama używałam, a nie czyniałam tego zbyt często.

– Właściwie gdzie jest ten dom, o którym mówiłeś? – spytałam Alana. Wy tłumaczył mi dość dokładnie, jak do niego dotrzeć.

– Ale nie idź tam, jestem pewien, że to niebezpieczne – dodał na koniec.

– W świetle dnia żaden demon nie jest tak straszny, na jakiego usiłuje się go kreować – odpowiedziałam pewnie. Oczy Alana zrobiły się wielkie jak spodki.

– Ty naprawdę masz zamiar tam iść? Dziewczyno, dobrze ci radzę, siedź w domu, nie wychylaj się, kto wie, co ten potwór może ci zrobić.

– Pójdę z tobą – zaproponował nagle Tom. Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

– Po pierwsze, wcale nie powiedziałam, że tam pójdę, po drugie, nawet jeśli to zrobię, nie potrzebuję twojej pomocy – odpowiedziałam spokojnie.

Tom wzruszył potężnymi ramionami.

– Nadal sądzę, że jeżeli chcesz tam iść, nie powinnaś robić tego sama. – Wcisnął mi do ręki kawałek papieru. – Jeśli zdecydujesz się iść, zadzwoń.

– Dajcie spokój – powiedział Bruce z przestraczem, który zupełnie nie pasował do jego potężnej sylwetki. – Jeśli nie macie żadnej broni, na waszym miejscu nigdzie bym nie szedł.

Pomyślałam o mieczu i sztyletach, które czekały na mnie w domu. Miałam broń i mogłam ją wykorzystać.

Wrócił Martin.

– Teraz planujecie polowanie na demonicznego kota? Zostawić was na pięć minut...
Wracamy do gry, dajcie spokój tym głupotom.

Posłusznie spełniłam jego polecenie. Moja wygrana dzisiejszej nocy była odrobinę mniejsza od tej z zeszłego tygodnia, co przypisywałam przeszywającemu spojrzeniu Toma. Czułam, że doskonale widział, jak oszukuję i irytowało mnie to.

– Malice, odprowadzić cię? – zaproponował Tom, kiedy ludzie zaczęli się rozchodzić.

– Dam sobie radę – odparłam opryskliwym tonem i ulotniłam się czym prędzej.

Ponownie upewniłam się, czy nikt mnie nie śledzi i udałam się do domu, klucząc po drodze. Sprawa demona, o którym Bruce i Alan rozmawiali tego wieczora, nie chciała dać mi spokoju. Intrygowało mnie to, bo miało znamiona magii, za którą jednak tęskniłam. Postanowiłam, że mimo wszystko odwiedzę ten nawiedzony dom. Nie sądziłam, że zastanę tam cokolwiek, ale nie miałam nic lepszego do roboty. Jutro była niedziela, sklepy z meblami nieczynne, mogłam więc spokojnie wyruszyć na tę małą przygodę.

Następnego dnia wstałam wcześnie. Nie miałam ochoty mierzyć się w nocy z koszmarnym stworzeniem, a zmierzch zapadał już prędko. Ubrałam się ciepło. Założyłam wysokie kozaki i przez chwilę rozważałam, które sztylety do nich włożyć. Ostatecznie doszłam do wniosku, że nie wybaczyłabym sobie, gdybym zgubiła któryś z podarowanych przez babcię i zabrałam te, które niedawno kupiłam. Założyłam bluzę i kurtkę z kapturem. Miecz zostawiłam tam, gdzie leżał, czyli pod łóżkiem.

Podążając za wskazówkami, których poprzedniego dnia udzielił mi Alan, szybko dotarłam pod wskazany adres. Mimo że było południe, poczułam dreszcz przebiegający mi po plecach. Dom wyglądał ponuro, jak każdy budynek, który przez wiele lat stał pusty. Oprócz dachu cały zbudowany był z drewna i przechylał się lekko w jedną stronę. Zabite deskami okna sprawiały nieprzyjemne wrażenie, które potęgował zapuszczony ogród. Moja wyobraźnia pracowała; podejrzewałam, że jego pierwsi właściciele byli zarazem ostatnimi, a fakt, że już nikt w nim nie zamieszkał, nie był przypadkowy.

Przekroczyłam furtkę i skierowałam się do drewnianej werandy, bardzo podobnej do tej, która znajdowała się przed moim domem. Uważnie zlustrowałam schody, stopnie miały mnóstwo dziur. To by wyjaśniało tajemnicze zniknięcie, o którym mówił Alan. Chwyciłam za klamkę i pociągnęłam. Spodziewałam się, że drzwi nie puszczą, ale o dziwo były otwarte. Uchyliłam je ostrożnie i przekroczyłam próg.

W środku panował nieprzyjemny półmrok, jedynie przez wąskie szpary w deskach

wpadało światło, które podświetlało tumany kurzu wirujące w powietrzu. Próbowałam stąpać cicho, ale drewniana podłoga skrzypiała zdradziecko przy każdym moim kroku. Ścisnęłam mocniej sztylet, który trzymałam w rękę. Dotarłam do schodów i zatrzymałam się przed nimi niezdecydowana. Gdybym była demonicznym kotem, zatrzymałabym się na strychu czy w piwnicy?

Silna ręka, która opadła na moje ramię, sprawiła, że podskoczyłam ze strachu. Zamachnęłam się sztyletem, ale mój napastnik zrobił zgrabny unik. Wtedy zorientowałam się, że to Tom.

– Do cholery! Co ty tu robisz? – wyszczałam, czując, że serce bije mi w szalonym tempie.

– Czy to nie oczywiste?

Wpatrywał się we mnie bezczelnie, ubawiony moją reakcją.

Poczułam się zirytowana. Nie dzwoniłam do niego, ale jakimś sposobem zjawił się tu jeszcze przede mną. Czy byłam aż tak przewidywalna? Niezadowolenie wprost ode mnie biło.

– Byłam już w piwnicy. Ani śladu demonicznego kota.

– A więc strych?

– Na to wychodzi. Panie przodem – powiedział, wskazując ręką pograżone w mroku schody. Zbytek łaski – pomyślałam, ale nic nie powiedziałam, bo nie chciałam dawać mu satysfakcji. Ruszyłam wolno przed siebie, macając stopą każdy kolejny stopień. Czułam oddech Toma na karku i nie podobało mi się to.

Weszliśmy na strych, gdzie znajdowało się jedynie małe okienko, na szczęście niezabite deskami. Niewielka ilość promieni słonecznych, które wpadały do środka, oświetlała zaskakująco dużą ilość najróżniejszych sprzętów. Aż dziw, że do tej pory nie zostały rozkradzione. Zdecydowanie coś z tym domem musiało być nie tak. Niektóre z nich przykryte były białymi materacami. Mogłam się jedynie domyślać, co się pod nimi kryło.

Zatrzymałam się gwałtownie, a Tom, który szedł tuż za mną, wpadł na mnie i o mało nie straciliśmy równowagi.

– Ciiii – syknęłam. – Słyszysz?

– Co? – spytał szeptem.

– Posłuchaj.

Staliśmy dłuższą chwilę w milczeniu. Wydawało mi się, że słyszę... mruczenie. Popatrzyliśmy po sobie i ruszyliśmy w stronę, z której dochodziło. Mocniej chwyciłam swój sztylet. Stąpaliśmy niemal bezszelestnie i w ciszy, która nas otaczała, słyszałam jedynie nasze oddechy oraz to tajemnicze mruczenie.

Za wielkim kształtem, przykrytym białą płachtą, ujrzeliśmy kota. Nie wiedziałam, jak duży jest, bo jego smolista, czarna sierść w półmroku zlewała się z otoczeniem. Na nasz

widok kot zerwał się na równe nogi, zaczął syczeć i parskać, ukazując wspomniane przez Bruce'a ostre, białe zęby. W ciemności jarzyły się wściekle jego oczy. Nie skoczył jednak na nas.

– Tom, to jest kocica – powiedziałam.

– Skąd wiesz?

– Broni małych.

I rzeczywiście, można było dostrzec za nią dwa puszyste kłębuszki, zwinięte i drżące, wyraźnie zaniepokojone zachowaniem mamy.

– Tom, ona jest głodna.

– Tak myślisz?

– Owszem. Odwrót – zakomenderowałam i powoli zaczęliśmy się wycofywać. Wyszliśmy przed dom, nasze oczy poraziło jasne światło.

– Tom, skoro już się tu napatoczyłeś, przydad się na coś i skocz do spożywczego po mleko i jakąś miskę. Ja przypilnuję, żeby nigdzie nie przeniosła małych.

– Jesteś pewna? W tym kocie rzeczywiście może drzemać jakiś demon – nie był przekonany.

– Żartujesz? – parsknęłam. – To zwykła kocica. Może trochę dzika, ale jest głodna i musi bronić swoich małych, nic dziwnego, że się tak zachowuje. A teraz przestań zadawać głupie pytania i biegnij do sklepu – rozkazałam.

Tom zasalutował i oddalił się posłusznie. Ja tymczasem wróciłam na górę. Nie chciałam, by czarna kotka zdążyła przenieść swoje małe, wtedy pewnie już byśmy ich nie znaleźli. Na mój widok znowu zaczęła syczeć, ale uspokoiła się wkrótce, widząc, że nie wykonuję żadnych gwałtownych ruchów. Zajęła się toaletą swoich maluchów. Wyglądała naprawdę słodko, kiedy różowym językiem czyściła futerko małych kotków. Przyglądałam się jej z uśmiechem na twarzy.

Po jakimś czasie wrócił Tom, niosąc dwa kartony mleka i plastikową miseczkę. Wzięłam je od niego i rozkazałam mu odejść na bok.

– Denerwuje ją twój widok. Do mnie zdążyła się trochę przyzwyczaić.

Wolno zbliżyłam się do kotki na odległość kroku. Wbijała we mnie spojrzenie swych żółtych, fosforyzujących oczu, ale nie próbowała syczeć ani parskać. Położyłam miseczkę na podłodze i uklękłam obok. Rozpakowałam pierwszy karton i napełniłam ją po brzegi, a potem odsunęłam się o kilka kroków, żeby jej nie peszyć. Powoli, nieufnie, podniosła się i ruszyła w stronę miski, zostawiając za sobą dwa małe kotki, które pozbawione ciepła mamy przebudziły się i zaczęły marudzić. Ona była jednak zbyt zajęta pochłanianiem mleka, by zwrócić na to uwagę. Kotki wstały i chwiejnie zbliżyły się do mamy. Próbowaly wsadzić mordki do miski, ale były zbyt małe na samodzielne picie mleka. Czarna kotka szybko doprowadziła ich do porządku pacnięciem w głowę. Zgromione, nie próbowały dalej przeszkadzać. Jeden z nich – czarny z białymi skarpetkami i białą końcówką ogonka

wrócił do legowiska, ale drugi – kompletnie czarny po mamusi, najwyraźniej miał duszę odkrywcy, bo zaczął iść w moją stronę. Sposób, w jaki się poruszał, jego chwiejny krok i czarne futerko przypominały mi pewnego małego jaguara. Wiedziałam już, że ten kot będzie mój. Spojrzał na mnie mętными, niebieskimi ślepiami i wdrapał mi się na kolana. Podrapałam go za maleńkimi uszkami, a on zaczął rozkosznie mruzczeć. Zdobył moje serce w kilka chwil.

Tymczasem mama skończyła się pożywiać, podeszła i zaczęła wpatrywać się we mnie żółtymi oczami. Nie chcąc jej denerwować, posłusznie oddałam kociaka. Wiedziałam, że wrócę tu następnego dnia, i następnego, i będę wracała, dopóki ten mały czarny kłębuszek nie urośnie na tyle, że będę mogła zabrać go ze sobą. Skinęłam na Toma i opuściliśmy strych.

– Niezła z ciebie kocia mama – powiedział, szczerząc głupio białe zęby. Obrzuciłam go nieprzyjaznym spojrzeniem. – Ale przynajmniej mamy rozwiązany problem krwiożerczego alpa – dodał.

– Dziwne rozrywki znajduje sobie ta kotka, niemniej nie ma w niej nic demonicznego.

– Jesteś całkowicie pewna?

– Całkowicie.

Wyszliśmy na zewnątrz. Tom usiadł na jedynym całym schodku i poklepał miejsce obok. Spojrzałam na niego zdziwiona, ale posłusznie usiadłam.

– Malice, chciałem złożyć ci propozycję.

Uniosłam brwi.

– Nie taką propozycję. Właściwie to ofertę.

Patrzyłam na niego wyczekująco.

– Ofertę pracy – powiedział po krótkiej przerwie.

Uniosłam brwi jeszcze wyżej.

– Nie potrzebuję pracy.

– Jeśli myślisz, że całe życie będziesz oszukiwała w karty, to się mylisz. Ani Martin, ani żaden z tych facetów nie jest głupi. Kiedyś wkurzysz ich do tego stopnia, że nie wrócisz do swojego przytulnego domku.

– Zaraz, a ty niby skąd wiesz, gdzie mieszkam? – spytałam ostro.

– Czy to ważne? Ważne jest to, że po kilku takich wieczorach możesz skończyć na dnie jeziora w betonowych butach.

– Umiem o sobie zadbać.

Tym razem to on spojrzał na mnie spod uniesionych brwi.

– A jednak zdołałem odkryć, gdzie mieszkasz.

– Świetnie! – krzyknęłam, bo zdążył wyprowadzić mnie z równowagi. – Co to za oferta?

Tom nie spieszył się z wyjaśnieniem. Milczał przez dłuższą chwilę.

– Wiem, do jakiej szkoły chodziłaś – powiedział wreszcie.

– Chodziłam do wielu szkół. – Zaniepokoiło mnie, że powtarzam to zdanie po raz drugi w niewielkim odstępie czasu. Czyżby Tom miał jakieś kontakty z adwokatem mojej rodziny?

– Daj spokój, wiesz, że chodzi mi o Akademię Magii.

Zachowałam kamienny wyraz twarzy, pozwoliłam sobie jedynie na nieco ironiczny uśmiech.

– Nie musisz udawać. Wiem o Akademii, wiem też o tym, że cię z niej wyrzucono.

Jego impertynencja zaczynała mnie wkurzać. Zjawił się znikąd, wiedział o mnie zbyt wiele, podczas gdy ja znałam jedynie jego imię. Na dodatek traktował mnie protekcyjnie. Zaczęłam się podnosić.

– Zaczekaj. – Zatrzymał mnie, kładąc mi ciężką dłoń na ramieniu. Strzepnęłam ją, ale usiadłam ponownie.

– Mów – rozkazałam. Nie odpowiedział od razu, najwyraźniej zastanawiał się nad najlepszym doбором słów.

– Widzisz, szczęście w kartach nie trwa wiecznie, nawet gdy oszukujesz. Musisz znaleźć sobie jakąś pracę, która zapewni ci w miarę stały dopływ gotówki. – Kiwnęłam głową na znak, że się zgadzam. To wiedziałam nawet bez niego. – Nie ukończyłaś studiów, nie możesz więc podjąć żadnej magicznej pracy. Nie masz też odpowiedniego wykształcenia, by pracować na jakimś godnym stanowisku w ludzkiej społeczności. I tu pojawia się ja. Jesteś potrzebna do spraw takich jak ta. Gdziekolwiek pojawiają się paranormalne zjawiska, wkraczają moi pracownicy.

– Więc jesteś jakimś szefem w firmie zajmującej się likwidowaniem magicznych stworzeń zagrażających ludzkości? – zapytałam.

– Niezupełnie szefem, ale istotę mojej firmy oddałaś całkiem dobrze. Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy z istnienia magii i dobrze im się z tym żyje. Chcemy, by tak zostało. A do czegoś takiego potrzebujemy ludzi takich jak ty – mających pojęcie o magii i potrafiących to wykorzystać. – Obrzucił wzrokiem rękojeść sztyletu wystającego z mojego buta. – Oczywiście takie zgłoszenia często bywają przesadzone, jak choćby to, z którymi mieliśmy do czynienia dziś. Dlatego musisz też umieć posługiwać się sprawnie bronią.

– Rozumiem. Co z wynagrodzeniem? – zadałam najważniejsze pytanie. Tom uśmiechnął się rozbawiony.

– To cię najbardziej interesuje, prawda?

Spojrzałam na niego spode łba.

– Cóż, to jak praca na zlecenie – pospieszył z wyjaśnieniem, widząc moją chmurną

minę. – Umowa zlecenie. Wykonasz to, co ci polecę, dostaniesz pieniądze. Nie wywiążesz się z powierzonego ci zadania – nie dostaniesz nic.

Wpatrywałam się w niego w milczeniu. Koleś się ze mną drażnił.

– Ile? To zależy od zlecenia. Za coś takiego dostałabyś najwyżej kilka stów, w miarę jak rośnie waga zlecenia, rośnie również stawka. Za pracę w warunkach zagrażających życiu będziesz dostawała ekstra pieniądze.

– Będiesz dawał mi zlecenia zagrażające życiu?

Wzruszył ramionami.

– Na początku nie. Jeżeli będziesz sobie kiepsko radzić, zrezygnujemy ze współpracy, jeżeli będzie ci dobrze szło, wtedy będziesz dostawała coraz trudniejsze zadania, włączając w to takie, które będą zagrażały twojemu życiu.

Uczciwa odpowiedź.

– Muszę to przemyśleć.

– Oczywiście. Chciałem jeszcze tylko, żebyś wiedziała, że nie przyjmuję byle kogo i rzadko proponuję komuś współpracę.

Spojrzałam na niego pytająco.

– Czym zasłużyłam na to wyróżnienie?

Mój głos był tylko odrobinę ironiczny.

– Dostałem list z rekomendacjami od osoby, którą bardzo szanowałem.

Tym mnie zaintrygował.

– Cóż to za osoba?

– Nazywała się Alice Webber.

To mnie zaszokowało. Długą chwilę po prostu się na niego gapiłam. Przez ostatnich kilkanaście lat nikt nie wspominał przy mnie o babci, a teraz, kiedy wyleciałam z Akademii, nagle wszyscy o niej mówią.

– Kiedy dostałeś ten list? Przecież ona nie żyje od wielu lat – powiedziałam ze smutkiem.

– List dostałem niedawno, od jej prawnika.

To wiele wyjaśniało.

– Przemyśl moją propozycję. Nie musisz odpowiadać od razu. Mój numer już masz, będę czekał. Nie spiesz się z podjęciem decyzji.

Skinęłam głową. Tom wstał i uśmiechnął się na pożegnanie.

– W takim razie, mam nadzieję – do zobaczenia.

Pomachałam mu i obserwowałam jak się oddala. W głowie kłębiło mi się mnóstwo pytań. A więc tym zajmowała się babcia? Stąd ten miecz i sztylety? Czy chciałaby, żebym podążyła jej drogą?

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, kiedy podniosłam się ze schodów. Miałam wiele do przemyślenia.

Przez cały kolejny tydzień odwiedzałam czarną kotkę i jej małe. Karmiłam je codziennie. Wkrótce kotki nauczyły się jeść z miseczki i zrobiły się większe. Wszystkie oswoiły się z moją obecnością i traktowały mnie niemal jak członka rodziny. Szczególnie pewien mały, czarny urwis. Był niezwykle psotnym kotem, kiedy coś się stało, zawsze było wiadomo, że to jego sprawka. Jednocześnie robił tak słodką minę, że wyglądał jak ucieleśnienie niewinności. Postanowiłam nazwać go Shady.

Pewnego razu podczas zakupów w spożywczym natknęłam się na Martina.

– Nie zjawiaś się w ostatnią sobotę – zagaił, spoglądając na kartony z mlekiem i kocią karmą, które miałam w koszyku. – Straciłaś ochotę na grę w karty?

– Chwilowo mam inne zajęcie – odparłam. Staliśmy w kolejce, która posuwała się wyjątkowo wolno.

– Martin, nie chcesz może kota? – spytałam, bo mimo że zdecydowałam się przyczepić Shady’ego, kotek z białymi skarpetkami nadal nie miał właściciela.

– Może jeszcze mi powiesz, że tym kotem jest osławiony alp?

– Niezupełnie. Jego potomek. – Wyjaśniłam mu wszystko i opowiedziałam o tym, jak udałam się do opuszczonego domu i odkryłam głodną, wkurzoną kotkę.

Martin zdecydował się wziąć kota. Załadowaliśmy się do jego sportowego mitsubishi i podjechaliśmy na koniec ulicy. Poleciałam mu, żeby został na zewnątrz i weszłam na strych. Wzięłam na ręce dwa małe kotki.

– Czas się pożegnać – powiedziałam do czarnej kocicy. Chyba zrozumiała, bo nie protestowała. Odprowadziła mnie tylko wzrokiem pod same drzwi.

– Nie jestem entuzjastą kotów, ale ten mały wygląda mi na niezłego łobuza – powiedział Martin na widok małego kłębuszka, który mu podałam. Uśmiechnęłam się tylko. Prawdziwego łobuza bym mu nie oddała.

– Mówiłam, że ci się spodoba.

– Podwieźć cię gdzieś?

– Dzięki za propozycję, ale przejdę się – odmówiłam, jak na mnie całkiem uprzejmie. Martin wyglądał na rozczarowanego, ale nie próbował się narzucać.

– Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś wpadniesz.

Uśmiechnęłam się tylko i pomachałam mu na pożegnanie. Z Shadym na ręce ruszyłam

do domu. Już jakiś czas temu przygotowałam mu wszystko, czego potrzebował. Ułożyłam go w koszyku i patrzyłam, jak zasypia. Jego malutki brzusek unosił się rytmicznie.

Przez ten tydzień przemyślałam sporo rzeczy. Tom miał rację, nie mogłam oczekiwać, że do końca życia będę utrzymywała się z oszukiwania w pokera. Prędzej czy później moja szczęśliwa passa by kogoś zainteresowała, w niekoniecznie pozytywnym tego słowa znaczeniu. Propozycja Toma nie była zła. Oznaczała stałe źródło dochodów i nie musiałabym pracować z ludźmi, a to niewątpliwie duży plus. No i babcia. Skoro tego najwyraźniej chciała, skoro mnie zarekomendowała, zapewne wierzyła, że to będzie odpowiednie zajęcie dla mnie. Babcia rzadko się myliła. Wyciągnęłam telefon i wystukałam krótkiego SMS-a do Toma.

ZGADZAM SIĘ

ROZDZIAŁ 8



MOKRA ROBOTA

Mijały miesiące, a ja odkrywałam kolejne niedogodności wiążące się z mieszkaniem we własnym domu. Z przykrością dowiedziałam się, że istnieje limit chińskich zupek i mrożonek, które może zjeść normalny człowiek. Dojadałam nimi na studiach i kontynuowałam ten zwyczaj na większą skalę po tym, jak wyrzucili mnie z Akademii Magii. Wypróbowałam już chyba wszystkie możliwe mrożone dania, każdy rodzaj zupki chińskich oraz pizzy z pudełka i byłam tym tak przesycona, że na sam widok robiło mi się niedobrze. W całym moim życiu gotowanie ograniczałam do przygotowania herbaty, a i to potrafiłam spartaczyć, zapominając o nastawionej wodzie i przypalając czajnik. Byłam kucharskim beztalenciem. Choć może raczej nowicjuszem, bo jeśli miałabym być szczerą, moje kucharskie eksperymenty były tak rzadkie, że nie miałam nawet możliwości określić swoich predyspozycji. Przyszedł w końcu czas, że musiałam zabrać się do tego na poważnie. Postanowiłam zacząć od podstaw.

Kuchnia była w moim domu miejscem, gdzie królowała technika. Remontując ją, położyłam na ścianach dodatkowe warstwy izolacyjne, by nie kolidowała z magią. To samo zrobiłam w bibliotece, gdzie miałam sprzęt stereo. Skutkiem tego były to jedyne dwa pomieszczenia, w których musiałam sprzątać własnoręcznie, a co za tym idzie, nigdy nie panował w nich wzorowy porządek. Czasem zapomniałam nawet o rzuceniu odpowiednich zaklęć czyszczących, a na ręczne sprzątanie bardzo rzadko miałam ochotę.

Rozejrzałam się po nieco już zapuszczonej kuchni i pomyślałam, że chyba jednak będę musiała zrobić porządek. Ale to mogło poczekać. Moim priorytetem było napełnienie żołądka jakimś konkretnym pokarmem. Odpaliłam laptopa i wygooglowałam przepis na jajecznicę. Wydawał się stosunkowo prosty. Wyjęłam boczek i pomidory, pokroiłam to wszystko w kostkę i wrzuciłam na rozgrzaną patelnię. Potem rozbiłam jajka i mieszając je w szklance, dosypałam różnych przypraw. Całość wylałam na patelnię. Mieszałam

niecierpliwie, zapach był zachęcający, aż pociekła mi ślinka. Po kilku minutach wyłączyłam kuchenkę i zsunęłam mój wytwór na talerz. Posmarowałam chleb masłem i zabrałam się do jedzenia. Kiedy pierwsze kęsy znalazły się w moim żołądku, poczułam błogie zadowolenie. Wyszło mi całkiem przyzwoicie, choć trochę za bardzo ścięłam jajka, nie chcąc jeść żadnych glutów. Rozochociona sukcesem postanowiłam, że na obiad również coś ugotuję. Moim poczynaniom przyglądał się Shady. Nałożyłam mu trochę do miseczki. Zjadł wszystko oprócz pomidorów, mogłam więc świętować kulinarny sukces, bo był wielkim smakoszem.

Surfowałam po internecie w poszukiwaniu prostych przepisów. Niestety co rusz odkrywałam, że brakuje mi jakichś istotnych składników. Lista rzeczy, które musiałam kupić, wydłużała się z każdą chwilą. W końcu zrezygnowana poddałam się i postanowiłam zrobić omlet. Nie zużyłam wszystkich jajek na jajecznicę i miałam zdaje się jakieś resztki mąki w szafce. W porze obiadowej zabrałam się do roboty. Przepis nie wyglądał na skomplikowany. Zrobiłam wszystko, co kazali i wlałam zawartość szklanki na patelnię.

Czekałam i czekałam, ale nic się nie działo. Zirytowana podkręciłam gaz. Kiedy po kilku minutach na patelni nadal znajdowała się jedynie płynna masa, obrzuciłam uważnym spojrzeniem palnik. Niby coś się paliło. A może tylko mi się wydawało? Zdenerwowana poszłam do spiżarni sprawdzić butlę z gazem.

Zapaliłam światło i weszłam do chłodnego pomieszczenia. Podniosłam butlę, ale wydawała się przynajmniej do połowy pełna. Nie korzystałam z kuchenki specjalnie często. Nagle poczułam swąd spalenizny i biegiem wróciłam do kuchni. Mój omlet był zwęglony i dymił zawzięcie, jakby chciał zaalarmować wszystkich strażaków w okolicy. Wyłączyłam gaz i kaszląc, otworzyłam okno na oścież. Kłęby dymu wydobywały się na zewnątrz. Ze złością wyrzuciłam czarne, zwęglone resztki omletu za okno. Patelnia była do odratowania, o ile miałam zamiar poświęcić jakieś pół dnia na jej szorowanie. Przekalkulowałam to sobie w myślach i wyszłam na dwór, by wyrzucić ją do pojemnika na śmieci, który stał przy płocie.

– Malice. – Na werandzie siedział Tom. Byłam tak wkurzona, że w pierwszej chwili go przeoczyłam, a przy jego rozmiarach to o czymś świadczy. – Eksperymentowałaś z magią?

– Z obiadem – burknęłam i wymijając go, poszłam do kosza. Tom wyglądał na ubawionego.

– Gotujesz?

– Staram się.

Jak zwykle zjawił się w idealnym momencie, by pogorszyć mi humor.

– Udzielić ci kilku lekcji? – zapytał z szerokim uśmiechem. Tym razem to ja miałam powód do ubawu.

– Nie wmówisz mi, że potrafisz gotować.

Wystarczyło tylko na niego spojrzeć. Kawał chłopa, prawie dwa metry wzrostu, grubo ponad sto kilo wagi. Jakoś nie potrafiłam wyobrazić go sobie w kuchni. Wzruszył ramionami.

– Coś tam potrafię.

– Zakładasz fartuszek do gotowania?

Spojrzałam na niego bystro. Mogłabym przysiąc, że jego policzki zaczerwieniły się delikatnie!

– Nie wygłupiaj się – burknął.

Zaśmiałam się radośnie.

– Jeśli jeszcze żadnego nie masz, kupię ci na święta – obiecałam i miałam zamiar dotrzymać obietnicy. Tymczasem z rozmachem usiadłam na schodach, stopień wyżej niż Tom, jak miałam w zwyczaju.

– Nie przyszedłeś chyba napawać się moją kulinarną klęską?

– Nie, choć to całkiem zabawne.

Uśmiechnął się przewrotnie, po czym wyjął z kieszeni niewielką butelkę po piwie i podał mi ją.

– Co to?

– Na jeziorze Michaela pojawia się ich mnóstwo. Wypływają spod wody.

– Tak po prostu? – zapytałam z niedowierzaniem. – Czy to czasem nie przeczy prawom fizyki? – Nie byłam bynajmniej jakoś szczególnie z nimi zaznajomiona, ale podstawy znałam.

– Rybacy, którzy łowią tam ryby, twierdzą, że po prostu wypływają. Wystrzeliwują w powietrze niczym korki, opadają z powrotem do wody i wtedy już płyną spokojnie, unosząc się na jej powierzchni.

– Podejrzewasz działanie magii? Mnie to wygląda na jakiś głupi żart.

– Też tak sądziłem, dopóki nie zajrzałem do środka.

– Są tam listy?

– Tak i wszystkie wyglądają identycznie.

Widząc, że nie zamierza mi zdradzić, co się w nich znajduje, otworzyłam butelkę, którą mi podał, po czym wytrząsnęłam na zewnątrz niewielki kawałek papieru. Rozwinęłam go i przeczytałam:

POMOCY

– Pomocy? – Teraz byłam już poważnie zaintrygowana.

– Pisane różnym charakterem pisma, na różnych kawałkach papieru, czasem nawet na serwetkach, ale ciągle zawierają jedno identyczne słowo. Pomocy.

Zmarszczyłam brwi.

– To nadal może być głupi żart.

– Może żart, a może wodne potwory.

– Podejrzewasz jakieś konkretne? – spytałam, wyęzając pamięć. Jedyne co przychodziło mi do głowy, to syreny, krakeny i kelpie. Jedyne te ostatnie zamieszkiwały stosunkowo niewielkie zbiorniki wodne, takie jak jeziora, ale były wodnymi końmi. Jakoś nie widziały mi się w roli porywaczy.

– Najpewniej są to nimfy wodne. To one lubują się we wciąganiu ludzi pod wodę.

– Zgłoszono jakieś zaginięcia w okolicy tego jeziora? A może bezpośrednio jakieś utonięcia?

Tom pokręcił głową.

– Nic.

– Więc może jednak to głupi kawał.

– Mimo wszystko chciałbym, żebyś to sprawdziła – oznajmił, podnosząc się ze schodów.

– No dobrze, daj mi jeszcze tylko namiary na to jezioro, bo nie do końca kojarzę.

Również wstałam. Tom podał mi adres.

Zmarszczyłam brwi.

– Przecież to na drugim końcu miasta – powiedziałam niezadowolona.

– To ci robi jakąś różnicę?

– Owszem! Nie myślisz chyba, że pójdę tam piechotą?

Byłam zła. Jazda komunikacją miejską zajmuje dużo czasu, o wiele więcej niż chciałabym poświęcić. Tom rozłożył ręce w bezradnym geście.

– Wobec tego czas najwyższy, żebyś zainwestowała w samochód.

Zszedł ze schodów i ruszył w stronę furki. Patrzyłam jak odchodzi, w myślach rozważając jego słowa. Gdyby to było takie proste. Co prawda mogłam już sobie pozwolić na jakiegoś grata, ale nadal nie miałam prawa jazdy i najmniejszej ochoty na jego wyrabianie. Pozostawało mi jedynie dalsze okradanie komunikacji miejskiej.

Sprawdziłam w internecie najbardziej korzystne połączenie, po czym wyruszyłam, nie zwlekając. Wolałam mierzyć się z wodnymi demonami niż z przygotowaniem obiadu. Zajęłam miejsce z tyłu autobusu i obserwowałam przesuający się za oknami szary krajobraz miasta.

W centrum musiałam się przesiąść. Na szczęście nie czekałam zbyt długo na następny

autobus. Po raz kolejny usiadłam na samym końcu i zamyśliłam się. Z tego co słyszałam, jezioro było całkiem spore i stosunkowo głębokie. Pływanie szło mi dość dobrze, ale jak każdy człowiek, nie mogłam przebywać zbyt długo pod wodą. A bez wątpienia zapowiadała mi się mokra robota. Musiałam skorzystać z zakłącia, które pozwoli mi na oddychanie pod powierzchnią wody. Tylko w ten sposób mogłam sprawdzić, skąd pochodzą butelki. Na szczęście jezioro, jako naturalny zbiornik wodny, miało w sobie większy magiczny potencjał niż cokolwiek innego. Znajdowało się w sumie za miastem, co stanowiło dodatkowy plus. Im dalej od techniki, tym lepiej dla mnie.

Moje rozważania przerwał męski głos:

– Proszę przygotować bilety do kontroli.

Spojrzałam na grubego, obleśnego faceta, który zamachał mi przed nosem identyfikatorem. Wygrzebałam z kieszeni pomięty paragon i podałam mu.

– Ale to...

– Bilet – powiedziałam z mocą, patrząc mu prosto w oczy. Odpowiedział mętym spojrzeniem i spojrzał jeszcze raz na paragon.

– Tak, dziękuję.

Oddał mi świstek i odszedł. Zadowolona z siebie zaczęłam rozmyślać nad prawem jazdy. Wcale nie musiałam go mieć. Zakładając, że zatrzymałby mnie jakiś patrol, mogłam potraktować go jak kanara przed chwilą. Gorzej z całym biurokratycznym zamieszaniem wiążącym się z kupnem samochodu. OC, AC, rejestracja – ciężko byłoby mi to ominąć.

Wysiadłam na ostatnim przystanku. Musiałam przejść jeszcze dwa kilometry, ponieważ nie było linii, która jechałaby bezpośrednio nad jezioro. Maszerowałam szybkim krokiem, przyglądając się domkom po obu stronach szerokiej ulicy. Przedmieścia z tej strony były o wiele bardziej zatłoczone. O żadnej prywatności nie mogło być mowy. Domy stały płot w płot, można było zajrzeć przez okno do sąsiada.

Mój wzrok przykuło zielone cudo stojące na podjeździe jednej z posesji. Maszyna wydawała się do mnie przemawiać: Musisz mnie mieć! Nie potrafiłam pozostać obojętna na to wezwanie. Szłam, gapiąc się na nią z otwartymi ustami. Lśniący, metalowy motor o prostych, pewnych liniach był odpowiedzią na moje niewypowiedziane marzenia. Zapatrzyłam się do tego stopnia, że nie zauważyłam słupa, który wyrósł przede mną niespodziewanie. Mimo że zwolniłam kroku, uderzyłam w niego z impetem. Poczulałam się przez chwilę jak postacie z kreskówek. Przed oczami wybuchły mi fajerwerki, a potem zapadła ciemność.

Obudziło mnie lekkie poklepywanie po policzku.

– Nic ci nie jest? – Usłyszałam podenerwowany głos. Otworzyłam oczy i ujrzałam męską twarz ocienioną dwudniowym zarostem. Ciemne oczy wpatrywały się we mnie badawczo.

– W porządku – mruknęłam, rozcierając czoło. Zapowiadał się siniak wielkości arbuza.

– Dasz radę wstać?

Spróbowałam, ale zakręciło mi się w głowie i z powrotem opadłam na chodnik. Naprawdę nieźle walnęłam w ten słup! Nim się zorientowałam, mężczyzna wziął mnie na rękę i wniósł na własne podwórko.

Ułożył mnie na szerokiej ławce i zniknął. Chwilę później pojawił się z zimnym okładem, który przyłożył mi do czoła. Po kilku minutach poczułam się wreszcie na siłach, żeby wstać. Usiadłam ostrożnie i pierwszą rzeczą, która zakuła mnie w oczy, był zielony motor. Nie potrafiłam oderwać od niego wzroku.

– Widzę, że ci się podoba – powiedział rozbawiony mężczyzna.

– O tak, jest cudowny. – Mój głos ociekał zachwytem do tego stopnia, że poczułam się głupio. Musiałam teraz wyglądać i brzmieć jak szurnięta trzynastka, która zobaczyła swoją ulubioną gwiazdkę. – Jest na sprzedaż?

– Dopiero co skończyłem go ulepszać.

Słowo „ulepszać” zabrzmiało na tyle dwuznacznie, że oderwałam wzrok od motoru i spojrzałam z nowym zainteresowaniem na swojego wybawiciela. Czarny podkoszulek opinał jego opalone, muskularne ramiona, zza paska wystawał kawałek bokserek. Było coś w wyrazie jego twarzy, co zwiastowało niebezpieczeństwo. Interesujący typ.

– Jestem Malice. – Przypomniałam sobie nagle o dobrym wychowaniu i wyciągnęłam rękę.

– Iwan. – Uścisnął mocno moją dłoń, unosząc kąciki ust w półuśmiechu.

– A więc Iwan, powiedz mi, ile?

– Nie owijasz w bawełnę, co? – Zaśmiał się. Miał niewielką chrypkę, ale to tylko dodawało mu uroku. – To nie jest zwykły motor – powiedział poważnie. – Spędziłem nad nim mnóstwo czasu.

– Rozumiem, że cena będzie wysoka.

– Dwadzieścia tysięcy.

– Co? Przecież mogłabym za to kupić nowy samochód!

Iwan wzruszył ramionami. Zgrzytnęłam zębami. Miałam na koncie niewiele ponad tę kwotę.

– Nie spuścisz mi choć trochę? – spytałam błagalnie. Otaksował mnie uważnym spojrzeniem ciemnych oczu.

– Trochę mógłbym – powiedział niskim głosem.

– Świetnie! Piętnaście tysięcy?

Pokręcił głową z rozbawieniem.

– Jesteś niemożliwa.

– Szesnaście? Nie mam więcej.

– Za mniej niż osiemnaście go nie sprzedam.

– Biorę! – Nie wahałam się nawet sekundy. Kawasaki Ninja ZX-10R stojące na podjeździe było warte tej ceny. Roześmiał się głośno.

– Dawno nie widziałem tak zabawnej babki.

Spojrzałam za zegarek. Czas mnie naglił. Nie byłam do końca pewna, ile zajmie mi wykonanie zlecenia, które powierzył mi Tom.

– Słuchaj, Iwan, muszę się spieszyć, ale wrócę tu na pewno w przeciągu kilku dni. I będę bardzo rozczarowana, jeśli sprzedasz to cacko komuś innemu – powiedziałam poważnie, patrząc mu głęboko w oczy. W moim głosie czaiła się nutka groźby.

– Nic się nie martw, będę czekał – obiecał, nic sobie nie robiąc z mojego groźnego tonu.

– Świetnie! Więc do zobaczenia wkrótce – pożegnałam się i ruszyłam w stronę jeziora, starannie omijając stojący na chodniku słup.

Już wcześniej zdecydowałam, jakiego zaklęcia użyję, by móc do woli przebywać pod wodą. Posiadało niestety skutek uboczny w postaci skrzeli, które miały wyrosnąć mi na szyi, ale było najbardziej niezawodne. Dzięki niemu gdybym tylko chciała, mogłam spędzić w głębinach całe lata. Zdjęłam kurtkę, która po nasiąknięciu wodą spowalniałaby moje ruchy, potem zrzuciłam z nóg trampki i wsadziłam do nich skarpetki. Umieściłam rzeczy w krzakach i rzuciłam zaklęcie, dzięki któremu nikt nie miał się na nie pokusić.

Boso stanęłam na brzegu jeziora. Ciągnęło się kilometrami, nie byłam w stanie dostrzec końca. W oddali widziałam kilka rybackich kutrów, które kołysały się na jego powierzchni. Woda miała zielony odcień, przywodzący na myśl morze. Zanim do niej weszłam, rzuciłam jeszcze na siebie zaklęcie, które miało zabezpieczyć skórę przed długotrwałym działaniem wody. Nie chciałam wyjść z niej pomarszczona niczym suszona śliwka.

Z głośnym pluskiem zeskoczyłam z drewnianego pomostu. Skrzela już były na mojej szyi i poczułam, że duszę się powietrzem. Zanurkowałam, odczuwając natychmiastową ulgę. Chłodna woda działała na mnie kojąco. Ubranie natychmiast przykleiło mi się do

ciała, na nieszczęście miałam dziś na sobie biały podkoszulek, który zaraz stał się zupełnie prześwitujący. Miałam tylko nadzieję, że oprócz ryb i innych morskich stworzonek nie będę miała żadnej widowni.

Długo płynęłam, nie dostrzegając niczego nadzwyczajnego. Przepłynęły obok mnie dwie ławice niewielkich rybek, kilka większych i bardziej kolorowych egzemplarzy, rzuciła mi się w oczy również spora ilość małży. Nie widziałam żadnych butelek. Zaczynałam żałować, że nie podwędziłam którejs z zacumowanych przy brzegu motorówek i nie wypłynęłam na sam środek jeziora. Ciągnęło się na kilka kilometrów i pewnie będę musiała zmachać się jak głupia, by zobaczyć wreszcie coś odbiegającego od normy. Zakładając oczywiście, że te wiadomości nie były jedynie kiepskim żartem. Ktoś musiał mieć dziwne poczucie humoru. No bo niby co miałyby to oznaczać? Jeśli już żartować, trzeba robić to z odpowiednią finezją i obowiązkową szczyptą złośliwości. To było po prostu słabe. Na poziomie dzieci z podstawówki. Butelki mogłyby chociaż wybuchać.

Prowadząc te rozmyślenia, przepłynęłam spory kawałek i wreszcie zaczynałam dostrzegać niepokojące rzeczy. Im dalej płynęłam, tym mniej ryb i jakichkolwiek innych zwierząt widziałam. Krajobraz stawał się coraz bardziej opustoszały, zaczynał przywodzić mi na myśl teren po jakiejś klęsce żywiołowej. Otaczała mnie jedynie woda i nagie skały, bez śladu życia istot większych niż mikroorganizmy, których nie mogłam dostrzec, a które zapewne tam były.

Płynęłam teraz ostrożnie, rozglądając się podejrzliwie, w obawie, że jakiś rekin wypłynie zza skały i odgryzie mi nogę. Wiedziałam, że rekiny nie mieszkają w jeziorach, ale to i tak nie poprawiało mi humoru. Czułam na sobie czyjś wzrok i było mi nieswojo.

Napięłam mięśnie, dotykając ukrytego sztyletu. Przede mną znajdowała się wielka skała. Nie miałam pojęcia, co ukrywa, ale nagle poczułam, że wcale nie mam ochoty się przekonać.

Nie wiedziałam, czy tymczasem zapadł wieczór, ale nagle zrobiło się jakby ciemniej. Głęboka toń wody zmieniła kolor z zielonego na ciemny, niemalże czarny kolor.

Wypłynęłam zza skały i gdyby nie to, że znajdowałam się pod wodą, pewnie stanęłaby jak wryta. Przede mną, jak gdyby nigdy nic, siedziały trzy staruszki. Po bliższym przyjrzeniu się ich twarzom doszłam do wniosku, że słowo staruszki było w odniesieniu do tych trzech kobiet zbyt łagodne.

Staruchy! I to jakie! W życiu nie widziałam równie brzydkich i odrażających. Wszystkie siwe, ze skołtunionymi włosami, miały powykręcane artretyzmem ręce, wielkie, owłosione brodawki na twarzach, czarne pazury i nosiły łachy, których wstydziłby się nawet najgorszy kloszard. Brakowało im tylko mioteł. Jednocześnie miały w sobie coś budzącego przerażenie. Wzdrygnęłam się mimowolnie, przywodziły mi na myśl erynie.

– Witaj, kochanie – odezwała się ta stojąca w środku, zaskakująco młodym i dziewczęcym głosem. Zamrugałam ze zdziwieniem. Teraz stały przede mną trzy niezwykle

piękne niewiasty.

Co do...? Któreś z tych postaci musiały być iluzją i nie miałam większych wątpliwości z orzeczeniem, które. Wykorzystałam niezawodną metodę i zerknęłam na nie kątem oka. Przez sekundę znowu widziałam ich odrażające wizerunki.

– Zabłądziłaś? – odezwała się przymilnie piękna blondynka stojąca po prawej. Nie miała na sobie nic. Jej długie włosy wiły się niczym wodorosty, zakrywając intymne miejsca.

– Yyy... – nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. – Właściwie to nie.

– Nie? – Tym razem odezwała się śniada brunetka stojąca po lewej. Podpłynęła, wyraźnie naruszając moją przestrzeń osobistą. – Co więc cię tu sprowadza? – spytała z ustami tuż przy moim uchu.

– Szukam czegoś – odpowiedziałam, obserwując bąbelki, które wraz ze słowami wypłynęły z moich ust.

Ruda piękność o figurze modelki wbiła we mnie przejrzyste, zielone oczy.

– Możemy ci pomóc. – Jej dźwięczny głos przywodził mi na myśl niewielkie, srebrzyste dzwoneczki.

Obrzuciłam je wszystkie podejrzliwym spojrzeniem. Nie ufałam im za grosz. No bo dajcie spokój – trzy nagie laski po środku jeziora, kilkadziesiąt metrów pod wodą? W dodatku nie widziałam na ich szyjach nawet śladu skrzeli. Unosiły się tak po prostu w wodzie i proponowały mi pomoc. Musiałabym doznać urazu mózgu, żeby uwierzyć w ich czyste intencje.

– Poradzę sobie – oznajmiłam hardo i chciałam je wyminąć, ale jak na komendę, wszystkie trzy zastąpiły mi drogę.

– Ależ kochaniutka, nie znajdziesz lepszych przewodniczek po naszej małej, morskiej społeczności – oznajmiła ruda słodkim głosem.

– Małej, morskiej społeczności?

– Zechcesz zobaczyć? – zapytała grzecznie blondynka, wskazując krawędź skały.

Podpłynęłam nieufnie, ustawiając się plecami do twardego kamienia. Wyjrzałam ostrożnie i to, co zobaczyłam, sprawiło, że otwarłam szeroko usta ze zdumienia. Zamknęłam je szybko, ale oczy nadal miałam wytrzeszczone. Przede mną znajdowało się... podwodne miasto.

Olbrzymie, morskie łąki, na których pływały piękne, wiotkie dziewczyny z długimi włosami oraz wielkie rafy koralowe, które były odpowiednikiem bloków. Nie miałam pojęcia, skąd wzięły się w jeziorze, ale były tak piękne, że nie chciało mi się zaprzętać tym głowy. Wszystko oszałamiało niezliczoną ilością kolorów, które wybuchały przed oczami niczym fajerwerki. Poczułam się, jakbym patrzyła na zaginioną Atlantyde.

– Robi wrażenie, prawda? – usłyszałam tuż przy uchu dźwięczny głos rudej. Byłam

w stanie jedynie pokiwać głową. – Chodź. – Złapała mnie za rękę. – Zabawimy się.

Pociągnęły mnie na jedną z rozległych łąk i włączyłyśmy się do szaleńczego, hipnotycznego tańca. Wszystkie dziewczęta były nagie, jedynie długie włosy skrywały ich wdzięki. Moje już dawno wydarły się z niechlujnego kucyka i wiły mi się teraz wokół twarzy. Jedynym tego pożytkiem było to, że zasłaniały skrzela.

Mężczyźni dzielili się na dwie grupy – jedni wyglądali jak ryby, ich ciała były nagie i błyszczące, torsy potężne i, mimo że nie sięgały tu promienie słoneczne – opalone. Drudzy byli bladzi i mieli na sobie strzępy ubrań. Z trudem nadażali, gdy tempo tańca wzrastało. Potykali się o własne nogi i widać było, że mają ochotę usiąść i nie wstawać przez najbliższy tydzień, ale ich partnerki kwitowały te potknięcia perlistym śmiechem, który rozbrzmiewał nad całym miastem.

Straciłam poczucie czasu. W pewnym momencie, mogło to być zarówno godzinę, jak i kilka dni później, stwierdziłam, że mam dość. Koniecznie musiałam odpocząć. Wypuściłam ręce potężnego mężczyzny, który należał do pierwszej z opisywanych przeze mnie grup i chyłkiem oddaliłam się w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Zaraz znalazła mnie blondynka, jedna z trójki dziewcząt, które spotkałam na samym początku. Czułam, że miesza mi się w głowie. Przecież to były paskudne staruchy!

– Spragniona? – spytała radośnie, podając mi złoty puchar. – Wypij, to postawi cię na nogi.

Skinęłam jej głowę w niemym podziękowaniu i patrzyłam, jak z powrotem włącza się do tańca. Najwyraźniej ona nie odczuwała zmęczenia. Uważnie zlustrowałam wzrokiem złotawy płyn, który znajdował się w kielichu. Podniosłam go do ust, chcąc upić łyk, ale powstrzymał mnie cichy głos dobiegający zza mojego ramienia:

– Na twoim miejscu bym tego nie pił.

Odwróciłam się gwałtownie, wylewając odrobinę złotej cieczy. Kilka kropeł skapnęło na nogawkę moich spodni, ale nie wsiąkły w nie, tylko wyparowały, tworząc złotą mgiełkę. Słodka mgła spowijała mój umysł, ale i tak pomyślałam, że to dziwne.

– Co masz na myśli? – zapytałam niewysokiego mężczyznę z kilkudniowym zarostem. Miał na sobie spodnie, które były jeszcze w jednym kawałku, koszuli niestety dawno został pozbawiony. Wpatrywał się we mnie ostrzegawczo.

– Nie pij tego. – Tym razem jego głos zabrzmiał pewnie, usłyszałam w nim niemalże rozkazujący ton. Zjeżyłam się od razu.

– Niby dlaczego? – spytałam lekceważąco i uniosłam kielich do ust. Wytrącił mi go

gwałtownym ruchem ręki. Rozszerzonymi oczami obserwowałam, jak upada, a jego zawartość zamienia się w złotą mgiełkę i znika w wodzie.

– Coś ty narobił? – krzyknęłam zdenerwowana i zamierzyłam się na niego pięścią. Miałam chyba zaburzoną koordynację, bo nie trafiłam w nos tylko w szczękę i zdaję się, że to mnie zabolowało bardziej.

– Próbuję ci pomóc! – Szarpnął mnie za ramię, odciągając na bok. – Chcesz zostać tu na zawsze?

– Czemu nie? – zapytałam z radosnym uśmiechem, obserwując piękny taniec na łące. – Jest całkiem przyjemnie.

– Opanuj się!

Wymierzył mi siarczysty policzek.

– Co do...? – Byłam tak zdenerwowana, że śmiał podnieść na mnie rękę, że zapomniałam o tańcu i skupiłam całą uwagę na stojącym przede mną mężczyźnie. – Co to miało znaczyć? – spytałam groźnie. Wystarczyło jedno nieodpowiednie słowo, a uderzyłabym go tak, że zbierałby zęby z mulistego dna.

– Przepraszam – powiedział bez cienia skruchy w głosie – ale musiałaś zacząć myśleć jasno! Nie widzisz, co się tu dzieje?

Rozejrzałam się dookoła i tym razem nie spodobało mi się to, co zobaczyłam. Nie widziałam już pięknych, młodych dziewczyn i powalających młodzieńców. Na polanie kłębiły się odrażające stworzenia, oplatające w ciasnym uścisku wycieńczonych ludzi.

– O cholera. – Tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

– Widzisz, jacy są naprawdę? – zapytał z zainteresowaniem.

Pokiwałam głową, nie mogąc oderwać wzroku od makabrycznego tańca.

– Świetnie! Pomożesz mi się stąd wyrwać!

– Pomogę ci...?

– Jim – przedstawił się, wyciągając w moim kierunku dłoń nieproporcjonalnie dużą w porównaniu z jego niewielkim ciałem.

– Malice. – Uścisnęłam jego rękę. – Jak mam ci pomóc? – spytałam szczerze zainteresowana, bo gdyby miał gotowy plan, oszczędziłby mi główkowania.

– Nie wiem. – Rozłożył bezradnie ręce. – Ale we dwoje na pewno coś wymyślimy.

No tak, to byłoby zbyt łatwe. Uśmiechnęłam się cierpko.

– Zaraz. A te butelki z wiadomościami? To twoja sprawka?

Prychnął i spojrzał z pogardą w kierunku chwiejących się na nogach mężczyzn.

– To oni. Tylko na tyle ich stać.

Uniosłam brwi.

– W przeciwieństwie do ciebie, odważny Jimie, który czekałeś sobie radośnie, aż

przybędę i ci pomogę? – spytałam ironicznie. Nawet się nie zaczerwienił.

– Ja nie poddałem się ich podłej magii – powiedział z dumą, jakby było to ogromne osiągnięcie. Może i było, skoro nawet ja jej uległam.

– Co tak stoicie, gołąbeczki? – Usłyszałam radosny głos rudej piękności. Miałam nadzieję, że nie słyszała naszej rozmowy. – Chodźcie zatańczyć! – Chwyciła nas za ręce i pociągnęła na łąkę. Posłusznie wtopiliśmy się w tańczący tłum. Jim objął mnie w pasie, zaczęliśmy kołysać się dla niepoznaki.

– Widzisz? One nie spuszczają nas z oka. Są wszędzie, zawsze gotowe napić nas tym trunkiem i zaciągnąć do tańca!

– Mmm – mruknęłam, ale w myślach już rozważałam plan, który miał nas stąd wyciągnąć. Najwyraźniej napój, który zaproponowała mi blondynka, był zaczarowany. Ale nie tylko w tym tkwił problem. To taniec hipnotyzował wszystkich ludzi obecnych na polanie.

– Jakim cudem oddychasz pod wodą? – zapytałam nagle.

Wzruszył ramionami.

– Zaczarowały nas wszystkich. A jakim cudem ty oddychasz?

Odgarnęłam ciemne, lepkie kosmyki, które oblepiały mi twarz i zasłaniały znajdujące się na szyi skrzela. Jim wybałuszył oczy.

– Czy to...?

– Tak – powiedziałam, szybko zasłaniając je z powrotem. – Ja przyplłynęłam tu z własnej woli. A jak ty tu trafiłeś?

– Porwały mnie. Omamiły – wyrzucił z siebie z goryczą. – Dałem się zwieść pięknemu ciału.

– To klasyczny męski błąd – powiedziałam bez cienia współczucia. – Ktoś wiedział, że pojechałeś nad jezioro? – spytałam, przypominając sobie słowa Toma.

– Nie. – Pokręcił głową. – Jestem raczej typem samotnika. Pewnego wieczoru nasza mnie ochota na kontemplowanie nad wodą. Przysiadła się wtedy do mnie najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałem. Była zainteresowana tym, co mówię i nie zajęło jej więcej niż dziesięć minut kompletne zamotanie mi w głowie – powiedział z niesmakiem. Wstydził się, ale po niewczasie.

Przed wyjściem odpaliłam wyszukiwarkę i poczytałam sobie trochę o różnych wodnych stworzeniach. Te wyglądały mi na rusałki. Piękni mężczyźni byli zapewne trytonami albo innego rodzaju męskimi odpowiednikami nimf wodnych. Bez wątplenia musieli rzucać na tych ludzi jakiś czar, który pozwalał im na przebywanie pod wodą. Zgadywałam, że przez taniec zapominali o bożym świecie, a napój tylko wzmacniał to wrażenie. Albo – pomyślałam, obserwując powracającego z nowym zapalem mężczyznę – dodawał im siłę i sprawiał, że nie padali ze zmęczenia.

– Słuchaj, Jim – odezwałam się – wiesz, skąd one biorą ten napój?

Popatrzyła na mnie podejrzliwie.

– Chyba nie masz ochoty się napić?

Przewróciłam oczami.

– W jednej z tych olbrzymich raf znajduje się coś w rodzaju fabryki.

– Świetnie. Zaprowadzisz mnie?

– Po co chcesz tam iść? – Jego nieufny ton zaczynał mnie wkurzać.

– Chcesz się stąd wydostać czy nie? – zapytałam ze złością. Pokiwał pokornie głową.

– Więc przestań zadawać głupie pytania i rób, co mówię!

Rozejrzał się dookoła, ale wszyscy byli zbyt zajęci tańcem, by zwrócić na nas uwagę.

– Chodź. – Pociągnął mnie za rękę. Wymknęliśmy się z rozkołysanego gąszczu rąk i nóg, po czym skierowaliśmy się w stronę wielkiej rafy koralowej.

– Jesteś pewien, że to tu? – zapytałam, gdy znaleźliśmy się przed czymś, co wyglądało na wejście. W milczeniu pokiwał głową. – No to wchodzimy.

Łatwo było się tu ukryć. Rafa była olbrzymia, miała mnóstwo wnęk. Szybko znalazłam miejsce, które było świetnym punktem obserwacyjnym. Pchnęłam tam Jima, a potem sama wcisnęłam się w niewielką przestrzeń. W dole całe mnóstwo pięknych dziewczyn kręciło się tanecznym krokiem wokół wielkiego, czarnego kotła. Dorzucały coś co chwila do jego bulgoczącej zawartości. Wreszcie, po godzinie obserwacji, płyn był gotowy. Kocioł, pełen złotego, niewątpliwie magicznego napoju zniknął, a na jego miejscu pojawił się pusty. Wszystko zaczęło się od początku.

Wygramoliłam się z wnęki i rozprostowałam zeszywniałe kończyny. Wyszliśmy ukradkiem i zaczęliśmy się rozglądać za jakąś kryjówką. Olbrzymia muszla nadawała się do tego celu idealnie. Ukryliśmy się w jej wnętrzu i dopiero wtedy Jim zadał pytanie, które dręczyło go już od kilku godzin.

– Co zamierzasz?

– Akcję dywersyjną, to jasne. Jeśli ci ludzie przejrzą na oczy i zobaczą, z kim naprawdę sobie płasają, zaraz odejdzie im ochota na taniec. Nadal jednak nie wiem, jak mielibyśmy się stąd wydostać. Jeśli te wiedźmy zdejmą czar chroniący was przed wodą, wszyscy się potopią.

– Nie mogłabyś zrobić nam takich skrzeli jakie sama masz? – zapytał Jim.

Zamyśliłam się. To byłoby trudne, ale nie przekraczało moich możliwości.

– Myślę, że dałabym radę.

– Świetnie, zacznij ode mnie – powiedział ochoczo Jim.

Uniosłam brwi, ale w sumie miał rację. Później będę miała na głowie jednego mniej. Przyłożyłam dłonie do jego szyi, żeby było mi łatwiej. Sięgnęłam po magię, pod wodą odczuwałam ją inaczej, dziwniej, ale po chwili przyzwyczaiałam się do tego wrażenia

i skupiłam się, by nagiąć ją do swojej woli. Poczułam pod palcami wybrzuszenia.

– Gotowe – oznajmiłam. – Znikną, jak tylko wynurzysz się z wody.

Dotknął z przestachem swojej szyi i nagle spojrział na mnie, jakby go oświeciło.

– Ty też jesteś czarownicą! – wykrzyknął i odsunął się gwałtownie.

– Brawo, Sherlocku – powiedziałam z przekąsem. – Myślałeś, że przyszedłam tu z ulicy, żeby pokonać złe wiedźmy?

Trochę rozczarowała mnie jego postawa. Nie odpowiedział, najwyraźniej nadal to sobie przetrawiał.

Byłam zwolenniczką prostych planów, dlatego darowałam sobie dłuższe główkowanie. Spędziłam tu wystarczającą ilość czasu, by stwierdzić, że każdy moment był tak samo dobry na atak.

– No dobra – przerwałam milczenie. – Ja zamieszam im w tym kociołku, a kiedy wszystkich tych ludzi oświeci, będę musiała wyczarować im skrzela. Wtedy ty pokierujesz ich ku powierzchni.

Skinął głową na znak zgody.

– Świetnie, czyli wszystko ustalone. Jutro się tym zajmiemy. Teraz muszę się przespać i zgromadzić jak najwięcej energii.

Przekręciłam się na bok i wkrótce zasnęłam.

Obudziły mnie oczywiście głośne odgłosy tańca i zabawy.

– Wcześniej zaczynają, co? – mruknęłam do Jima, przecierając zaspane oczy. Wygramoliłam się z muszli i wykonałam kilka ćwiczeń rozciągających. Zauważyłam, że Jim przygląda się mojemu białemu, prześwitującemu podkoszulkowi. – No i co się gapisz? – spytałam obcesowo.

Szybko odwrócił wzrok.

– Zaczynamy?

– Tak. Ja idę zamieszać trochę w kociołku, a ty na łąkę. Tańcz z pięknymi dziewczynami, póki możesz – dodałam złośliwie. Naburmuszył się wyraźnie, ale nie zripostował. Cienias.

– Bądź czujny! – rzuciłam zamiast pożegnania i odeszłam. Z radością uwolniłam się od jego towarzystwa. Wolałam działać sama.

Szybko odnalazłam rafę, którą wczoraj odwiedziliśmy i zakradłam się do środka. Nimfy nadal kręciły się wokół kotła. Pomyślałam, że muszą robić to na zmiany, ale ciężko

było stwierdzić, bo wszystkie wyglądały mniej więcej tak samo – długie włosy, idealne, zgrabne ciało, piękne twarze. To robiło się wręcz monotonne.

Poczekalam, aż wokół kotła trochę się przerzedzi i rzuciłam uniwersalny czar, dzięki któremu każda magiczna mikstura traciła swoje właściwości, o ile tylko rzuciło się go podczas jej wytwarzania. Odczekałam jeszcze kilka godzin i potraktowałam podobnie trzy następne kotły. To musiało wystarczyć. Wyszłam z wnęki i niezauważona przekradłam się do wyjścia. Potem pognałam na łąkę. W połowie drogi wpadłam na rudą piękność.

– Gdzie ci się spieszy? – zapytała słodkim głosem.

– Tańczyć, tańczyć, chcę tańczyć – wybełkotałam, spoglądając na nią wzrokiem pozbawionym wyrazu. Wyraźnie zadowolona przepuściła mnie i bez przeszkód pobiegłam dalej.

Taniec trwał w najlepsze. Dołączyłam do niego i zatraciłam się w hipnotycznych rytmach. Nie starałam się przedrzeć przez urok spowijający wodnych tancerzy. Nie miałabym wtedy żadnej przyjemności. Tymczasem cieszyłam się ostatnimi chwilami, w których mogłam swobodnie pisać po pięknej podwodnej łące, otoczona silnymi ramionami nagiego i niezwykle przystojnego mężczyzny. W pewnym momencie zauważyłam przerażone spojrzenie Jima, z grymasem na twarzy znoszącego dotyk rusałki, z którą tańczył. Mrugnęłam do niego i dalej robiłam swoje. To była najbardziej odjechana dyskoteka, na jakiej się znalazłam!

Po jakimś czasie wśród tłumu zapanowało poruszenie. Dało się wyczuć niepokój, który zaburzył idealną harmonię poruszających się rytmicznie ciał. Zaczynało się! Wyplątałam się z objęć mężczyzny, z którym tańczyłam i chyłkiem uciekłam z polany. Skryłam się za pojedynczym odłamek rafy i obserwowałam, jak wychudzone twarze ludzi wykrzywia obrzydzenie. Nadszedł czas na moje czary.

Zamknęłam oczy i skupiłam się całym wysiłkiem woli. Moją jedyną myślą stały się skrzela, wyrastające z ludzkich szyi. Oswoiłam się już trochę z tą dziwną, wodną magią, więc poszło mi całkiem sprawnie. Otworzyłam oczy i ujrzałam Jima krzyczącego na wystraszonych, białych mężczyzn. Patrzyli na niego z przerażeniem, ale wkrótce zaczęli unosić się ku powierzchni.

Uśmiechnęłam się z zadowoleniem, ale uśmiech szybko spełził z mojej twarzy, gdy ujrzałam trzy rozwścieczone wiedźmy, płynące w kierunku ludzi. Najwyraźniej chciały ich zatrzymać

– Myślicie, że niby gdzie się wybieracie? – Usłyszałam głos rudej. Nie był już taki słodki, złość sprawiła, że stał się nieprzyjemny, zgrzytliwy i bardziej pasował do wizerunku okropnej staruchy. Nie zastanawiając się dłużej, odbiłam się stopami od dna i zaczęłam płynąć w ich kierunku.

– Co jest, panusie? – zapytałam wyzywająco. – Coś nie idzie zgodnie z planem?

– Ty! – Wkurzona brunetka wyciągnęła w moim kierunku palec, a raczej sękaty paluch.

Ich iluzje się sypały. – Od początku widziałam, że coś jest z tobą nie tak! – Spojrzała triumfalnie na swoje towarzyszki.

– Zginiesz. – Ruda wręcz wypluła to słowo.

– To się jeszcze okaże.

Obnażyłam zęby w groźnym uśmiechu i wyciągnęłam sztylety, które ciągle tkwiły ukryte w moich spodniach. Poczułam, jak uciekają mi z rąk. Podłe wiedźmy, próbowały czarów ze mną? Nie mogłam powstrzymać wrednego śmiechu. Wydobył się z moich ust, sprawiając, że wokół mojej głowy powstało mnóstwo bąbelków. Rozszerzyłam swoje tarcze ochronne na sztylety trzymane w dłoniach i rzuciłam czar, aby zachowywały się tak samo jak na powietrzu.

Staruchy okrążyły mnie, spoglądając złowieszczo. Miałam tylko dwa sztylety, a ich było trzy. Rzuciłam bez chwili wahania, bezbłędnie trafiając w aorty. Buchnęła czarna, przypominająca szlam krew, barwiąc wodę dookoła. Wiedźma, która pozostała przy życiu, ryknęła straszliwie i z niepokonowaną złością rzuciła się w moim kierunku. Wyprowadziłam cios, który rozbił jej szczękę, ale złapała mnie za rękę i wbiła głęboko ostre pazury.

– Puszczaj, suko – warknęłam, uderzając ją w podbródek. Jej głowa poleciała do tyłu, a z ust wyleciało kilka czarnych zębów. Wypuściła moją rękę, z której ściekała krew. Wkurzona wykorzystałam jej zamroczenie i walnęłam ją z całej siły w szyję, łamiąc kark. Opadła na dno, nie wydając już z siebie żadnych dźwięków.

Popłynęłam ku górze. Gdy wreszcie przebiłam głową powierzchnię wody, poczułam w płucach upragnione powietrze. Mężczyźni, których wyprowadził Jim, załadowali się na kutry rybackie; widziałam, jak płyną w stronę brzegu. Uśmiechnęłam się na samą myśl, jak gęsto musieli tłumaczyć się zdziwionym rybakom.

Byłam wyczerpana walką, zakłębieniem, które rzuciłam i długim pobytem pod wodą, a czekało mnie jeszcze przepłynięcie do brzegu. Westchnęłam głęboko i powoli zaczęłam poruszać ramionami.

Gdy wreszcie dobiłam do brzegu, byłam skonana. Musiałam jeszcze przynajmniej powierzchownie zasklepić ranę, którą zadała mi wiedźma. Ostatkiem sił sięgnęłam po magię i zdobyłam się na wysiłek. Nie czekałam, aż rana zniknie zupełnie, pozostawiając gładką skórę. Zadowolona już wtedy, gdy na ręce pojawił się strup. Powlekłam się do krzaków, gdzie grzecznie czekały na mnie buty i kurtka. Ubrałam się i, ociekając wodą, ruszyłam na przystanek.

Doszłam do siebie bardzo szybko. Wystarczył porządny posiłek i kilka godzin snu. Nie zapomniałam o czekającym na mnie cudenku. Sprawdziłam stan konta – Tom już przelał pieniądze, w związku z czym po wydaniu osiemnastu tysięcy nie byłabym kompletnie splukana.

W autobusie siedziałam jak na szpilkach. Nie mogłam się doczekać momentu, gdy wsiądę na upragnione kawasaki. Drogę do domu Iwana pokonałam niemalże biegiem, przekroczyłam bramę jego posesji i niepewnie skierowałam się w stronę garażu, z którego dochodziły różne odgłosy. Zastałam Iwana pochylonego nad moim kawasaki.

– Co robisz? – zapytałam, zapominając o dobrych manierach.

– Ostatnie poprawki. – Mrugnął do mnie. Po kilku chwilach wytarł dłonie w szmatę i wyprostował się.

– Gotowe. Ten motor to demon prędkości, ma też kilka innych, przydatnych funkcji.

– Zdefiniuj „przydatnych”.

– Sama się przekonasz. Siadaj – powiedział, wskazując ławkę, a sam zniknął w głębi domu. Po chwili wrócił, niosąc laptopa.

Weszłam na stronę banku i wykonałam przelew ekspresowy. Kiedy pieniądze znalazły się na jego koncie, podał mi kluczyki. Chwyciłam je prędko i chciałam wskoczyć od razu na piękną maszynę.

– Mam nadzieję, że wiesz, jak się tym posługiwać – powiedział z odrobiną ironii w głosie.

– Jasne. – Rzuciłam mu pewne siebie spojrzenie i już miałam wstać, ale rozmyśliłam się. – Tak w ogóle, dziękuję – powiedziałam, bo wcale nie musiał sprzedawać mi motoru. Potem nachyliłam się i pocałowałam go. Kiedy po długiej chwili oderwaliśmy się od siebie, Iwan wyglądał na całkiem zadowolonego.

– To się nazywa podziękowanie. – Jego oczy błyszczały, gdy na mnie patrzył.

Uśmiechnęłam się radośnie i pognałam w stronę kawasaki. Z niemalże nabożną czcią dotknęłam wszystkich pięknych krzywizn. Dopiero wtedy wsiadłam na niego i po raz ostatni spojrzałam na przyglądającego mi się z rozbawieniem Iwana. Posłałam mu buziaka i odjechałam z piskiem opon, który wynikał bardziej z mojego bladego pojęcia o jeździe motorem niż wątpliwych umiejętności, ale o tym nikt nie musiał wiedzieć.



DEMONICZNE ZAPĘDY

Każdy szanujący się motocyklista – a za takiego chciałam uchodzić – powinien posiadać profesjonalny strój. Jakoś nie widziałam się w śmiesznym, jednoczęściowym kostiumie – wolałam opcję drugą. Wydałam nieprzyzwoicie dużą ilość pieniędzy na czarną, skórzaną kurtkę, ale byłam więcej niż zadowolona z zakupu.

Potrzebowałam odpowiednio dobranego kasku. Moje kawasaki było zielone, dlatego wahałam się przez jakiś czas, czy nie kupić kasku w tym samym kolorze, ale ostatecznie doszłam do wniosku, że to byłaby przesada i że wywoływałabym przez to zbyt wielkie zainteresowanie u każdej napotkanej na drodze krowy, czego wolałam uniknąć. Nie chciałam, by jakaś kobyła pomyliła mnie z jedzeniem.

Groźny wizerunek członka motocyklowego gangu – taki efekt miałam nadzieję osiągnąć. Zamówiłam w internecie czarny kask z wymalowanym z tyłu demonem. Sprawiał odpowiednio przerażające wrażenie. Potem kupiłam jeszcze buty do jazdy na motorze i dokonałam smutnego odkrycia, że stan mojego konta niebezpiecznie zbliżył się do zera.

Skupiłam się na odkrywaniu wspomnianych przez Iwana ulepszeń. Jeśli mam być szczerą, moja wiedza o motorach była raczej znikoma. Zastępowałam ją pokładami uwielbienia, zawsze śledziłam je wzrokiem na ulicy, zazwyczaj z głupią miną na twarzy. Dawałam burakom satysfakcję, ale to było silniejsze ode mnie. Niemniej nie miałam pewności, czy każdy motor miał tak dużą ilość przycisków na blacie i czy każdy rozwijał zawrotną prędkość w ciągu zaledwie kilku sekund.

Nabrałam zwyczaju pędzenia ulicami miasta tak szybko, że krajobraz po obu stronach zlewał mi się w jedną, wielką, szarą plamę. Kilka razy usiłowały gonić mnie patrole

policji, ale mogły jedynie pomarzyć, że mnie złapią. Nie powiem, żeby napawało mnie to dumą... za to sprawiało kupę frajdy.

Shady nie podzielał mojej fascynacji. Spędzałam sporo czasu, czyszcząc i polerując kawasaki po każdej przejażdżce. Mój kot tylko raz przyszedł do garażu, okrążył go dookoła, prychnął z niesmakiem i wyszedł z wysoko uniesioną głową. Chyba był zazdrosny.

Rozpaczliwie potrzebowałam, by zjawił się Tom i dał mi jakieś wysokopłatne zlecenie. Jakby wyczuwając moją desperację, nie dawał znaku życia od prawie miesiąca. Zaczynałam już myśleć, że może pożarł go jakiś potwór, ale ciągle nie dzwoniłam. Poza jednym SMS-em, którego wysłałam mu na samym początku, nigdy do niego nie dzwoniłam.

Wtedy przypomniało mi się, jak zarabiałam pieniądze zaraz po tym, gdy wyrzucili mnie z Akademii. Poker był moją odpowiedzią na kłopoty finansowe. Byłam ciekawa, czy Martin nadal urządzał swoje karciane soboty. Musiałam się dowiedzieć. Złapałam kask i z mocnym postanowieniem skierowałam się do szopy, która była czymś w rodzaju prowizorycznego garażu. Pewnie właśnie to moje zdecydowanie przywołało Toma. Podświadomie pilnował, bym kroczyła dobrą ścieżką.

Chyba ucieszyłam się na jego widok bardziej, niż powinnam.

– Tęskniłaś za mną, Malice?

Uśmiechnął się bezczelnie, jak to miał w zwyczaju.

– Nie w tym życiu, Tom.

– Wybierasz się gdzieś? – Zerknął na kask, który trzymałam.

– Mogę poświęcić ci minutkę – powiedziałam obłudnie. Usiedliśmy na werandzie. Niecierpliwie stukałam nogą o stopień, ciekawa, co ma do powiedzenia. Chyba źle odczytał moje zniecierpliwienie.

– Jeśli spieszysz się na randkę, mogę wpaść później.

Przewróciłam oczami.

– Wyduś to wreszcie i miejmy to z głowy.

Wzruszył ramionami, po czym rozsiadł się wygodnie, wyciągając przed siebie długie nogi. Dżinsy tak mocno opinały jego uda, że miałam ochotę przewrócić oczami. Zastanawiałam się, ile czasu spędza na siłowni. Biorąc pod uwagę fakt, że nie zapomina nawet o nogach, musiała być jego drugim domem.

– Kupiłaś motor – zagadnął od rzeczy.

– Owszem.

– Więc spodoba ci się to zadanie.

Spojrzałam na niego z nowym zainteresowaniem.

– Mów – ponagliłam.

– Byłaś ostatnio w mieście w nocnych godzinach?

– Co to za pytanie?

– Całkiem do rzeczy. – Patrzył na mnie wyczekująco, wyraźnie nie zamierzał mówić dalej, dopóki nie odpowiem. Wzruszyłam ramionami.

– Ostatnio nie.

– Tak myślałem. – Pokiwał głową, jakby rzeczywiście potwierdziła przed chwilą jego przypuszczenia. – W przeciwnym razie już dawno byś o tym wiedziała.

– Tom. – Rzuciłam mu ostre spojrzenie. – Nie dręcz mnie dłużej. Mów, o co chodzi?

– Trochę cierpliwości, Malice. – Uśmiechnął się, jakby trzymanie mnie w niepewności sprawiało mu radość. Zresztą, nie wątpiłam, że tak było. W końcu jednak zaczął mówić. – W mieście od jakiegoś czasu odbywają się nielegalne wyścigi.

Ach, więc o to chodziło. Uśmiechnęłam się szeroko. Bez wątpienia to zadanie będzie mi się podobało.

– Mniej więcej dwa tygodnie temu pojawił się tu motocyklowy gang. Za dnia nikt ich nigdy nie widział, ale nocą... jeśli tylko masz motor, możesz być pewna, że rzucą ci wyzwanie.

– Co jeśli odmówię? – spytałam z czystej przekory, bo przecież w życiu bym nie odmówiła.

– Rzecz w tym, że nikt jeszcze nie odmówił, nawet ci z góry skazani na porażkę.

– Ilu ich jest?

– Pięciu. Jeżdżą Harleyami Davidsonami.

Pokiwałam głową z uznaniem.

– Cudowne maszyny, ale raczej nie nadają się na wyścigi.

– Masz dobry tok rozumowania. – Mrugnął do mnie. – Dokładnie, Harleye jakkolwiek nie byłyby potężnymi maszynami, nie są ścigaczami.

– Więc chyba wyprzedzenie ich dobrym ścigaczem nie jest specjalnie trudne?

– Nie powinno być. Jednak nikt nie wygrał wyścigu z nimi.

W zamyśleniu potarłam brodę.

– Zazwyczaj takie wyścigi wiążą się z pieniędzmi – powiedziałam ostrożnie. – Myślisz, że usiłują wyłudzić większą kasę?

– Nie.

– Nie?

– Ci, którzy brali udział w wyścigach znikają. Oni i ich motory.

– Dlaczego myślisz, że ta sprawa ma coś wspólnego z magią? Tym powinna się raczej zająć policja.

– Nie zawracałbym sobie tym głowy, gdyby nie opisy świadków. Według gapiów, którzy obserwowali wyścigi, każdy z tych facetów jest potężny niczym góra. Wszyscy

noszą czarne, motocyklowe kostiumy i kaski. Ich motory też są czarne, ale mają tatuaże. Zgadnij jakie?

– Coś czarnego?

– Nie, coś ognistego. Wszyscy mają wytatuowane demony.

– Takie jak ten? – Uniosłam swój kask, pokazując Tomowi narysowanego na nim demona. Zmarszczył brwi.

– Podobne. Tyle, że oni mają całe motory w takich rysunkach. Ponoć kiedy pędzą ulicami miasta, wyglądają jak same demony z piekieł.

– I sądzisz, że tym właśnie są? Demonami z piekieł? – zapytałam sceptycznie.

– Poczekaj, nie powiedziałem ci jeszcze najlepszego. Ludzie widzieli, jak jeden z mężczyzn uniósł szybkę w kasku.

– Tak? I co zobaczyli? Oczy gorejące jak ogień piekielny?

– Pustkę, zobaczyli pustkę.

– Okej, więc podsumujmy. Pięciu facetach na demonicznych motorach, wszyscy w czarnych kostiumach i kaskach. Ci, którzy przegrają wyścig z nimi, znikają w tajemniczych okolicznościach, a najlepsze w tym wszystkim jest to, że goście nawet nie mają twarzy. Czego oczekujesz ode mnie?

– Zajmij się tym – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. Jakkolwiek całość brzmiała dość nieprawdopodobnie, potrzebne mi były pieniądze.

– Naprawdę myślisz, że to demony? – spytałam jeszcze raz. Tom wykonał nieokreślony gest.

– Być może.

Zmarszczyłam brwi. W Akademii uczyli mnie o magicznych stworzeniach, nie wiedziałam nic o demonach.

– Jak pokonać demona?

– Ty powinnaś to wiedzieć.

Byłam pewna, że w myślach pokazuje mi język. Naburmuszyłam się.

– Ale nie wiem.

Wzruszył potężnymi ramionami.

– Poproś o pomoc jakiegoś księdza.

Byłam pewna, że żartuje. Zawsze miał kiepskie poczucie humoru.

Tom podniósł wreszcie swoje potężne ciało i zszedł ze schodów.

– Nie zatrzymuję cię dłużej, twoja randka będzie się niecierpliwić.

Mrugnął do mnie, jakby pozjadał wszystkie rozumy i sobie poszedł. Siedziałam przez chwilę sama, dumając nad tym, co mi powiedział. Przyszedł Shady i wszedł mi na kolana, domagając się pieszczot. Podrapałam go za uszami. Kiedy jego łapka z wyciągniętymi

pazurami znalazła się niebezpiecznie blisko mojego kasku, zrzuciłam go z kolan.

– Tak się nie bawimy – powiedziałam surowo do niezadowolonego kota.

Zbliżał się już wieczór, postanowiłam więc przekąsić coś jeszcze, nim wyruszę pokonywać demony.

Podczas kolacji odpaliłam laptopa, po to tylko, by z przerażeniem odkryć, że nie da się pokonać demona. Można go było jedynie odesłać. Szukałam jakiegoś prostego sposobu, który pomógłby mi tego dokonać. Nie znalazłam nic konkretnego, miałam nadzieję, że magia mi pomoże. Skoro internet zawiódł, postanowiłam chwycić się ostatniej deski ratunku i poszłam do mojej osobistej biblioteki, poszukać czegoś w tych kilku magicznych księgach, które posiadałam.

Gdy zapadł zmrok, wyprowadziłam kawasaki z szopy. Domyślałam się, że wyścigi odbywają się w tych bardziej szemranych dzielnicach. Właśnie w tamtą stronę skierowałam motor.

Miasto nocą żyło własnym życiem i, jeśli ktoś chciałby znać moje zdanie, wyglądało nieporównywalnie lepiej niż za dnia. Rozświetlone tysiącem świateł miało w sobie coś magicznego. Cały brud, tak doskonale widoczny w słonecznym świetle, teraz ginął w mroku. Jechałam jednak tam, gdzie większość latarni nie działała, a po ulicach chodzili tylko ci, którzy nie bali się wychodzić wieczorem z domu. Czyli same typki spod ciemnej gwiazdy.

Włączyłam światła drogowe. Ostre reflektory przecinały ciemność, nie pozostawiając przede mną żadnych tajemnic. Ludzie zasłaniali oczy, ale miałam to gdzieś. Kierowałam się w stronę hałasu. W końcu ujrzałam to, czego szukałam. Pięć ryczących motorów z zamaskowanymi właścicielami. Stali na światłach, czekając zapewne, aż ktoś podejmie wyzwanie. Dostrzegłam swoją szansę. Z powrotem włączyłam krótkie światła i ustawiłam kawasaki pomiędzy nimi. Pięć kasków zwróciło się w moją stronę. Choć wyteżałam wzrok, nie mogłam nic dostrzec za ciemnymi szybkami.

– Mały wyścig, panowie?

Odpowiedzieli, gazując swoje maszyny. Ewidentnie był to znak zgody. Zwiększyłam obroty i gdy rozległ się sygnał, ruszyłam z piskiem opon. Kawasaki miało niesamowite przyspieszenie, w ciągu kilku sekund gnałam już dwieście kilometrów na godzinę, zostawiając w tyle pięć Harleyów. Zatrzymałam się przy następnych światłach i poczekałam, aż mnie dogonią.

– Co jest, tylko na tyle was stać? – rzuciłam lekceważąco.

– Uważaj, dziewczynko. – Spod kasku wydobył się metaliczny, zgrzytliwy głos, który nie mógł należeć do człowieka. Prawie się przestraszyłam.

Rozległ się kolejny sygnał i ruszyliśmy. Z łatwością omijałam nieliczne samochody, które jeździły o tej porze ulicami miasta. Harleye mnie okrążyły. Miałam po jednym z prawej i lewej strony, trzech jechało za mną. Podjeżdżali niebezpiecznie blisko, usłyszałam demoniczny śmiech, od którego włoski zjeżyły mi się na karku.

Przyspieszyłam, ale nagle odkryłam, że trudno mi zachować między nami znaczną odległość. Wiedziałam, co powinnam zrobić. Odkąd kupiłam ten motor, czekałam na taką okazję. Jego poprzedni właściciel, Iwan, wspominał o ulepszeniach. Duży czerwony guzik musiał służyć do czegoś lepszego niż zwykła jazda. Widząc, że Harleye są tuż obok, nacisnęłam go z całej siły. Z rury buchnął ogień, poczułam swąd palonego materiału i zapach siarki. Wyprułam do przodu z prędkością, która mimo kasku wycisnęła mi łzy z oczu. Świat rozmazał mi się w jedną, długą smugę. Dosłownie wbiło mnie w siedzenie.

Gapie pewnie pomyśleli, że jestem szóstym członkiem paczki, musiałam wyglądać, jakbym urwała się z piekła. Demon na moim kasku tylko dopełniał wrażenia.

Harleye wreszcie zostały z tyłu. Wjechaliśmy do tunelu i doznałam olśnienia. Gdy usłyszałam, że motocykliści są w środku, posłałam przed siebie całą magię, jaką udało mi się zgromadzić w tym miejscu i zawałam tunel po obu stronach. Padły również drzewa rosnące przy drodze, ale nie miałam czasu, żeby się tym przejmować.

Hamowanie ciągnęło się w nieskończoność. W końcu udało mi się zatrzymać kawasaki. Zawróciłam i zatrzymałam się przed zawałym wejściem. Ze środka wydobywały się odgłosy, które jak nic musiały należeć do wkurzonych demonów. Ziemia trzęsła się niebezpiecznie i wiedziałam, że nie wytrzyma długo.

Musiałam je unieruchomić. Wyjęłam z plecaka pierwszy kilogram soli i zaczęłam sypać ją na ziemię, tworząc krąg. Po kilkunastu torebkach był gotowy. Mogłam zabrać się do ich odsyłania.

Zanim wyruszyłam, poczytałam sobie o demonach i teraz mogłam przyporządkować je do jednej z kategorii. Byłam prawie na sto procent pewna, że jako uosobienie brutalności i negatywnej energii należą do czwartej kategorii. Nie zauważyłam, by miały jakieś specjalne moce, musiały być demonami niższej rangi. Co robiły na ziemi? Rozumiem, że jazda Harleyem to fajna sprawa, nawet jak na demony. Pewnie nudziło im się w piekle i postanowiły wyrwać się na małą przejażdżkę, co do pewnego stopnia byłam nawet w stanie zrozumieć, ale i tak musiałam je odesłać.

Spełniałam pierwszy warunek – nie bałam się ich, panowałam nad nimi. Teraz musiałam tylko wykurzyć je tam, skąd przyszły. Nigdy nie otwierałam portalu do piekieł i nie byłam pewna, czy jestem w ogóle w stanie zrobić coś takiego. Mimo wszystko postanowiłam spróbować.

Wyciągnęłam z plecaka starą księgę, którą podwędziłam z Akademii. Była to jedna

z tych ksiąg, które ktoś sprytnie ukrył w bibliotece. Tłumaczyłam to sobie w ten sposób, że skoro i tak żadni studenci nie mogą z nich korzystać, nikogo nie będzie obchodziło, jeżeli ją przygarne. Poza tym wyniosłam ją z biblioteki bez problemu, a to już o czymś świadczyło. Wierzyłam, że miałam jej ciche przyzwolenie.

Otworzyłam na zaznaczonej stronie i spojrzałam na zaklęcie. Nie wyglądało na skomplikowane. Skupiłam się i zaczęłam recytować mocnym, pewnym głosem. Zerwał się wiatr, który targał moimi długimi włosami. Nie przerywałam. Dopiero gdy wypowiedziałam ostatnie słowa, uniosłam głowę znad książki. Spodziewałam się ujrzeć coś w rodzaju magicznie wirującej czarnej dziury, która pochłonęłaby demony. Nie zobaczyłam nic. Zerknęłam do książki. Byłam pewna, że wypowiedziałam wszystko, co trzeba.

Przez chwilę panowała cisza i myślałam, że może demony po prostu zniknęły, ale nie. Usłyszałam wściekły ryk, który prawie powalił mnie na kolana. Nadal były w tunelu, a teraz, gdy mój sposób zawiódł, nie miałam pojęcia, jak je odesłać. Nie wiedziałam, co zrobiłam źle. Zaklęcie powinno zadziałać.

Może to wina miasta? Czar był potężny, a dookoła roilo się od techniki. Najwyraźniej wykorzystałam całe zasoby magii, jakie znajdowały się w tym miejscu, na zawalenie tunelu.

Krąg z soli utrzymywał je na miejscu, ale wiedziałam, że nie mam wiele czasu. Lada chwila mieli zlecieć się gapie. Zaczynałam się denerwować. Wzniosłam oczy ku niebu, szukając pomocy stamtąd. I wtedy mnie olśniło. Czy Tom nie powiedział, żebym poprosiła o pomoc księdza? Byłam pewna, że żartuje, ale może mówił poważnie. Co prawda nie uśmiechała mi się współpraca z gościem w czarnej sutannie, ale czas naglił, a nie miałam lepszego pomysłu. Rzuciłam jeszcze kilka zaklęć, które miały umocnić ochronny krąg, nie licząc zresztą specjalnie na ich działanie, po czym z cierpiętniczym westchnieniem wsiadłam na motor i popędziłam w stronę najbliższego przybytku bożego.

Kościół, który stał kilka ulic dalej, był niewielki i nie miał w sobie nic z potężnych gotyckich katedr, które tak przytłaczały zwyczajnego człowieka. Ten był dwa razy niższy niż blok, w którym kiedyś mieszkałam i nie robił właściwie żadnego wrażenia – ani pozytywnego, ani negatywnego. Wyglądał zwyczajnie, nowoczesne budownictwo odarło go z sakralności.

Z piskiem opon zaparkowałam przed ogrodzeniem i ruszyłam do drzwi. Gdy chwyciłam za klamkę, spotkało mnie niemiłe rozczarowanie. Były zamknięte. Uderzyłam w nie pięścią, rozległ się głuchy odgłos, ale nie usłyszałam nic poza tym.

– Cholera – przeklełam głośno. Byłam w czarnej dupie.

– Mogę w czymś pomóc? – Usłyszałam cichy, surowy głos gdzieś ponad prawym ramieniem.

Odwróciłam się gwałtownie i ujrzałam na oko czterdziestoletniego księdza w sutannie, mierzącego mnie pełnym nagany wzrokiem. Nigdy nie sądziłam, że ucieszę się tak na widok sługi bożego.

– Potrzebuję egzorcysty – wyrzuciłam z siebie.

– Doprawdy? – Jego wzrok powędrował do kasku, który trzymałam w ręce. Demon szczyrzył z niego swoją wykrzywioną twarz. Przesząpiłam z nogi na nogę i schowałam kask za plecami.

– Muszę odesłać demony – powiedziałam nagłym tonem. – Nie mam czasu, musi mi ksiądz pomóc.

– Dziewczyno, tracisz czas. Radzę ci opuścić to miejsce, nim mnie zdenerwujesz.

– Ale... – zaczęłam oburzona.

– Odejdź. – Wskazał ręką bramę.

– Nie rozumiesz, stary przyku? Potrzebuję pomocy! – wydarłam się. Twarz księdza zrobiła się czerwona, sam wyglądał w tym momencie jak demon, czarna sutanna tylko dopełniała wrażenia.

– Powiedziałem, wynoś się. – Teraz i on krzyczał.

Poczułam, że świerzbią mnie ręce. Zastanawiałam się, czy potraktować go zaklęciem, czy zwyczajnie sprzedać mu prawy sierpowy.

– Co tu się dzieje? – Usłyszałam zdenerwowany głos. Jeszcze jeden pingwin, świetnie.

– Powiedziałam, że potrzebuję pomocy – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Nowo przybyły ksiądz był niewysoki, a pod jego sutanną wyraźnie rysował się brzusek. Zerknął niepewnie na swojego kolegę po fachu, po czym wrócił spojrzeniem do mnie.

– Muszę odesłać demony.

Wyraz jego twarzy stał się ostrożny.

– Gówniarze zachciało się żartów. Powiedziałem jej, żeby się wynosiła.

– Spokojnie, Graham. Ja się tym zajmę. – Ksiądz z brzuszkiem odesłał swojego kolegę piniacza. Niechętnie, ale odwrócił się i odszedł.

– Mów, dziecko, w czym mogę ci pomóc? – zapytał, gdy tamten zniknął w mroku.

– Muszę odesłać demony – powtórzyłam. – Mój sposób zawiódł, a nie mam wiele czasu. Lada chwila się wydostaną, nie chcę nawet myśleć, jak bardzo wkurzone.

– Spokojnie, wszystko po kolei. Jak to się wydostaną? Gdzie one są?

– Zawaliłam tunel, żeby je uwięzić. Zrobiłam krąg ochronny z soli, ale hałasują tak, że nie sposób ich nie zauważyć. – Jakby na potwierdzenie moich słów w oddali rozległ się donośny huk. Ksiądz nie potrzebował dalszej zachęty.

– Prowadź.

Sytuacja była odrobinę żenująca. Miałam przewieźć księdza na swoim kawasaki? Przystąpiłam z nogi na nogę, stojąc niepewnie przed zielonym ścigaczem.

– Na co czekamy?

Wsiadłam na motor, a ksiądz załadował się z tyłu. Ruszyłam z piskiem opon, pozostawiając za sobą swąd palonej gumy. Na przestrzeni tych kilku ulic zdążyłam rozwinąć nieprzyzwoitą prędkość. Chciałam jak najszybciej dotrzeć na miejsce i wysadzić księdza. Tom będzie musiał zapłacić mi za to ekstra.

Wreszcie znaleźliśmy się przy zawalonym tunelu. Po raz pierwszy z prawdziwą ulgą zsiadłam z kawasaki. Tak jak przewidywałam, hałasy wyciągnęły ludzi z łóżek, pojawiło się całe mnóstwo gapiów.

– Nie da się coś zrobić z tymi ludźmi? Lepiej żeby zachowali bezpieczną odległość – powiedział ksiądz z niepokojem dosłownie wypisanym na twarzy.

– Daj mi chwilę.

Odchrząknęłam i strzeliłam kostkami, potem stanęłam przed tłumem, który zdążył się zgromadzić na ulicy. Bardzo się postarałam, by zabrzmieć przekonująco.

– Wracać do łóżek – wydarłam się, wkładając w swoje słowa coś więcej niż zwykłą siłę perswazji. – Nic tu po was.

Ludzie gapili się na mnie przez dłuższą chwilę, po czym gadając między sobą, zaczęli się rozchodzić.

– Jak to zrobiłaś?

Uśmiechnęła się na widok zdumienia, malującego się na twarzy księdza.

– Po prostu jestem przekonująca – powiedziałam niewinnie. Spojrzał na mnie sceptycznie, ale nie miał czasu na dłuższe roztrząsanie tej sprawy. Demony uwięzione w tunelu hałasowały niemiłosiernie, usiłując się uwolnić.

– Mówiłaś, że twój sposób nie zadziałał. Co to był za sposób?

– Takie czary mary – powiedziałam lekceważąco. – W zasadzie nie spodziewałam się, że zadziała – skłamałam.

– Wiesz, dlaczego nie zadziałało?

Wzruszyłam ramionami.

– Bo nie wierzysz. Nie wątpię, że nie boisz się demonów, ale brakuje ci wiary, dzięki której mogłabyś je wypędzić.

Nie zdziwiłabym się, gdyby to była prawda.

– Za to księdzu jej nie brakuje. Może więc mniej gadania, a więcej działania? –

zapytałam złośliwie.

– Nie musisz być nieuprzejma. Zapominasz, że ci pomagam.

– Och, nie mnie. Mieszkańcom tego miasta... – Zatoczyłam ręką szeroki łuk. – Ja nie potrzebuję pomocy.

– Więc dlaczego próbowałaś je odesłać?

Świdrował mnie wzrokiem. Przecież nie mogłam powiedzieć, że dla pieniędzy. Wykonałam lekceważący gest.

– Czy to ważne? Zaraz się wydostaną, wkurzone jak diabli. – Zaśmiałam się krótko, gdy dotarło do mnie, co powiedziałam. – Dosłownie. Więc może zamiast ucinać sobie pogawędkę, zabierzmy się do roboty?

– Ty nie możesz mi pomóc. Jak powiedziałem, brakuje ci wiary. Odsuń się.

Spełniłam jego polecenie. Jak dla mnie bomba, odwali za mnie robotę. Obserwowałam, jak wyciąga spod sutanny wielki, żelazny krzyż zawieszony na rzemyku. Zdjął go i zacisnął w dłoni. Drugą sięgnął do kieszeni i wyciągnął małą książeczkę, która była zapewne Pismem Świętym, czy czymś w tym stylu. Tak uzbrojony zabrał się do recytowania łacińskich słów, których nie rozumiałam. Do magicznych inkantacji używało się innego zasobu słownictwa.

– Abire! – krzyczał, a jego głos brzmiał potężnie. – In nomine dei, abire!

Dźwięki, które wydobywały się spod ziemi, mroziły mi krew w żyłach. Demony wyły, krzyczały, nie chciały odejść. Ich głosy były zgrzytliwe, nikt nie mógłby pomylić ich z ludzkimi głosami. Aż mi się włosy na głowie jeżyły. Musiały się naprawdę nieźle wkurzyć.

Trwało to jakiś czas, ale w końcu demony musiały ustąpić sile wiary księdza. Głosów robiło się coraz mniej, aż pozostał jeden – najsilniejszy i najbardziej przerażający.

– Musisz mi pomóc – wysapał ksiądz. Po jego twarzy ściekał pot, zmarszczki rozciągnęły się, gdy uparcie krzyczał, by odesłać demony.

– Co mam zrobić?

– Powtarzaj ze mną: In nomine dei, abire!

– Ale...

– Żadnych ale, nie mamy czasu, zaraz się uwolnią. – Wcisnął mi w rękę krzyż.

Nie sądziłam, by moje okrzyki pomogły. O ile mogłam użyć perswazji na ludziach, o tyle w przypadku demonów była bezużyteczna. Stałam jednak obok księdza i krzyczeliśmy unisono:

– IN NOMINE DEI, ABIRE! – Wkrótce nasze głosy osiągnęły crescendo, zlały się w jeden potężny krzyk. Demon wydał z siebie ostatni, mrozący krew w żyłach jazgot i wszystko ucichło.

Staliśmy przez chwilę oszołomieni. W oddali zawyły syreny.

– Lepiej stąd spadajmy, zanim ktoś zainteresuje się tym tunelem. – Wskazałam na kupę kamieni przed nami. Mówiąc ktoś, miałam na myśli policję.

Zmusiłam się, by zadać to pytanie, w końcu gdyby nie jego pomoc, miałabym teraz ogromne kłopoty.

– Odwieźć księdza?

Był już wystarczająco blady, ale wydawało mi się, że na moje pytanie pobladł jeszcze bardziej. Przełknął ślinę i nie patrząc mi w oczy, powiedział:

– Doceniam propozycję, ale chyba wolę się przejść.

Czyżby nie podobał mu się mój styl jazdy? Nie żeby mi było przykro z tego powodu. Wzruszyłam ramionami.

– Jak ksiądz woli. W każdym razie, dzięki za pomoc.

Zmierzył mnie wzrokiem. Doskonale zdawałam sobie sprawę z tego, jak wyglądam. Czarna, skórzana kurtka, rozwiany włos i ten kask z demonem – wiedziałam, że nie umknął jego uważnemu spojrzeniu.

– Gdybyś chciała porozmawiać... wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Tylko dlatego, że mi pomógł, nie zaśmiałam się kpiąco.

– Jasne – powiedziałam zamiast tego. Może odrobinę zbyt przeciągle, ale starałam się. Syreny były coraz bliżej.

– Czas na nas.

Wskoczyłam na kawasaki, założyłam swój odjechany kask i popędziłam do domu.

Następnego dnia zjawił się Tom z czekiem. Swoim zwyczajem usiedliśmy razem na schodach mojej werandy, ja stopień wyżej.

– Dobra robota – pochwalił mnie, wręczając czek. Zerknęłam na sumę.

– Wiesz, co musiałam wczoraj zrobić? – wykrzyknęłam, oburzona niską kwotą. Uśmiech na jego twarzy powiedział mi, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Nie masz serca – powiedziałam z jadem w głosie.

– I kto to mówi.

W ogóle się nie przejął. Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy.

– Co z tymi ludźmi, którzy zaginęli? – spytałam w końcu.

– Odnaleźli się. Trochę brudni i oszołomieni, ale poza tym w jednym kawałku.

– Świetnie. Więc dlaczego dostaję tak niewiele?

Zamachałam mu przed nosem czekiem.

– Nie powinienem ci tego mówić, ale być może wkrótce dam ci coś wielkiego. Wtedy się odkujesz.

Spojrzałam na niego z zainteresowaniem.

– Co takiego?

– Dowiesz się w swoim czasie.

Prychnęłam. Tom i jego wyczerpujące odpowiedzi.

– Oczekuj mnie.

– Jak zawsze – powiedziałam z przekąsem, patrząc jak podnosi się ze schodów i odchodzi. Zerknęłam jeszcze raz na czek, wzdychając głęboko. Będzie musiało wystarczyć.